

TERRY LAWRENCE

MISJA UCZUĆ

Przełożyła Maria Saniewska

– Marcella Courville. – Urzędniczka sądowa odłożyła kartkę z jej nazwiskiem. Marcel wstała, wygładziła spódnicę swojej granatowej garsonki, wsunęła torebkę pod pachę i przeszła przez salę sądową.

„Zawsze miała nienaganną postawę” – pomyślał Ray Crane. Znał w tym dobre wychowanie. W świecie Marcel dobre maniery miały szczególne znaczenie.

Trzymając stopy w przejściu, Ray odchylił się razem z krzesłem. Nie przestając się kołysać obserwował z uwagą, jak podeszła do ławy przysięgłych, a potem skręciła w lewo i usiadła na pierwszym miejscu. Kosztowało go sporo wysiłku, zanim przypomniał sobie, że znalazł się tutaj, żeby uczestniczyć w rozprawie sądowej, a nie po to, żeby obserwować jej zgrabny tyłeczek czy też patrzeć, jak zakłada nogę na nogę. Zresztą, ponieważ usiadła za balustradą, i tak nie mógł widzieć wszystkiego. Ale mógł sobie wyobrazić. Pamiętał, że zawsze miała seksowne nogi.

Przez dziesięć lat od czasu, kiedy widział ją ostatni raz, jej kształty wypełniły się w wielu miejscach – piękne kształty – kształty, które chciałby posiadać każdy mężczyzna. Jeszcze raz przyszło mu na myśl określenie „dobre maniery”. Przestał się kołysać i nogi krzesła stuknęły o podłogę.

Ważnie z powodu Marcel nie wrócił do miasta. Wątpił, czy go jeszcze pamiętała. Bawiąc się paskiem od spodni wiedział, że Marcel nie była jedyną osobą, która się trochę zaokrągliła tu i ówdzie. Kiedy go znała, Ray był jeszcze szczupłym i kościstym chłopcem. Czasami zastanawiał się, czy kiedykolwiek dostrzegła w nim mężczyznę...

„Na pewno” – odpowiedział sobie. Był mężczyzną, którego wykorzystała. Potem odszedł, a ona mu na to pozwoliła.

– Ray Crane – powiedziała urzędniczka, przyciskając kartkę z jego nazwiskiem jakby to był robak, którego nagle dostrzegła na pulpicie.

Marcella Courville odwróciła głowę, jej oczy były szeroko otwarte. Zdusił uśmiech ruszając w dół przejściem i wiedząc, że ona obserwuje każdy jego krok. A więc pamiętała. Najwyraźniej te wspomnienia zdawały się być równie przyjemne, jak znalezienie karalucha spacerującego po weselnym torcie.

Nie musiał podnosić wzroku, by zobaczyć jej twarz o idealnym owalu, lśniące blond włosy i duże niebieskie oczy, w których migotały złote iskierki. Pewne rzeczy nigdy się nie zmieniają.

Ray przeszedł przez wahadłowe drzwiczki oddzielające sąd od publiczności. Dwoma zamaszystymi krokami minął stół adwokatów. Potem zrobił jeszcze cztery i granatowo-różowy dywan ozdobiony symbolami stanu Michigan też był za nim. Teraz znajdował się przy ławie przysięgłych. Bokiem precyzyjnie się do wolnego miejsca, obok niej.

Od samego początku czuł się nieswojo. Cały czas musiał albo podciągać kolana, zawadzając o drewnianą poręcz przed sobą, albo odchyłać je w lewo – lub w prawo, w stronę Marcel. Nie mógł się garbić, a przynajmniej nie aż tak, jak wtedy, zanim wywołano jego imię.

Wtedy usiłował skupić uwagę na procedurze losowania członków ławy przysięgłych, wzrok jego był przykuty do zarysu szyi Marcel. Był zapatrzony w pasma włosów w kolorze dojrzałej pszenicy, spływających po jej karku. Miała łagodnie opadające ramiona i łabędzią szyję. Włosy były splecione w warkocz francuski spięty elegancką spinką, który wyglądał jak wykrzyknik ukoronowany dostojną kropką. Poczul ogarniającą go falę spokoju, zdecydowanie przechylił nogi w prawo, w stronę Marcel, i splótł ręce na kolanach.

– Witaj, Marcel.

– Witaj, Ray.

Kiedy siedział przed chwilą wśród publiczności, patrząc na nią, zastanawiał się, jak to się stało, że tak szybko rozpoznał Marcel po dziesięciu latach. Teraz wsłuchując się w to wciąż dźwięczące mu w pamięci echo jej głosu, zastanawiał się, jak mógł o niej kiedykolwiek zapomnieć. Kiedyś powtarzał często, że jej głos był aksamitny jak whisky, ona się wtedy śmiała.

Ale teraz się nie śmiała.

Urzędniczka wyczytała następne nazwisko: Dozier.

– Czy dzisiaj wybieramy według alfabetu? – zapytał sędzia Rosen rozdrażnionym głosem.

– Courville, Crane, Dozier. Następny będzie zapewne Edwards.

Urzędniczka uśmiechnęła się nieznacznie i ruchem znamionującym pewność siebie wyciągnęła kolejną karteczkę z bębna losującej maszyny.

– Zylowski.

Tu i ówdzie odezwały się na widowni chichoty. Ray prawie ich nie słyszał i nie mógłby powiedzieć, czy Marcel też do nich dołączyła. Patrzyła prosto przed siebie, najwyraźniej kontemplując flagę stanową. Cokolwiek to zresztą było, wprowadziło ją w zły nastrój. Ale nie byłaby sobą, gdyby dała to po sobie poznać. Typowe.

Ray odchrząknął i przyciągnął do siebie łokcie, gdy trzeci z przysięgłych zajął swoje miejsce. Dzięki temu mógł przysunąć się i pochylając się ku poręczy fotela, szepnąć parę słów.

– Powiedziałem „witaj”.

– A ja odpowiedziałam.

Jej słowa wywarłyby na nim większe wrażenie, gdyby skierowała je do niego, a nie w pustą przestrzeń między Rayem a ławką sędziego.

Przejechała koniuszkiem języka po wargach, nie pozbawiając przy tym szminki niczego z jej perłoworóżowego połysku. Ray znów przypomniał sobie, w jak niewygodnej pozycji były jego nogi.

– Jesteśmy w sądzie, a nie na spotkaniu klasowym – powiedziała, przenosząc wzrok z Raya na znajdującą się przed nimi balustradę.

Poprawił pasek, jeszcze raz próbując wywalczyć sobie trochę wygodniejszą pozycję, ale jego wzrost (prawie metr dziewięćdziesiąt) miał w tej przestrzeni niewielkie możliwości.

– O ile pamiętam, nigdy nie byliśmy w jednej klasie, Marcel.

Wyczuł jej napięcie. „Jeden zero dla mnie” – pomyślał. Uśmiechając się, Ray ogarnął spojrzeniem sędziego, urzędniczkę, publiczność, a potem znów skierował wzrok na Marcel.

– Myślę, że możemy chwilę porozmawiać, wciąż jeszcze wywołują nazwiska. – Sądząc ze sztywnego ruchu jej ramion przypuszczał, że miała przygotowaną całą listę impertynencji, którymi chętnie by go obrzuciła.

Był bardziej zaintrygowany niż obrażony. Jak jej się to udawało? Umiała być taktowna i zimna, rozważna i uprzejma zarazem, nawet wówczas, gdy usuwała kolejnego mężczyznę ze swego życia. Teraz, dziesięć lat po fakcie, nie był pewien, czy był jej za to wdzięczny, czy też miał jej to za złe. Podejrzewał – nie, do diabła, wiedział – że jej opanowanie było jedynie fasadą, kryjącą setki splątanych emocji.

Losowanie trwało dotąd, aż wybrano pełen skład ławy – dwunastu przysięgłych. Ray przypatrywał się wypolerowanym do połysku boazeriom liczącego już ponad sto lat gmachu sądu, oglądał nowe, winylowe ramy okienne. Były to lekkie konstrukcje, ozdabiane dużymi kulami i żelaznymi elementami – wyglądały jak liście unoszące dorodne, białe winogrona. Spróbował obliczyć koszty tego przedsięwzięcia, ale nie mógł skupić uwagi. Emocje mieszały się z jego chłodnym zmysłem handlowca.

Emocje. Ray lubił wyobrazić sobie, że jego własne były przytępione i tak łatwe do ogarnięcia, jak mapa drogowa. Marcel w jego życiu była niezakończoną sprawą. Wspomnienie o niej męczyło go zbyt długo. Nadszedł czas, by zamknąć rachunki.

Tamtego roku, skończył właśnie dwadzieścia cztery lata, wykonywał roboty budowlane dla swego wuja Teda. Ona miała dziewiętnaście – młoda, ładna dziewczyna, prosto z marzeń każdego mężczyzny. Uparta, poważnie myśląca Marcel była zbuntowana i zdecydowana dążyć do osiągnięcia tego, czego chciała – a chciała jego.

No właśnie, dlaczego dziewczyna, która mogłaby mieć wszystko, zechciała jego? Wydawało się to tak samo tajemnicze i cudowne, jak ich pierwszy pocałunek. Schlebiało mu to. Był naiwny i aż zanadto chętny do tego, żeby go wykorzystwała, by mógł zauważyć, że nie była to miłość od pierwszego wejrzenia. Nie była to nawet żądza. Po prostu Marcella Courville zdecydowała, że nie chce już dłużej być dziewczyną, a Ray Crane chętnie zaspokoił tę jej zachciankę.

Ławnik siedzący w tylnym rzędzie stuknął w krzesło Raya kierując jego uwagę ku teraźniejszości.

– Przepraszam.

– Nic się nie stało. – Ray poprawił się znów na krześle, opierając jedną stopę na kolanie, pocierając kostkę i nieznacznie poprawiając skarpetkę.

Nie było co do tego żadnych wątpliwości. Kobieta, którą stała się Marcel, mogła mieć dostęp do lepszej klasy mężczyzn. Oczywiście wtedy też miała do nich dostęp, ale wybrała jego. A gdy lato skończyło się, każde z nich poszło własną drogą – a przynajmniej w ten sposób lubił o tym myśleć. Zerknął na jej delikatny profil, zastanawiając się, czy ona wmawiała w siebie te same kłamstwa. Ray uważnie przypatrywał się alabastrowej skórze siedzącej obok kobiety. Trwało chwilę, zanim uprzytomnił sobie, że ślady, których szukał, nigdy nie były widoczne.

– Więc jak ci się żyje?

– Ray, czy to nie mogłoby chwilę poczekać?

W tej chwili prawie już na niego spojrziała. Pozwoliła mu uczynić pierwszy krok i teraz płaciła za to. Sądząc z tego, jak ścisnęła i rozluźniła uścisk na trzymanej na kolanach torebce, musiała chyba walczyć z myślami. Wyczuła, że ją obserwuje i położyła torebkę koło swego uda. Zakładając nogę na nogę wykorzystywała ten ruch, aby odwrócić się od niego. To było po jego myśli, w ten sposób miał więcej miejsca, by wyciągnąć nogi w jej stronę.

– Myślisz, że długo to będzie jeszcze trwało? – spytał, aby podtrzymać rozmowę.

– Nie, ja...

– Chyba nigdy sienie skończy – mruknął starszy mężczyzna, siedzący dwa miejsca dalej.

– Trzeci raz jestem powołany do ławy przysięgłych.

Marcel spieszyła się i usiłowała rozluźnić palce. Ray zamilkł.

A więc nie wiedziała, że wrócił do miasta? Zjaśniałe od słońca włosy nie ozdabiały już jego głowy, tak jak dawniej. Lśniły teraz jak wypolerowany brąz, na skroniach przeświecały srebrne pasma. Irytowało ją, że tęskniła za tamtym złotem.

Gdy miał dwadzieścia cztery lata, wyglądał jak reklama kremu do opalania, piwa czy wody kolońskiej. Był uosobnieniem męskości i siły.

Tak bardzo go wtedy pragnęła, aż do bólu. Tak bardzo go wtedy kochała...

Sędzia wysłał kogoś, by mu coś przyniósł z sąsiedniego pokoju. Ray gawędził z siedzącą obok kobietą. Marcel była tak blisko, że czuła zapach jego wody kolońskiej i mogła zliczyć ścięte brzytwą włosy zarostu. Skóra Raya była opalona na ciemny brąz. Zmarszczki w kącikach oczu wyglądały jak wachlarzyki wcinające się w skronie. Miał szerokie usta. Linie biegnące przez policzki zastąpiły młodzieńcze dołki – znajome znaki w tej wyrazistej twarzy. Całowała każdą z nich.

Uciekła wtedy, wystraszona intensywnością własnych uczuć. A gdyby to wszystko miało się jeszcze raz powtórzyć? Jakiś głos podszeptował jej takie wyzwanie. Prawda i nic poza prawdą, Marcel. Uśmiechnęła się smutno.

Odwrócił się, zauważył jej uśmiech i odpowiedział podobnym. Patrzyła prosto przed siebie.

– Panie i panowie, dziękuję za cierpliwość. Chciałbym powitać państwa w sądzie okręgowym. Jestem sędzia Edward Rosen. Zebraliśmy się tutaj, aby rozpatrzyć sprawę poważnego przestępstwa.

Przysięgli kiwnęli potakująco głowami.

– Na wstępie chciałbym zapytać państwa, czy są jakieś przeszkody, które mogłyby komuś uniemożliwić udział w sesji w marcu. Będziecie zaproszeni do udziału w jednej tylko sesji w sprawie, która zajmie około dwóch tygodni.

Większość zebranych nie zgłosiła sprzeciwu.

– Żadnych problemów?

Marcel miała problem, ale nie wiedziała dokładnie, jak go ująć. Bała się bliskości Raya. Ta nie dająca się opanować namiętność była już tylko wspomnieniem, a jednak tkwiła mocno w jej pamięci. Tak bardzo się przed nim odkryła, poznał jej wzloty i upadki.

A nie wiedziała nawet, że była do czegoś takiego zdolna. „Rzuciłam się wtedy w jego ramiona” – pomyślała. I jeszcze raz rumieniec oblat jej twarz. Kurczowo ścisnęła gładką,

drewnianą poręcz krzesła. Czy pamiętał? Czy jej żarliwość była wtedy dla niego śmieszna? Uśmiechał się teraz, jakby znał dobrze jej sekret. O tak, Marcella Courville, która była tak dumna ze swej postawy, zrobiła z siebie idiotkę przed Rayem Crane'em. Przysięgła sobie, że więcej się to nie powtórzy.

Najbardziej bolało wspomnienie o tym, jak naiwnie wierzyła, że odwzajemniał jej miłość, aż do momentu, gdy ją porzucił, nie oglądając się nawet za siebie.

– Czy ktoś z państwa planuje wyjazd na wakacje? – pytał sędzia.

Jedna z kobiet podniosła rękę. Po jej długich wyjaśnieniach i marudzeniu sędziego na temat konieczności wywiązywania się z obowiązków przez każdego z nich, sędzia Rosen zwolnił ją. Wylosowano nowe nazwisko. Pani w średnim wieku zajęła jej miejsce.

– Czy jeszcze komuś obowiązki sądowe kolidują z osobistymi planami?

– Wysoki Sądzie, prowadzę firmę – powiedziała Marcel lekko unosząc rękę.

– Tak, panno Courville?

Wróciła do swojego panińskiego nazwiska. Ray słyszał o tym wcześniej, ale dopiero teraz zwrócił na to uwagę. Osiem lat temu wyszła za męża, a dwa lata później rozwiodła się. Nosił te dwa wycinki gazetowe w portfelu, dopóki portfel się nie rozpadł. Nikt nie wspominał, czy miała dzieci.

Sędzia stawiał kolejne pytania.

– Czy ma pani jakichś pracowników, panno Courville?

– Tak, mam współnika. – I co on lub ona robi?

– Rozmawia z klientami, kalkuluje koszty, zamawia dostawy.

– Wydaje się, że mógłby poprowadzić firmę podczas pani nieobecności. Co jest specjalnością firmy?

– Wykonujemy na zamówienie drewniane wykończenia wnętrz. Zajmujemy się odnawianiem budynków, drzwi, kominków, niektórych stołów o wartości antykwarycznej.

– Dziękuję za reklamę – kwaśno mruknął sędzia. Kilku widzów zachichotało.

– O ile mi wiadomo, marzec raczej nie sprzyja robotom budowlanym. Nie usprawiedliwię pani z tego powodu. Czy ktoś jeszcze?

Marcel, ściągając usta, usiadła na miejsce. Zawsze tak robiła, gdy nie udało jej się dopiąć swego. Ray patrzył na czubki swoich butów. Ogarnął go nagły przypływ wspomnień. Tak wiele teraz wracało do niego. Poza samą kobietą; poza Marcel.

– Sprawa, którą będziemy się zajmować, dotyczy malwersacji – ciągnął sędzia. – Czy ktoś z członków ławy przysięgłych obecnych na sali był kiedykolwiek oskarżony o malwersację?

Młoda kobieta z drugiego końca podniosła rękę.

– Czy chce mi pani o tym opowiedzieć, panno Swanson? Młoda kobieta mówiła wolno, wpatrując się przy tym we wzorzysty dywan.

– Gdy miałam szesnaście lat, oskarżono mnie o podbieranie pieniędzy z kasy spółdzielczego sklepiku, w którym pracowałam.

– Czy to była prawda?

– Tak – odpowiedziała kobieta nie podnosząc oczu.

- Czy zajmowała się tym policja?
- Nie, Wysoki Sądzie! Wszystkie pieniądze oddałam i nigdy więcej to się nie powtórzyło.
- Czy sądzi pani, że tamta sprawa mogłaby mieć obecnie wpływ na pani osąd?
- Mój osąd zależy od przedstawionych faktów, panie sędzio.
- Brzmi to dla mnie wystarczająco jasno. Czy jeszcze ktoś? Wszyscy przecząco pokręcili

głowami.

– A co z pracownikami? Panno Courville, pani prowadzi firmę. Czy pani lub ktokolwiek z państwa, państwa przyjaciół, pracowników, krewnych czy znajomych był kiedykolwiek oskarżony o malwersację?

Ray podniósł rękę.

– Moi pracownicy byli przyłapani na kradzieży i to więcej niż raz.

– Czy to był ten sam pracownik?

– Ten, który zrobiłby to drugi raz, nie pracowałby już u mnie.

– Mhm – powiedział sędzia, spoglądając w stronę stołu prawników. – Czy mógłby pan powiedzieć nam coś więcej o sobie?

– Jestem właścicielem spółki budowlanej. Niektórym ludziom wydaje się, że mogą zabierać nie wykorzystane materiały do domu. Podobnie dzieje się z narzędziami.

– Czy podał pan kiedyś kogoś z nich do sądu?

– Załatwiliśmy to między sobą.

Nutka gniewu w głosie Raya wywołała uśmiech u widzów. Sędzia zakrył usta ręką i szybko zakończył wypytywanie Raya.

– Nie musi pan opowiadać nam szczegółów.

– Dziękuję.

– Czy ktoś jeszcze? Jak wygląda historia państwa zatrudnienia? Czy ktoś był kiedyś zwolniony z pracy bez... dostatecznego uzasadnienia?

Nikt się nie odezwał.

– Pani też nie, młoda damo? – Czekając na odpowiedź ekszłodziejki, sędzia przyglądał włosy zaczesane w poprzek łysiny.

– Pozwolono mi wtedy pozostać.

– Dobrze. Nikt więcej? Musimy mieć tutaj bardzo uczciwą i kompetentną ławę przysięgłych. Dobrze. Najpierw objaśnię państwu reguły składania zeznań, a potem przekażę przysięgłym prawnikom. Czy ktoś z państwa zna któregoś z obecnych tu prawników lub kiedykolwiek prowadził interesy z reprezentowanymi przez nich firmami?

Kilku ławników podniosło rękę. Także Marcel.

– Znam prokuratora, a także właściciela jego firmy, Wysoki Sądzie. Są członkami klubu ziemian.

– Podobnie jak i ja. – Sędzia uśmiechnął się. – Cóż, to małe miasto i istnieje duże prawdopodobieństwo, że będziecie znali osoby zamieszane w tę sprawę. Pytałem raczej o to, czy będziecie w stanie zachować obiektywizm. Panno Courville, czy rozmawiała pani o sprawie z którąś ze związanych z nią osób?

– Nie.

– A więc do rzeczy. Pan Spannick jest prokuratorem, pan Hazelton obrońcą. Jeśliby ktoś z państwa spotkał któregoś z nich poza salą sądową, nie powinniście rozmawiać z nimi o sprawie. Jeśliby podszedł do państwa ktoś ze świadków, w ogóle nie wolno wam z nim rozmawiać, nawet gdyby chodziło tylko o podanie godziny, czy o wskazanie, gdzie są toalety.

Jakiegokolwiek zbliżenie się do któregoś z przysięgłych przez świadka uważane jest za próbę manipulacji i powinno być natychmiast do mnie zgłoszone. Do mnie, a nie do mojego sekretarza czy urzędnika sądowego.

– Wysoki Sądzie?

– Tak, panno Courville? – Sędzia westchnął.

– Czy przysięgli mogą rozmawiać ze sobą?

Ray poruszył się niespokojnie. Nie przewidywał takiego obrotu rzeczy.

– Gdyby przysięgli nie mogli się ze sobą porozumiewać, nigdy nie byłiby w stanie wydać werdyktu, choć i takie przypadki zdarzały się w czasie mojej praktyki.

Widzowie zaśmiali się, podobnie jak i wszyscy przysięgli – z wyjątkiem dwojga.

– Panie i panowie, mimo tego, co zapewne widzieliście w telewizji, ta sprawa nie wymaga odizolowania. W przerwach między sesjami sądu ławnicy mogą załatwiać swoje sprawy i rozmawiać poza salą sądową o wszystkim z wyjątkiem toczącego się procesu. Zaleca się wam, a raczej zabrania, czytać zamieszczone w gazetach artykuły o procesie czy oglądać dotyczące tej sprawy programy w telewizji. Czy jest to jasne?

Marcel kiwnęła przytakująco głową, poprawiając jednocześnie trzymaną na kolanach torebkę. Kąciki jej ust były ściągnięte.

Spojrzała na Raya.

– Dobry pomysł, prawie ci się udało wymigać – szepnął.

– Wygląda to bardzo poważnie.

– A co z tego, co nas dotyczyło, nie było takie?

Wyraz jej oczu natychmiast się zmienił, był w nich teraz ból a może tylko ostrożność.

Była w pułapce. Gdyby teraz odwróciła wzrok, odgadłby, jak bardzo chciała stąd uciec.

Głos sędziego przerwał ten dziwny czar.

– Czy ktoś z państwa czuje jakiegokolwiek uprzedzenie do kogoś tylko dlatego, że ten jest oskarżony o przestępstwo? Nie? Więc, zanim przekażę państwa w ręce obrońcy i prokuratora, czy ktoś jeszcze ma jakieś powody, by nie zasiadać w tej ławie przysięgłych?

Marcel splotła palce, uniosła twarz i spojrzała na Raya.

– Ostatnia szansa – szepnął, a zmarszczka z prawej strony jego ust pogłębiła się. Był to jedyny widomy znak, że żartował. Poza tym jego twarz była śmiertelnie poważna.

„On nie jest moją ostatnią szansą” – pomyślała Marcel wściekła – „jest za to pierwszą”. Poprosiła go, żeby odszedł, a potem miała mu to za złe. Nie była dumna ze sposobu, w jaki rozegrała tę sprawę ani z powodów, jakie wtedy podała. Ale teraz nie była już małą dziewczynką. Potrafiła siedzieć na ławie przysięgłych, czując udo Raya przy swoim, jeśli było to konieczne. Sprawiało mu przyjemność obserwowanie, jak walczy ze sobą. Jego zadowolenie utwierdziło ją w tym postanowieniu.

– A więc dobrze – odezwał się sędzia. – Czy obrona i oskarżenie mogliby podejść bliżej?

Jedna i druga strona po kolei zadawały pytania przysięgłym. Pierwsze pytanie Hazeltona brzmiało:

– Ilu żonatyh mężczyzn jest na sali?

Marcel nie rozumiała dokładnie jego znaczenia, ale od razu wyczuła napięcie Raya. Powoli uniół rękę. Poczowała się, jakby jej kręgosłup był kolumną lodu zdolną rozsypać się przy najlżejszym ruchu.

– I co robi pańska żona? – ciągnął obrońca.

– Obecnie? Och, nie jestem już żonaty, rozwiodłem się. – Ray opuścił rękę.

– To miało być moje następne pytanie. Czy w sesji biorą udział osoby rozwiedzione? Panie Crane, czy pana rozwód miał miejsce dawno?

– Dwanaście lat temu.

– Kochankowie z ławy szkolnej? – Obludny ton Hazeltona nie wywarł na Rayu najmniejszego wrażenia, wpatrywał się w młodego człowieka kamiennym wzrokiem. Tamten wydobyl z kieszeni brunatną chusteczkę i wytarł nią spocone dłonie.

– Czy jeszcze ktoś jest po rozwodzie?

Z dwunastu przysięgłych siedmiu podniosło ręce, wśród nich Marcel.

– Powód, dla którego o to pytam, jest taki, że pragnę podczas trwania procesu przypomnieć, co to znaczy być żonaty. Niewiele osób kiedykolwiek staje przed sadem. Jednak większość z nas ma swoją małą kobietkę, przed którą musi się tłumaczyć, gdy wraca wieczorem do domu. – Zaśmiał się, a część ławników mu zawtórowała.

– ... lub swojego mężczyznę, to też może się zdarzyć – dodał bez przekonania. – Dobrze więc! – Prawie klasnął w dłonie. – Chcę tylko, żebyście o tym pamiętali.

Sędzia zadał jeszcze parę pytań, po czym zwrócił się do Hazeltona, chcąc się upewnić, czy z jakichś przyczyn któryś z przysięgłych powinien być usunięty.

Młodą ekszłodzięjkę wykluczono. Wywołano inne nazwisko, a nowo wybrany ławnik musiał odpowiedzieć na te same pytania sędziego.

– Czy był pan uprzednio karany?

– Nie, Wysoki Sadzie.

– Pan Hazelton?

– Nie mam pytań.

Nastąpiła niespodziewana cisza.

– Będziemy więc kontynuować w składzie takim, jaki ustaliliśmy. Reszta państwa może przekazać swoje znaczki ławników urzędnicze sadowej...

Ray przykrył spoczywająca na oparciu fotela białą dłoń Marcel swoją spracowaną ręką. Pragnął to uczynić przez cały czas od chwili, gdy przestała nerwowo splatać palce i odważyła się położyć rękę właśnie tam. Uścisnął ją – Wygląda na to, że będziemy się spotykać. Marcel lekko uniosła się ze swego miejsca.

– Przepraszam, Wysoki Sadzie.

– Tak, panno Courville?

Przysięgli, którzy nie zostali wybrani, wstrzymali się z wychodzeniem.

– Myślę, że może istnieć powód, dla którego nie mogą zasiadać w tej ławie przysięgłych.

Pan Crane i ja znaliśmy się kiedyś dawno temu.

– Nie jest to dziwne w tak małym mieście.

– Tak, lecz...

Sędzia Rosen uśmiechnął się, raz jeszcze przygładził włosy zaczesane w poprzek łysiny. Obrzucił Marcel badawczym spojrzeniem, zauważył, że kurczowo ściska torebkę, a także, ^ że jest ubrana w bardzo elegancką garsonkę. Ściągając usta w zastanowieniu przypatrzył się też Rayowi. Pomimo żartobliwego stylu zachowania był człowiekiem byстрыm i spostrzegawczym.

– Nie chciałbym, doprawdy, roztrząsać tych spraw na sali sądowej. I pani zapewne też nie, panno Courville. Może więc po prostu zapytam panią, czy czuje się pani na siłach osądzić fakty dotyczące sprawy obiektywnie i czy nic nie będzie uniemożliwiało pani, powiedzmy, koncentracji?

Marcel zaczerwieniła się. W tej chwili uwaga wszystkich obecnych zwrócona była na nią. Wyprostowała się zbierając całą swoją godność.

– Jestem pewna, że tak.

– A więc – nie ma żadnego problemu, czyż tak? – Skłonił głowę w stronę wszystkich obecnych na sali. – Panie i panowie, mamy więc ławę przysięgłych.

Marcel kurczowo przyciskała torebkę do piersi wyjeżdżając z parkingu. Było jej wstyd. Praktycznie obnażyła swoje życie uczuciowe przed całą salą pełną zupełnie obcych ludzi.

Zawsze była dumna ze swojego dystansu wobec innych. Przyjaciele powierzali jej sekrety właśnie dlatego, że była taka opanowana. Wystarczyła jednak tylko godzina spędzona w obecności Raya Crane, a cała ta gładka powłoka drżała jakby poruszona trzęsieniem ziemi. Może nikt się nie domyślił, o co jej chodziło. Wiedziała jednak, że Ray odgadł. Nigdy nie pozwoliłaby mu zobaczyć, jak wielkie wrażenie wywarło na niej to spotkanie.

I znów spróbowała policzyć rzeczy, których nie powinna była robić z Rayem Crane. Była to dość długa lista.

„Wiele się przecież zmieniło” – wmawiała w siebie. Teraz była już kobietą, a nie dziewczyną pełną marzeń i planującą życie u boku mężczyzny, który potrafił odejść, nawet nie oglądając się za siebie. W ciągu tych dziesięciu lat ani razu nie próbował się z nią skontaktować. A przecież wciąż mieszkała w tym samym mieście i w tym samym domu...

Sumienie kazało jej przyznać, że przecież próbował nawiązać rozmowę. Nie ułatwiała mu tego zbytnio.

Wyłączyła radio, naciskając jednocześnie mocno na hamulce. Zaparkowała obok dawnej wozowni, która teraz służyła jako pomieszczenie biurowe i pracownia firmy „Wzory z przeszłości”. Poprzednio trzypiętrowy garaż, wcześniej używany jako stajnia, w czasach gdy posiadłość jej dziadków była siedzibą jednej z najzamożniejszych rodzin w Derby.

Marcel rozsunęła drzwi garażu. Jęk elektrycznej piły przeszywał powietrze.

– Czterdzieści pięć stopni – krzyknęła do środka. – Czy możesz w to uwierzyć? To jest właściwie lato. Wpuśćmy tu trochę świeżego powietrza!

– Wróciłaś już. – Wspólniczka Marcel odłożyła piłę i zsunęła na czoło okulary ochronne, które wyglądały teraz jak opaska podkreślając pasemko bieli w jej kruczoczarnych włosach.

Trudno byłoby wyobrazić sobie bardziej nieprawdopodobną parę niż one dwie, pomyślała Marcel. Sama miała zawsze urzekające blond włosy i skórę, która zawsze zdążyła się opalić, nawet w czasie najkrótszego lata. Sandy była jak heban i kość słoniowa. To właśnie Sandy przylepiła jej tę etykietkę – opanowana.

– No i co? – zapytała Sandy.

Marcel bawiła się swoim warkoczem. Jej włosy nie były tak mocno spięte jak ona sama.

– Wybrano mnie.

– Fiu-fiu, czy to będzie interesująca rozprawa? Rozważając, jak kobieta tak gwałtowna i uświadomiona jak Alexandra Mears Ingham mogła używać słów typu „fiu-fiu”, Marcel zdjęła zakiet, odłożyła torebkę i wciągnęła na siebie fartuch w kolorze zielonego jabłka. – Defraudacja.

– Mmm. Nie tak fascynujące jak morderstwo, ale też może być interesujące.

– Sandy, tu chodzi o ludzi...

– Co sprawi, że będzie to jeszcze bardziej smakowite niż powieść. Czy byli tam? Czy

rodzina oskarżonego przybyła całą gromadą? Zrozpaczona żona z osieroconym maleństwem w ramionach, aby zaskarbić sobie twoją sympatię?

– Rodzina? – Marcel przypomniała sobie swoją reakcję, gdy Ray przez pomyłkę zgłosił się jako żonaty. – Nie zauważyłam.

Sandy była szczerze zdziwiona.

– Jak mogłaś nie zauważyć?

Będąc właścicielem firmy już od pięciu lat, Marcel doskonale wiedziała, co ma robić, żeby wyglądało na to, że pilnie pracuje. Sortowała stertę rachunków. Jak mogła przyznać się, że przez większość popołudnia jej uwaga była skoncentrowana na siedzącym obok mężczyźnie? Wzięła w rękę jakąś fakturę.

– Jak posuwają się prace u Waltona?

Remontowały właśnie od dawna porzucony dom dla rodziny Waltonów. Zwykle było to okazją do uszczypliwych żartów ze strony Sandy. Ale Marcel nie trafiła tym razem. Zbyt szybko zmieniała temat. Sandy po prostu stała i przyglądała się jej.

– Myślałam, że mogłybyśmy zaczerpnąć świeżego powietrza – wyjaśniła Marcel spoglądając za okno. Nie musiały przejmować się sphywającym z góry gorącem. Interes szedł dobrze i mogły pozwolić sobie na niewielki luksus. Poza tym zmiana tematu była dla Marcel prawie równie konieczna, jak zmiana pór roku. Wiosna oznaczała początek. Pocierała ramię starając się pozbyć gęsiej skórki.

Chwyliła kolejną fakturę. Jeśli cokolwiek umiała robić rzeczywiście dobrze, to zanurzać się momentalnie w pracy – i trwać w niej. Sandy często robiła jej wymówki z tego powodu.

– Zleceniodawca „Walton” telefonował dziś rano, gdy wychodziłam do sądu, pytając o materiały wykończeniowe. Tak jak ja przed chwilą? Czy nic ci to nie mówi?

– Wydaje mi się, że idzie do nas jakiś mężczyzna – zauważyła Sandy.

– Do licha! – Marcel nie była w nastroju do utarczek z niecierpliwymi klientami.

Wyjrzała przez okno i zobaczyła zaparkowany obok bramy samochód. Brązowy mercedes. Potem usłyszała kroki na żwirze. Był już prawie w drzwiach. Tak szybko. Serce podskoczyło jej do gardła. Zbyt często słyszała te kroki zmierzające do niej w wiele tajemnych nocy, by nie rozpoznać ich natychmiast.

Ray Crane wypełnił sobą drzwi.

– Dzień dobry paniom.

– Pan Crane – powiedziała Marcel spokojnym głosem z rękami złożonymi na stole. Nawet przechyliła lekko na bok głowę okazując tym gestem uprzejmość, lecz nie przesadne zainteresowanie. Miała jeszcze przed oczyma matkę, która robiła dokładnie to samo gdy była zaskoczona przez nie zapowiedzianego uprzednio kupca. W pewnych niewygodnych momentach dobre maniere były nieodzowne – a poza tym łatwo było się za nimi skryć. Marcel patrzyła Rayowi w oczy. To bardzo formalne przywitanie miało rozwiać wszelkie złudzenia z jego strony, że wciąż jeszcze była tą dziewczyną z głową w chmurach.

– Właśnie zastanawiałem się, czy mógłbym wejść do środka? – zapytał, a jego głos łagodnie przeniknął do wnętrza.

– Oczywiście.

Przekroczył próg. Płaszcz miał przewieszony przez ramię, krawat rozluźniony.

– Marcel.

Po prostu spojrzeli na siebie.

– Przepraszam – powiedziała Sandy przerywając napięcie. Skierowała się ku drzwiom chwytając po drodze kilka drewnianych belek.

– Czy nie potrzebuje pani pomocy? – zaoferował się Ray.

– Nie, ładuję je tylko do wozu. Proszę mi wybaczyć.

– Niech pani pozwoli sobie pomóc. – Ray wyszedł razem z nią.

Marcel w myśli bynajmniej nie potępiała Sandy za to, że ją porzuciła, była jej raczej wdzięczna za krótką chwilę wytchnienia. Sandy wyczuła w jakiś sposób, że Ray nie stałby beczynnym, patrząc, jak kobieta dźwiga ciężary... ale skąd mogła wiedzieć, co Ray w ogóle teraz robił. Manewr Sandy jedynie dodał kilka chwil do tych dziesięciu lat.

Marcel słyszała, jak samochód zapalał, a potem zjechał ścieżką w dół.

– Kazała ci powtórzyć, że będzie „na górze Waltona” – powiedział wstępując znów w na wpół otwarte drzwi. – Czy to jakiś żart?

Marcel odnalazła właściwy uśmiech, który mógłby pasować do sytuacji.

– Obawiam się, że nie – odpowiedziała. – Tak nazywają to miejsce właściciele.

– Ach tak. – Nie zamierzał wypełniać dzielącej ich przestrzeni i czasu rozmową o głupstwach. Może pamiętał, że Marcel równie trudno było znieść ciszę, jak jemu przyglądać się kobiecie dźwigającej drewniane bele.

– Byłam zaskoczona widząc cię dziś rano.

– Nie musisz mi o tym mówić. – Uśmiechnął się. Zmarszczki na jego twarzy zarysowały się wyraźniej.

Marcel znów się zaczerwieniła. Zgoda, przyłapał ją niebezpiecznie wytrąconą z równowagi, ale nie musiał wiedzieć, jak bardzo była wciąż poruszona. Wydorosła. Teraz umiała już sobie z tym poradzić.

– Nie wiedziałam, że jesteś w mieście.

– Już od pewnego czasu.

To mogło oznaczać tygodnie lub miesiące. To, że nie wiedziała, drażniło ją.

– Brałaś już kiedyś udział w sesji? – zapytał.

„Tylko wtedy, kiedy osądzałam ciebie” – pomyślała. Ale długo już wyrzucała sobie tę pomyłkę. Położyła dłoń na stercie leżących na biurku kwitków. Wiele godzin spędzała porządkując dokumenty.

– Kiedyś byłam powołana w sprawie o jazdę po pijanemu. Oskarżony przyznał się do winy, zanim jeszcze doszło do procesu.

Nie było sensu udawać. Zawsze umiał ją przejrzeć. Zawsze lubił się jej przyglądać.

Obserwował ją i teraz, z uśmiechem na ustach i wyrazem zaciekawienia w oczach.

– Ta sprawa może się okazać bardziej interesująca. – Głos miał wciąż ten sam, może trochę tylko głębszy. Był nadal wysoki i smukły. Wydawał się jednak mniej kościsty, sprawiał wrażenie silnego mężczyzny. Miał te same orzechowe oczy, lecz jakby patrzył bardziej uważnie. Odwróciła głowę, bała się, że dojrzy w nich coś, za czym tęskniła, na

przykład ból, który być może wywołała...

- Czy masz zamiar długo zostać w Derby?
- Rzadko wybiera się gości hotelowych do ławy przysięgłych.
- Oczywiście, masz rację.

– Pół roku temu wystąpiłem o dzierżawę. Potem zmieniłem prawo jazdy. Stamtąd biorą teraz nazwiska. A potem nagle wyskoczył pewien projekt w Akron. Ledwie zdążyłem przesłać swoje rzeczy. Szczęśliwie dotarłem tu na czas, żeby odebrać wezwanie. Inaczej wysłaliby po mnie szeryfa.

– Chyba nie byłoby tak źle – zawtórowała jego żartom. Zaparkowany przy bramie mercedes robił odpowiednie wrażenie. Policja nie zatrzymałaby raczej tak szacownego, choć może niezbyt dostojnie wyglądającego, biznesmena, chyba że trzeba by było mu wlepić mandat za szybką jazdę.

- Ciągłe jeździsz zbyt szybko?

Powoli skinął głową, jakby przypisywał jej słowom jakieś \ szczególne znaczenie.

– Żeby zdążyć od jednego projektu do drugiego. Niestety mandatów nie można odpisać sobie od podatku, choć jest to dla mnie wydatek zdecydowanie związany z pracą. Wyglądasz świetnie, Marcel – powiedział cicho, z przekonaniem.

Była pewna, że wygląda na zadręczoną, znękaną i jakby przerażoną rozmową z nim, ale kiwnęła głową, dziękując za komplement.

– Ty też wyglądasz dobrze. Miło z twojej strony, że wpadłeś. – Chciała przekazać w ten sposób swoją obojętność, chłodną uprzejmość, ale zdradził ją przesadnie formalny ton.

Odchrząknął poprawiając krawat.

- Zastanawiałem się, czy wciąż tu mieszkasz. Mogę się trochę rozejrzeć?

To była autentyczna pracownia, a nie salon wystawowy, pełen ściągniętych na sprzedaż przedmiotów. Stare drzwi, przynieszone z wiekowych domów, stały oparte o ściany. Sprzęt wyglądał znakomicie. Na pewno był często używany. Plastikowe okulary ochronne wisiły na jednej z ławek, a pędzle wystawały ze słoików terpentyny i rozpuszczalników. Świetnie działający system wentylacyjny sprawiał, że opary nie były duszące, ale nawet i to nie przeszkadzałoby Rayowi. Całe życie towarzyszyły mu zapachy budowy, zawsze kochał pracę w drewnie.

„Przejeżdż po tym ręką”. Słowa te wróciły do niego, a także obraz Marcel, gdy miała dziesięć lat, przesuwał smukłymi palcami po dębowych drzwiach, wypolerowanych do szeleszczącej gładkości, suchych jak ziarno. Ray zagłębił się w smudze światła. Drewno ogarnęło go, pulsując złotem – bogatym, połyskliwym, żywym. Ich ręce dotknęły się.

Oparł ręce na biodrach, odchrząknął.

- Widzę, że kochasz drewno.

„Z drewnem jest łatwo. Widać po nim, gdy traktujesz je dobrze” – pomyślała Marcel i powiedziała: – Zajmujemy się wszelkimi robotami w drewnie, usuwaniem zniszczonej warstwy, wszelkimi zdobionymi szklanymi drzwiami, które uda się nam uratować. Popatrz tutaj, na ten kominek z przełomu wieków.

Próbował ukryć uśmiech zwracając głowę ku górze, w stronę odbijającego się w szybkach błękitu.

– Mogę spytać, co cię tak rozbawiło? – Nie była zadowolona ani z tej obronnej nuty, jaka zabrzmiała w jej głosie, ani ze sposobu, w jaki trzymała ramiona. Biorąc głęboki oddech spróbowała przybrać odpowiednią postawę.

– Wszystko mogę zobaczyć sam, ale, jak to wyraził sędzia, dziękuję za reklamę. – Zerknął na nią w chwili, gdy spłoszona poprawiała opadający kosmyk.

– Czy rzeczywiście tak strasznie się przechwalam? Wzruszył ramionami.

– Nie rozdałaś członkom ławy przysięgłych swoich wizytówek. To już jest coś.

Zmusił ją do śmiechu. Z pewnością był to początek, choć nie wiedziała jeszcze dokładnie czego.

Przemowa, którą wygłosił do siebie, jadąc do Marcel, powinna mu wystarczyć. Przybył tu, by dogonić miniony czas. Nie musiał pędzić przez ulice Derby, starając się niepostrzeżenie podążać za jej samochodem spod gmachu sądu. Przekroczenie szybkości nie pomoże przecież nadrobić dziesięciu lat. Gdzie znaleźć odpowiedź na pytanie, które znów odezwało się echem w jego sercu: czy kiedykolwiek rzeczywiście go kochała?

– Myślałem, że moglibyśmy trochę porozmawiać – powiedział.

– Właśnie to robimy – odparła uprzejmie, wskazując zgrabnym ruchem dłoni na pokój.

Mógłby przysiąc, że ponad charakterystycznym zapachem trocin czuł jej perfumy. Rozgrzana skóra wydzielala delikatny aromat, zapach podniecenia. A może była to tylko jego wyobraźnia.

„Może „to” z Marcel wcale nie jest jeszcze tak zupełnie skończone” – pomyślał.

– Przecież starzy przyjaciele zawsze mają coś do nadrobienia – powtórzył.

– Tak, starzy...

Nie mógł nie zauważyć, jak jej głos załamał się. Podciągając lekko nogawkę, postawił stopę na stojaku piły i oparł łokieć na kolanie. Przerzucona przez ramię marynarka zwisała, załamując się gdzieś między nogami. Garnitur był kosztowny. Najprawdopodobniej pamiętała go ubranego zupełnie inaczej, a może z odsłoniętym torsem, w dżinsach... lub bez niczego.

Bawiła się porcelanowa klamka świeżo pomalowanych drzwi. Prawie poczuł chłód, gdy zacisnęła na niej rękę.

Oparła palce o gładko wypolerowany, metalowy języczek zamka.

Mięśnie brzucha Raya napięły się. Spojrzał w dół, zauważył, że jego buty są zakurzone. Czy ona spostrzegła to w sadzie? Powinien był wziąć jakąś szmatkę i wypolerować je po drodze. Zwalczył pokusę, by uczynić to teraz. Nie przybył tutaj, aby wywierać na niej wrażenie. Gdyby był prawnikiem, mógłby po prostu zadać pytanie. Jedno proste pytanie. Ale zawahał się i rozejrzał wokół, usiłując zadać inne.

– Zaskoczyło mnie, że pamiętałaś, jak jeżdżę. Zaśmiała się i potrząsnęła głową.

– Pamiętam tę starą ciężarówkę, którą miałaś.

– Teraz mam mercedesa.

– Zauważyłam – odpowiedziała spokojnie. – Musi ci się dobrze powodzić.

Pracował cholernie ciężko. Drażniła go myśl, że musiał to udowadniać. Cofnął się o krok,

spoglądając na krokwie, jakby coś mu się w nich nie podobało.

– Sama prowadzisz firmę?

– Alexandra jest moim partnerem.

– To znaczy?

– Myślałam o małym zakładzie. W ten sposób mam większą kontrolę. – To ona sprawowała kontrolę, chciała, żeby to było jasne. – Jak na razie nie mogłam zatrudnić więcej ludzi. Nielatwo jest zbić fortunę na remontach starych domostw.

– Nonsens. Zawsze mogłaś wszystko, co tylko chciałaś. Dobrze o tym wiedziałem. Miałaś jasne cele. Bardzo mi się to w tobie podobało – dodał.

Ostatnie słowo zawisło w powietrzu. Pozwolili mu łagodnie opaść razem z pyłkami kurzu.

Marcel przerwała ciszę.

– A twoja firma?

– Korporacja Crane’a. Budujemy centra handlowe, urzędy i można na tym zbić fortunę. Teraz zajmujemy się pasażem Rocky Creek w południowej części miasta.

– Ty to robisz? – Była najwyraźniej pod wrażeniem.

Ray odczekał chwilę, zastanawiając się, czy to mogło coś zmienić.

– Towarzystwo Wilkersona wygrało tę ofertę i zleciło większą część nam.

– To niezły projekt.

– Nie największy z tych, które robiliśmy, ale spory. To było przyjemne – robotnik z budowy wracający do niej po latach, osiągnąwszy sukces własnymi siłami.

– Czy nie będzie ci trudno pogodzić pracę z posiedzeniami sądu?

– Wciąż próbujesz pozbyć się któregoś z nas z ławy przysięgłych? – Odpowiedziała mu splotonim, zawstydzonym uśmiechem. – Nie martw, moja sekretarka już to zbadała. W związku z przepisami o mrozie nie możemy rozpocząć wykopów przed kwietniem. Sędzia nie zwolniłby mnie.

– Zawsze chciałeś mieć dużą firmę – powiedziała. – Chodziłeś do szkoły wieczorowej.

Prowadziła uprzejmą rozmowę. To może być wszystko, co uda mu się od niej dziś uzyskać. Zdziwił się konstatuując, że już planował następne spotkanie.

– Więc – mruknął – chodziłem do szkoły, pracowałem...

– Musisz być z siebie bardzo dumny.

– Czy to znaczy, że jestem teraz na twoim poziomie? – spytał cicho.

– Ray.

– Nie spodziewałem się tego.

– Nie to chciałam powiedzieć.

– Nie musisz mi mówić, że jestem odpowiedni teraz, gdy mam pieniądze, kochanie.

W jej oczach pojawił się gwałtowny błysk. – Nie musiałeś przychodzić tutaj, żeby mnie obrażać po tych wszystkich latach.

Nie odpowiedział, patrząc jedynie, jak ciaśniej owinęła się sukienką. Być może, ale tylko „być może”, znalazł sposób, by przebić się przez tę szczelną powłokę.

– Jeśli to ma być dla mnie kara, oszczędź sobie trudu – powiedziała lekko unosząc brodę

do góry. – Nie czuję się winna za coś, co zrobiłam jako dziewczyna dziesięć lat temu.

– Winna? – Uniósł brwi zdziwiony. – Do diabła, czemu miałabyś czuć się winna, Marcel? Byłaś wierna swoim wartościom.

– Które, jak sądzę, uważałeś za bardzo płytkie.

– Dziewiętnastolatki nie słynną z głębokich przemyśleń. Podszedł do niej, zatrzymując się dopiero wtedy, gdy był tak blisko, że Marcel chciała się cofnąć, choć nie zrobiła tego.

– Więc dlaczego wróciłaś?

– Jeśli nie po to, żeby cię ukarać? – Uśmiechnął się. Było w niej to samo co kiedyś połączenie determinacji i bezbronności. Nigdy nie mógł jej rozgryźć do końca. Może to właśnie było przyczyną jego klęski. Jeśli chodziło o Marcel Courville, to była jedna, wielka niewiadoma. Czy naprawdę dał się nabrać na to, że go kochała? Użyła go, a potem porzuciła. Skąd więc to uczucie zranienia? Czy była aż tak dobrą aktorką, czy też on wciąż tak samo naiwny?

Jedyna rzecz, której mógł być jak dotąd pewny, to to, że stojąc tak blisko niej czuł suchość w ustach.

Obserwował, jak przełyka ślinę, ruch, który lekko uwypuklił jasną kolumnę jej szyi. Czy ona czuła to samo? Napięcie, które znali oboje. Znane uczucia, obawy, dobrze znane sobie ciała. Znane zbyt dobrze, by grać teraz w tę grę uprzejmości. Wiedział już, co chciał zrobić.

– Wróciłem, bo chciałem ci powiedzieć „witaj”. – Widział, jak jej źrenice rozszerzały się, gdy pochylając się, jego usta musnęły jej wargi. – Witaj, Marcel.

Miał to być jedynie pocałunek i nic po za tym. Bez wątpienia nie miał nadziei na nic więcej. Nic nie zapowiadało, że serce w jej piersi zacznie bić gwałtownie. Szum nagłej fali krwi przeszył jej uszy jak piła bezlitosnym ostrzem przecinająca przędzę uczuć. Gdy otworzyła oczy, kierował się już ku wyjściu, ponownie odchodząc z jej życia.

– Ray.

Zatrzymał się przy kominku. Musiała wspinać się na palce, trudno jej było wygładzić górny róg kominka. Jemu wystarczyło tylko unieść rękę. Przejechał palcami po jasnym drewnie.

– Dobrze sobie radzisz.

Czyżby chciał wrócić do zwykłej, konwencjonalnej rozmowy? Marcel zamknęła oczy, próbowała wyrzucić z pamięci ten pocałunek, jego zapach i pozbyć się żalu napływającego do serca. Powrót był niemożliwy. Byłoby zbyt ponizające, gdyby zauważył, jak bardzo tego pragnęła. Wzięła się w garść.

– Dom był prawie kompletną ruiną, a w środku znalazłam to – powiedziała z godnością. – W ostatniej chwili udało nam się z Sandy skontaktować z właścicielem i zabrać wszystko, co miało wartość zabytkową. – Obserwował jej odbicie w lustrze. Uważała, że mimo wszystko idzie jej nieźle. – Jest cudowny. Niektórzy potrafili zaprojektować cały dom wokół takiego kominka.

– Często zajmujesz się takimi rzeczami?

– Lubię ratować stare przedmioty.

– Sprawiać, żeby wyglądały, jak kiedyś, czy tak, Marcel? Przestała obserwować jego rękę, choć przyciągały jej wzrok jak magnes. Nietrudno było przypomnieć sobie, że ta ręka kiedyś błędziła po jej ciele. Skupiona, uwielbiająca, zafascynowana, kochająca. Czy miało to dla niego jakieś znaczenie?

– Niektórych rzeczy z przeszłości nie da się uratować – powiedziała głosem tak cichym, że ledwo dosłyszał jej słowa.

– Ale nigdy nie szkoda trudu, gdy chodzi o stare drewno. Oczywiście z antyków twoich rodziców nigdy nie musiałaś zdrapywać zbyt grubej warstwy po to, by przekonać się o ich wielkiej wartości.

Zachmurzyła się. Dlaczego, dlaczego... Zawsze bezbłędnie wiedział, który przycisk nacisnąć. Wkroczył z powrotem w jej życie, równie łatwo, jak je opuścił. Pocałował ją z właściwą akurac czułością, ciekawością, tym co było jej tak dobrze znajome – i serce Marcel zaczęło trzepotać się bezradnie, pozbawione zwykłej osłony. A potem rzucił jej granat.

– Więc wszystko było zawsze dla mnie łatwe. Czy to chciałeś powiedzieć?

– Tak sędzę. – Szczerze, uczciwe słowa, wyzywające ją, by dała za wygraną.

Nie uległa, nie chciała się poddać tak łatwo.

– Przyznam, że co prawda moje dzieciństwo nie należało do trudnych, ale to nie znaczy, że wszystko miałam zawsze podane na tacy. Gdy odszedłeś...

– Gdy co? – Jego głos był niski, a spojrzenie twarde. Zebrała się w sobie, zanim jeszcze emocje zdążyły odebrać jej głos. Tak, to ona kazała mu odejść, ale on wcale nie walczył. Odszedł. Niedbały, nieporuszony...

– To było dawno. Wiele się zmieniło.

– Więc powiedz mi co.

Wzruszyła ramionami, nie pozwalając, by ich rozmowa zamieniła się w coś więcej, niż tylko wymianę informacji. Poza wszystkim nie mogła okazać, jak jego nieugiętość ją raniła.

– Kochane osoby umierają w każdej rodzinie, o pieniądze jest coraz trudniej, Ray. Takie jest życie. Walczyłam, by stworzyć swój własny interes. Tego nie dostałam w prezencie.

Przez chwilę rozważał coś w milczeniu.

– OK, daruję ci to.

– Nie potrzebuję, żebyś mi cokolwiek darował. Jestem na swoim. Muszę myśleć o swojej matce, muszę zajmować się domem, muszę prowadzić firmę. Moje życie jest bardzo wypełnione.

– A ty jesteś wypełniona nim.

Nie wybuchnęłyby w ten sposób, gdyby w oczach Raya nie dojrzała chęci przekomarzania się. Była pompatyczna i niepotrzebnie wyolbrzymiała swoją rolę. Zawsze umiał wyczuć jej słaby punkt.

– Widzę, że brakuje ci tylko jednego.

Tego, czego jej brakowało, nie widać było na zewnątrz. Wiedziała jednak, że nie powstrzyma go to od przypuszczeń.

– Moje życie prywatne...

– ... jest również wypełnione, domyślam się. – Przechylił się do tyłu i założył ręce. – Więc czemu wyglądasz na kobietę, która nie ma go wcale?

– Starasz się być nieprzyjemny.

– Czy nie to pociągało cię we mnie najbardziej?

– Nie.

– Więc było jeszcze coś? Pochlebiasz mi.

– Chciałam powiedzieć... nie, nie roztrząsajmy tego. Nie rozgrzebujmy przeszłości.

– Jak jakichś odpadków?

– Nie! – Przycisnęła ręce do policzków. Kolejny gest, kolejne ukłucie dla Raya.

– Zawsze umiałem coś od ciebie wytargować – dodał miękko, niebezpiecznie. Założył nogę na nogę i dalej się jej przyglądał. Oboje wiedzieli, jak był w tym dobry. – O ile sobie przypominam, potrafiłem przebić tę twoją samokontrolę. Jak balon.

– Ja pamiętam to trochę inaczej.

– Chcesz mówić o czymś innym?

– Proszę.

– Dobrze. Dlaczego nie porozmawiamy po prostu o tym, jak dobrze było nam w łóżku?

Wbiła w niego wzrok i wyrzuciła z siebie gwałtownie:

– Jeśli nie przestaniesz, poproszę cię, żebyś wyszedł.

– Poproś.

– Wyjdź.

– Brzmi to jak rozkaz.

– Zdecydowałam darować sobie uprzejmości.

– To nie pasuje do ciebie, Marcel. – Uśmiechnął się i puścił do niej oko. – Spróbuj wyobrazić sobie, że zostanę jeszcze trochę. Kto wie, może nawet zaproszę się do domu.

Zrobiło się jej zimno.

– Dlaczego, Ray?

To było pytanie bez odpowiedzi. Dlaczego wrócił? Dlaczego zależało mu na drażnieniu i dręczeniu jej? Dlaczego ją pocałował?

Mógłby odpowiedzieć na tuzin różnych sposobów. Ale tak naprawdę nie wiedział do końca, dlaczego to zrobił. Może sprawiła to bezbronność, którą w niej dostrzegł, a może fakt, że nie była na niego uodporniona. Mógł sprawić, że stawała się ostrożna czy wściekła, ale przynajmniej potrafił zmusić ją do uczuć. Ten etap, gdy z zamglonymi oczami dopatrywał się romansu tam, gdzie go nie było, minął już. Teraz zdecydowany był zmusić ją, by okazała mu, co czuje.

Przejechał ręką po wiśniowych drzwiach.

– Czy kiedykolwiek mówiłem ci, że praca w drewnie jest jak uprawianie miłości? Też wymaga dotyku, wilgotności, bezpieczeństwa, łagodnej, czulej troski.

– Nie – skłamała.

– Szkoda. Zawsze uważałem to za jedno z moich bardziej udanych powiedzonek. – Tym razem bez wątpienia w jej oku pojawiła się iskierka. Pragnął tych iskierek.

– Czy działa? – spytała.

– Już nieraz.

Jej usta zacisnęły się w wąską linijkę. Tym razem trafił dokładnie w jej czuły punkt. Choć nie powinno się tak stać. Jego życie uczuciowe nie było jej sprawą. Podeszła do wieszaka i zdjęła płaszcz.

– Jeśli chcesz zobaczyć dom, to chodźmy.

Nie ruszył się ze swego miejsca przy kominku. Po chwili odchrząknął.

– Twój dom?

– Mój, moich rodziców. – Wskazała ręką w kierunku domu Courville'ów.

To było jedynie uprzejme zaproszenie. Ray wiedział, jak to wyglądało. Mały sprzeciw z jego strony, a pokazałaby mu drzwi.

– Nie wiem, czy moje odwiedziny sprawiłyby im przyjemność.

Doznała dziwnego wrażenie, gdy zdała sobie sprawę, że on nie słyszał jeszcze o jej rodzicach.

– Ojciec zmarł kilka lat temu, matkę przenieśliśmy do domu opieki. Tuż przed Bożym Narodzeniem – To musiało być dla ciebie trudne.

– Tak naprawdę nie zdawała sobie nawet sprawy z tego, co się dzieje.

– Przykro mi, Marcel.

Chciał dotknąć jej raz jeszcze. Nie umiała poradzić sobie ze współczuciem. Zawsze wolała działać. W ogóle nie brała pod uwagę tego, że mogłaby się wypłakać w jego

ramionach. Było to trudne, a jednak poradziła sobie sama. Nagle wydało jej się to jednym z bardziej smutnych faktów życia niż osiągnięciem.

Odwiesiła roboczy fartuch i odkaslnęła, by sprawdzić struny głosowe.

– Dzielimy właśnie dom na osobne apartamenty. W jednym z nich mieszkam, pozostałe sprzedamy. To jedyny sposób, żeby zachować dom w jego mniej lub więcej oryginalnym kształcie. Nikt nie chciał go w całości.

– Próboweś go sprzedać?

Nie odpowiedziała bezpośrednio na jego pytanie.

– Pokażę ci, jak daleko zaawansowane są roboty renowacyjne. Skłoniwszy głowę zajęła się swoim warkoczem starając się, by nieposłuszne kosmyki znów znalazły się na miejscu. Było to tak kobiece i naturalne. Właśnie te drobne, intymne, niespodziewane szczegóły najbardziej go dotykały i raniły. Starał się o tym zapomnieć.

Szli ścieżką. Ray nigdy nie lubił domu Courville'ów. Może dlatego, że zawsze wchodził tylnym wejściem. Chłopak z niższej klasy romansujący ze złotą dziewczyną. Z gałązek wierzby kapnęło na nich parę lodowatych kropelek. Ray postawił kołnierz. Gdy znaleźli się za zakrętem, spojrzął w górę i zobaczył rozmiary zniszczenia.

Teren przed domem był zupełnie rozkopany. Tam, gdzie kiedyś rozpościerał się imponujący trawnik, widać było głębokie doły po sprzęcie budowlanym. Opadał w dół wzgórze i można było stąd ogarnąć całe Derby.

Ray ściągnął krawat i zmiął go. Przepeliło go niczym nie uzasadnione poczucie zwycięstwa. On sam prosperował świetnie, a oto na co przyszło domostwu Courville'ów. Nie była to godna reakcja, jednak to właśnie poczuł.

Farba odpadała płatami, wszędzie wały się odłamki ceglanego chodniczka, wyłożono go teraz płytami – praktycznymi, dobrze się prezentującymi, no i tańszymi w montażu i utrzymaniu. Na miejscu ogródka w zachodniej części ogrodu znajdował się teraz asfaltowy parking, mogący pomieścić dziesięć samochodów. Oczywiście nikt w mieście nie mógł kupić tego w całości. Kogo byłoby na to stać?

– A więc sprzedaż? – Tak.

Przechodzili wzdłuż ganku, mijając kolumnę po kolumnie, aż znaleźli się przed głównym wejściem. Ray nigdy nie wchodził tymi drzwiami. Nigdy.

– Wiem, że teraz wygląda to fatalnie – ciągnęła Marcel z przesadną swadą w głosie – ale gdy tylko skończą się prace w ogrodzie, no i oczywiście malowanie...

– Marcel, już późno.

– Przepraszam? – Odwróciła się szybko, uderzona łagodnością jego głosu.

– Może innym razem?

Jasne było, że nie rozumiała, o co mu chodziło. Pochłonęło ją opowiadanie o problemach związanych z budową. A jego radował każdy rozkruszony kamień, każdy pęknięty filar. Dlaczego? Czy był tu, aby przebić się przez ściany? Przebudować i zmienić wszystko, aż zrówna się z jego poziomem. Ten obezwładniający przepływ niskich emocji niepokoił go.

Nie pragnął zemsty. Chciał w to wierzyć. Była teraz kobietą, a nie beztroską,

lekkomyślną dziewczyną. Od momentu, kiedy ją zobaczył, pragnął jej dotknąć. Do diabła, dał się ponieść emocjom i pocałował ją. Pragnął więcej. Ale czy wystarczy mu zdobycie jej w łóżku? Wiedział, że nie. Co gorsza, wiedział, że gotów byłby na tym poprzestać.

Ray zszedł z najniższego stopnia. Nigdy się w nic nie angażował, nie obliczywszy przedtem kosztów. Od czasu związku z Marcel dotyczyło to też kosztów emocjonalnych.

– Będę musiał sprawdzić wasze zabezpieczenie przeciwwilgociowe.

Marcel znów spłotła rękę, znów uprzejma i opanowana.

– Może innym razem.

– Nie musisz mnie odprowadzać. – To było jego jedyne pożegnanie. Ostatnim razem inicjatywa należała do niej, dopóki nie przestała jej to bawić. Teraz to on miał wykonać następny ruch. Ale najpierw musiał wszystko dokładnie przemyśleć i zaplanować. Rościł sobie prawo do wszystkiego, co mogła mu ofiarować. Tym razem zadowoli go jedynie całość.

– Dlaczego cię pocałował? – Dwa tygodnie po tym, jak Ray zrezygnował ze zwiedzenia domu, Marcel rozważała to bardzo sensowne pytanie Sandy. Duma była najobrzydliwszym z uczuć.

– Myślałam dokładnie to samo.

– Więc dlaczego po prostu nie zapytałaś go o to?

– Obawiam się, że konfrontacja to twoja specjalność, a nie moja.

– Ty też radzisz sobie całkiem nieźle. Widziałam, jak załatwiłaś sprawę zaległych rachunków. Potrafisz wyczarować pieniądze z najbardziej nieczułego drewna.

– Podczas gdy Ray Crane myśli, że rosną tam właśnie dla takich osób, jak ja.

– To znaczy?

– On chyba wierzy, że pozwoliłam mu odejść z powodu różnicy klas między nami.

– Dlaczego miałby tak sądzić?

– Bo tak było. – Zaśmiała się krótkim, gorzkim śmiechem. – To było łatwiejsze niż prawda.

– Szalałaś za nim.

– Czy wszyscy czytają w moich myślach? Sandy położyła jej rękę na ramieniu.

– Tylko twoi najbliżsi i najdrożsi. Myślę, że wszystkich innych umiesz przepłoszyć. To twoje wrażenie całkowitej samowystarczalności. Jakbyś nosiła etykietkę z napisem „SAMA SOBIE Z TYM PORADZĘ”.

– A więc jestem oszustką?

– Nie, po prostu jest w tobie więcej, niż ludzie mogą zobaczyć. Nie dzielisz się sobą z każdym. Jeśli Ray Crane wiedział o tym, musiał cię dość dobrze poznać.

– Tylko dlatego, że sama się mu poddałam. – Marcel w zamyśleniu rysowała zygzaki na starym, zakurzonym sekretarzyku. – Nie wiem nawet, czy naprawdę go kochałam. Nigdy nie napisał ani nie zadzwonił.

– No nie! – oburzyła się Sandy zajęta właśnie pracą przy pile tarczowej.

Marcel zmroziło i zaraz potem wybuchła.

– Co się stało?

– Nie próbuj mi wmówić, że to była jedna z tych beznadziejnych historii miłosnych, w

której matka albo złośliwy kamerdyner chowają czułe listy kochanków. Zapewne jakiś robotnik znajdzie wypełnioną nimi szkatułkę, ukrytą w tajemnym schowku w bibliotece. A wy dwoje pogodzicie się...

Marcel zaśmiała się.

– W naszej bibliotece nie ma tajemnych schowków.

– Twojej rodzinie najwyraźniej zabrakło awanturniczej żyłki. Gdyby ten dom należał do mnie, byłyby tu podziemne korytarze i szafy z ukrytymi przejściami. Nie jest jeszcze za późno, mogłabyś to i owo zainstalować.

– I lochy.

– Dla ludzi ignorujących savoir-vivre. Atak przy okazji, czy będziesz na moim przyjęciu?

– Nie, jeśli znowu zamierzasz mnie z kimś swatać.

– Słowo harcerza. Wygląda na to, że jak na razie Ray niespodziewanie zaprzętnął twoją uwagę.

Marcel westchnęła.

– Gdyby tylko były jakieś listy do przechwycenia.

– Może rzeczywiście zależało mu na tobie, ale tak bardzo zraniłaś go, że nigdy nie napisał. Czy złamałaś mu serce?

Marcel nie zaszczyciła tej uwagi żadną odpowiedzią.

– Może to była tylko przyjaźń. Nie musiał przecież zachowywać się jak Rett wnoszący Scarlett po schodach.

– Uwielbiam takie przerośnięcie. Dlaczego jesteś tak przekonana, że nie chcesz zmierzyć się z panem Wysokim, Barczystym i Przystojnym?

– Bo nie. Tym razem pozwolę, żeby to po prostu przeszło obok.

Jak mogła to wyjaśnić, że nie chodziło wcale o pocałunek, ale o całą tę nie zamkniętą przeszłość, która się za nim kryła.

Przyjaciele wyśmiewali się z niej, że wciąż była jeszcze dziewicą w wieku dziewiętnastu lat. A więc postawiła przed sobą cel: poznać miłość między mężczyzną a kobietą. Mimo dokładnie skonstruowanego planu, Marcella Lucy Courville nie uważała się za wyrachowaną. Była po prostu dojrzała i zrównoważona, jak zawsze.

Potem zobaczyła Raya, jak przybijał dach na nowym garażu. Miał złote potargane włosy. Nosił modne, obcisłe dzinsy. Gdy się odwrócił, jego uśmiech ośmielił ją, więc patrzyła dalej.

– Dlaczego po prostu nie gwizdniesz? – zawołał do niej śmiejąc się tym swoim uśmiechem, przy którym na policzkach zawsze robiły mu się głębokie dołeczki.

Nie, nie odwróciła głowy. Tego dnia była wyzywająca. F Leniwie podniosła ramię, by zasłonić oczy od słońca. Gdy uniosła głowę, jej długie, proste włosy zafalowały na plecach. Potrząsnęła nimi i odeszła.

– Ładny widok – krzyknęła spoglądając za siebie. Teraz była jego kolej.

Jeśli później, gdy byli ze sobą dłużej, czuł się nieswojo lub niepewnie w gronie jej znajomych z klubu, nie dał tego po sobie poznać. Miał wewnętrzną siłę, dzięki której potrafił nie I zwracać uwagi na drobne złośliwości – cecha, której nie umiała wtedy docenić. Bez względu na to, nie był jej przecież potrzebny, żeby wywierać na kimkolwiek wrażenie.

Potrzebowała go i do czegoś innego. A on, on, jak bardzo jej pragnął. Marcel zadrżała poruszona wspomnieniami. Noce i poranki, tajemne spotkania i wilgotna trawa.

Wstała, zerkając, czy nie podrapała sobie kolan, przeszła na drugą stronę, aby położyć na drzwiach kolejną warstwę lakieru. Szeleszczące włosie pędzla przypomniało jej matkę, jej dystyngowany głos, skrzypnięcie łóżka, gdy siadały na nim, by porozmawiać. Nie o seksie – o tym matka mówiła z nią, gdy Marcel skończyła trzynaście lat. Tym razem rozmawiały o różnych formach odpowiedzialności.

Prawdę mówiąc wszyscy starali się, aby to do niej dotarło. Musiała utrzymać swoją pozycję. To, kim była, okazało się ważniejsze od tego, czego chciała. Nosila nazwisko Courville.

Marcel zamknęła oczy i na chwilę odłożyła pędzel na puszkę. Kiedy podniosła go znowu, kleił się do rąk. Z westchnieniem wydobyła kawałek drutu i zbadła drewno. Odeszła o krok, by sprawdzić, czy nie zostawiła żadnych pustych miejsc, choć wiedziała, że zrobiła to bardzo porządnie. Podchodząc powoli do blatu ze sklejkki, wlała odrobinę terpentyny do naczynia i umyła pędzel. Zmywanie brudów. Z Rayem było to takie proste.

– Mam swoje plany. – Głos dziewczyny rozbrzmiewał wtedy na ganku w blednącym świetle letniego popołudnia.

Stał u dołu schodów.

– A ja nie? Jak myślisz, po co to robię, szkoła...

– Moje plany nie wymagają rezygnowania z college'u...

– Kto cię o to prosi? – Trzymał ręce w kieszeniach, pięści miał zaciśnięte. – Prosiłem cię tylko, żebyś wróciła.

W tych słowach była szczerłość. Jednak nie wyczuła dostatecznego zdecydowania, więc mogła je zignorować i skończyć swoją przemowę.

– Nie ma w nich także miejsca na wychodzenie za mąż teraz. Sam mówiłeś, że twoje małżeństwo okazało się pomyłką. Kiedy ludzie są tak młodzi...

– Tym razem to nie powód.

Nie chciała spojrzeć mu w oczy, bała się, że zobaczy cały jego ból. Wiele żądał od życia i był zdecydowany to zdobyć.

– Podaj mi powód.

Tego nie zrobiła. Wzruszyła ramionami, odwracając się w stronę ogrodu. Objęła ramieniem kolumnę. Wciąż jeszcze pamiętała dotyk pomalowanego na biało gipsu, tak chłodny i nieugięty. Chciała być dokładnie taka sama.

Ray pozwolił sobie na jedno krytyczne spojrzenie. Ogarnął nim zadbane trawniki, widok na miasto, zwirowaną ścieżkę. Cofnął się i popatrzył na balustradę balkonu na drugim piętrze. Potem przeniósł wzrok na nią. Stał tak przez dobrą chwilę.

– To powinno być zupełnie jasne, tak?

Na to pytanie nikt nie mógł odpowiedzieć, a na pewno nie stojąca na ganku dziewczyna, zupełnie zaskoczona pustką, jaka teraz zapanowała w jej sercu. Teraz, gdy plan się powiódł.

Nie walczył. Odszedł ze zwieszoną głową, z opuszczonymi ramionami, jak ktoś, kto odbył długą wędrówkę po to tylko, żeby się przekonać, że kończy się ona w ślepej uliczce.

– Do diabła, to naprawdę była kwestia odpowiedzialności – Marcel zwróciła się do pustego sklepu. – To nie mogło się udać. Byłabym nieszczęśliwa i godna litości, wcześniej czy później któreś z nas miałooby tego wszystkiego dość.

Ale nie co dzień „pomyłka” wkraczała w czyjeś życie, prosząc, by ją naprawić. Dokonała wszystkiego, co leżało w jej mocy, aby wykreślić go ze swego świata. Była zdecydowana ułożyć sobie życie. Ale po dziesięciu latach potrafiła dostrzec, że jej siła podszyta była tchórzostwem. Miał nad nią większą władzę, niż o tym wiedziała. A ona od niego uciekała.

Sandy odchrząknęła, z ożywieniem wchodząc w drzwi. Niosła przed sobą świeżo pomalowaną deskę uważając, by nie przylepiła się do swetra.

– Wciąż jeszcze o tym myślisz?

– Opary przyprawiają mnie o zawrót głowy.

Zadzwonił telefon. Obydwie miały zajęte ręce. Marcel podniosła słuchawkę przez starą szmatę. Wiedziała, że nie było żadnego powodu, żeby jej serce terkotało jak puszka pełna gwoździ. Nie spodziewała się przecież, żeby Ray zadzwonił.

Odpowiedziała coś niewyraźnie i odłożyła słuchawkę.

– To z sądu – oznajmiła. – Mam stawić się w poniedziałek o ósmej.

– Co zrobisz z Carne'em?

– Myślałam, że raczej pogadamy o tym, jak poradzisz sobie sama z firmą.

– Już o tym mówiłyśmy. Co z Crane'em?

Marcel westchnęła. Przyjaciele zwykle nie zwracali uwagi na jej różne wybiegi i przechodzili prosto do rzeczy.

– Właśnie nad tym się zastanawiałam.

– Oczywiście.

– Postawiłam przed sobą cel...

Sandy pospieszyła z pomocą w skończeniu myśli.

– A on przeszkadzał ci w planach, które miałaś wtedy, więc dlaczego miałabyś poczuwać się teraz do winy... Czy o to ci chodzi?

– Uhm. Nowy cel. Muszę się dowiedzieć, dlaczego wrócił do miasta.

– To brzmi sensownie.

– Może w tym nie ma nic intrygującego.

– Ale może też coś być.

– Po prostu interesy. – Uhm.

– Nie mogę się oszukiwać, że przyjechał tu specjalnie dla mnie. Minęło już tyle lat.

– Racja.

– Czy to wszystko, co masz do powiedzenia?

– Wygląda na to, że znakomicie idzie ci wmawianie w siebie tego wszystkiego.

Marcel westchnęła. – Chodzi o to, że...

– O co?

Ten pocałunek. Dlaczego ją pocałował? Dotknęła ust koniuszkami palców, wciągając przy tym zapach terpentyny. Czy to był znak? Zgrzyt koparki pracującej przy nowym parkingu przerwał tok jej myśli. Zdecydowanie było tutaj za dużo kopania.

– Przede wszystkim chcę mieć już za sobą ten proces. – I dowiedzieć się, dlaczego wrócił.

Zacisnęła usta w wąską linijkę. Może sprawił to sposób, w jaki na nią patrzył, czy to, jak bardzo stawała się bezwolna w jego obecności, ale coś podpowiadało Marcel, że zna powód, dla którego wrócił.

W wygodnie urządzonej sypialni zebrało się dziesięć zupełnie obcych sobie osób. Prowadziły wymuszona rozmowę. Wejście kolejnego ławnika wywołało westchnienie ulgi. Dokonano prezentacji. Marcel przebiegła palcami po błyszczącym blacie orzechowego stołu. Zapiszczały, jak złapana w pułapkę mysz. Moment, a spojrzenie Raya już spoczęło na niej. Wbiła paznokcie w dłoń. Położyła ręce na kolanach. Nie chciała, aby dostrzegł ani jej obawę, ani cokolwiek poza tym, że się zmieniała.

Mężczyzna w średnim wieku, ubrany w sportową kurtkę, wstał. Jego twarz wyrażała zadowolenie. Marcel przypomniała sobie, że zajmuje się on handlem nieruchomościami. Miała wrażenie, że spotkała go kiedyś w klubie.

– Panie i panowie. – Jego głos był trochę zbyt głośny jak na tak mały pokój, ale tylko on zwrócił na to uwagę. – Wydaje mi się, że powinniśmy wybrać przewodniczącego – lub przewodniczącą, jeśli państwo bardziej skłania się ku temu. – Na jego twarzy pojawił się chytry uśmiech. – Nazywam się Gear. Oto moja wizytówka. – Wyciągnął z portfela spory plik białych kartoników. – Proszę wziąć jedną i przekazać dalej.

Marceli przypomniała się uwaga Raya sprzed dwóch tygodni: „Ty przynajmniej nie rozdajesz firmowych wizytówek”. Zerknęła na niego, podając dalej stosik. Uśmiechał się i ona zadrżała rozumiejąc, że dzielili się tym samym dowcipem, choć bez słów.

– Mamy dokonać nominacji czy jak? – spytała jedna z kobiet przerywając ich tajne porozumienie.

– Urzędnik sądowy może udzielić nam jakiejś rady w tej sprawie. Dlaczego na niego nie zaczekamy?

– Dobrze byłoby wybrać przewodniczącą, ponieważ jest nas tutaj dziewięć kobiet na trzech mężczyzn – zasugerowała młoda kobieta.

– Przewodniczącą, prowadzącą?

– Naszą grę wstępną. – Uwaga Raya wywołała powszechny śmiech, gdy i on dołączył do kolejki przy dzbanku z kawą. Podał filiżankę Marceli. Pokręciła głową i dodała cicho:

– Nie, dziękuję. – Gdy jego wzrok zawisł na jej wargach, odrzuciła to jako przywidzenie.

– Z tego, co wiem, mogą właśnie dążyć do zawarcia jakiegoś porozumienia – powiedział Ray. – Może wcale nie dojść do procesu.

– Słuszna uwaga.

– Ten pan ma rację.

Czy właśnie tego pragnął? Marcel zastanawiała się, czy naprawdę chciał wrócić do swoich interesów i nie mieć już z nią więcej do czynienia? Gdyby udało jej się przekonać o tym samą siebie, byłoby to na pewno rozczarowanie, ale za to spałaby spokojniej dzisiejszej nocy.

Obserwowała, jak wsypał do szklanki cukier, a potem zamieszał. Poliesterowa filiżanka gineła w jego dużej dłoni. Dwa razy stuknął drewnianym mieszadłem o brzeg naczynia, po czym siadając na miejsce, podniósł je powoli do ust. Pamiętała jeszcze jego usta, ich

nieugiętość, i to co czuła dwa tygodnie temu, gdy pocałował ją, a ona się nie sprzeciwiła.

– Marcel?

Lubiła sposób, w jaki wymawiał jej imię. Mówił niskim, trochę szorstkim głosem. Zmrużyła oczy.

– Tak?

– Mieszkasz od dawna w tym mieście, czy nie chciałabyś zostać przewodniczącą?

– Ja?

Spojrzenia zebranych wyrażały milczące poparcie. Jej kandydatura stanowiła rozsądne rozwiązanie wobec ewentualności wyboru pośrednika nieruchomości.

– Bez kłopotu radziła sobie z sędzią – zauważył ktoś. – A także wypowiadając się na sali sądowej. Ja nigdy nie odważyłbym się wystąpić przed taką masą ludzi – stwierdziła jakaś starsza dama nerwowo poprawiając włosy.

– A więc podjęliśmy decyzję.

– Nawet nie było głosowania – wtrącił pan Gear. – Powinniśmy załatwić to jak należy. – Zaczął wydzierać kartki z małego notatnika i rozdawać je siedzącym wokół niego osobom. – Proszę wpisać, kogo państwo sobie życzycie – dodał wielkodusznie.

Znaczek jego firmy widniał na każdej kartce, a pod nim nazwisko: Dick. G. Gear.

– Zdaje się, że to może być porażka polityczna – kwaśno skomentował Ray. Głośno literował nazwisko Courville wpisując je u siebie. – Nie pomyliłem się?

Marcel kiwnęła głową.

Kartki podano na koniec stołu, gdzie kobieta we własnoręcznie wydzierganym swetrze zebrała je.

– Muszę ogłosić, że jest to pierwsza decyzja podjęta przez naszą ławę przysięgłych. Wygląda na to, że wybraliśmy panią Courville.

– Pannę – poprawiła ją Marcel starając się nie zauważyć uśmiechu Raya.

– Szybko działasz – mruknęła przechodząc koło niego, mimo wszystko zdecydowawszy się na filiżankę kawy.

– Tak właśnie trzeba brać z życia wszystko, co tylko się da. Pamiętała te słowa w innym kontekście. Wymawiane miękko, nagłaco, gdy kusił ją, by zdecydowała się na wszystko.

Marcel wróciła na miejsce. Mieszając kawę przyglądała się mężczyźnie siedzącemu po drugiej stronie stołu.

– Chyba nie żałuje pani teraz?

Uśmiechnęła się, ale nie odpowiedziała. Żałowała wciąż i wciąż na nowo. Straciła rachubę, ile już razy oglądała się za siebie, gdy chodziło o Raya.

Tu i ówdzie słychać było rozmowy. Ray wypił łyk kawy.

– Jesteś na mnie wściekła, że cię w to wpakowałem? Wydaje mi się, że myślisz o czymś.

– Naprawdę?

– Mam wrażenie, że wprawiam cię w zdenerwowanie. – Uśmiechnął się, zmarszczki wokół jego oczu zarysowały się wyraźniej.

„Musi się często uśmiechać” – pomyślała Marcel, a puls bił jej szybciej, gdy przypomniała sobie, co ten uśmiech znaczył dla większości kobiet. Planowała dokonać dziś

więcej, niż tylko przesiedzieć cały ranek naprzeciw niego z łagodnym uśmiechem na ustach, milcząc, jak... jak dziewica.

- Nic mi nie jest – zapewniała.
- Mieszasz tę kawę już od dobrych trzech minut. – I co?
- Nic do niej nie wsypałaś, Marcel. Spojrzała w dół poruszona.
- Może jest już dokładnie rozpuszczona.
- Chyba jednak nic tam nie wsypałaś. Patrzyłem.

Co do tego nie miała wątpliwości. Nie spuszczał z niej wzroku.

Przebiegła wzrokiem po zgromadzonych, starając się nawiązać z kimś rozmowę, ale nie potrafiła podjąć wątku. Niezły będzie z niej ławnik! Urzędnik zapukał i wszedł do pokoju, policzył obecnych.

– Czy wszyscy mają znaczki ławników? Dobrze. Przepraszam za pączki, zwykle leży ich tu z tuzin. Cieszę się, że znaleźliście państwo kawę. Będziecie musieli zająć te same miejsca, co poprzednio. Czy wszyscy pamiętają? – Zerknął do swojego diagramu.

- Pamiętasz? – Ray spytał Marcel, jego wzrok przeszywał ją, słowa były pełne treści.
- Tak. – Pamiętała, tak wiele pamiętała.

Usłyszeli stuk sędziowskiego młoteczka w drugim pokoju. Ray był tuż za nią, gdy wchodzili. Będzie musiała przywyknąć do ręki Raya na plecach. Przytrzymał jej łokieć, gdy wchodziła na stopień. Ray zawsze miał staroświeckie maniere. Zachowywał się tak, jakby pomagał damie wysiąść z powozu czy zejść z podwyższenia.

Zarzuty stawiane Walterowi Steinbeckowi przypominały pełną listę rodzajów działalności przestępczej. Malwersacja, oszustwo, prowadzenie fikcyjnych przedsiębiorstw w celu ukrycia i oczyszczenia nielegalnego dochodu. Marcel przyglądała się niepozornemu mężczyźnie siedzącemu przy odległym stoliku. Miał na sobie schludny granatowy garnitur i krawat koloru burgunda. Gdy oskarżyciel odczytywał zarzuty, bawił się srebrną spinką od mankietu. Od czasu do czasu ujmował również srebrne pióro, by coś zanotować gestem dobrze zarabiającego agenta ubezpieczeniowego lub sprzedawcy używanych samochodów.

Sędzia Rosen z poważnym wyrazem twarzy poprosił ławę przysięgłych o uwagę.

– Znacie już państwo zasady. Proszę, abyście pamiętali, że to, co obrona i oskarżenie powiedzą we wstępie i podsumowaniu, jest tylko ich interpretacją sprawy. Nie są to fakty. Pod uwagę przy podejmowaniu swego werdyktu powinniście brać tylko to, co powiedzą pod przysięgą świadkowie. Pan Spannack przedstawił stanowisko oskarżenia, teraz pan Hazelton zaprezentuje nam, jak widzi to obrona. Jeśli nam się uda, powinniśmy mieć to za sobą przed lunchem.

Fascynujący proces przykuwał uwagę Marcel, tak jak się tego spodziewała. Było to wyzwanie, wymagające pamiętania o wszystkich zasadach postępowania, jak i rozważania całkowicie różnych punktów widzenia zaprezentowanych przez obronę i oskarżenie. Była bardzo skoncentrowana. Patrzyła uważnie na oskarżonego, gdy obrońca wymieniał jego zasługi w służbie publicznej, wykształcenie, poczucie odpowiedzialności.

Szczególnie jedno zwróciło uwagę Marcel. Pani Steinbeck nie była obecna na sali sądowej. Daleka od wspierania swego męża, rozwiodła się z nim i miała teraz zeznawać

przeciwko niemu. Tak twierdził prokurator, Spannack. Poważnie traktując swoje obowiązki ławnika, Marcel nie chciała wysuwać żadnych własnych hipotez. Skupiła uwagę z powrotem na Hazeltonie, który odczytywał właśnie długą listę wszystkich dobroczynnych przedsięwzięć, w których oskarżony uczestniczył. Nie pominął ani jednej „herbatki”, w której Steinbeck brał udział.

W natłoku szczegółów prawie udało się jej zapomnieć o Rayu. Tylko czasami, gdy odwracał głowę, dochodził ją zapach wody kolońskiej. Prawie podświadomie chciała znać jej nazwę. Jej spojrzenie umykało, gdy zakładał nogę na nogę w ciasnej przestrzeni. Posłał jej krótki, zmęczony uśmiech i puścił oko. Zanim uporała się z nagłym wzlotem motyli w sercu i odpowiedziała mu stosownym, uprzejmym uśmiechem, patrzył już gdzie indziej.

Marcel wierciła się na krześle. Ranek ciągnął się niemiłosiernie. W czasie krótkiej przerwy, gdy sędzia rozmawiał z reporterami, adwokaci przekładali papiery. Hazelton prawie już skończył szukać w teczce ostatniego dokumentu, jaki chciał przedstawić.

Jeśli chodzi o samego oskarżonego, miał on być albo zamaskowanym współnikiem zbrodni, człowiekiem, który w ciągu pięciu lat ukraść ponad pięćset tysięcy dolarów, albo niewłaściwie awansowanym kierownikiem, który zupełnie nie kontrolowany prznosił pieniądze z jednego konta na drugie z przyczyn, które obrońca dramatycznym tonem obiecał ujawnić w trakcie zeznań.

– Po usłyszeniu poruszających słów sędziego Rosena jesteście państwo świadomi, że jedynie zeznania świadków liczą się tutaj. A nie kwieciste mowy. – Tu Hazelton wskazał na swojego przeciwnika.

Jakby wyrażając swoją aprobatę, żołądek Marcel zaburczał głośno.

Nawet głowy widzów z pierwszego rzędu obróciły się w jej stronę. Ray, by ukryć uśmiech, zajął się swoim krawatem, ściągając mocno usta. Później puścił do niej oko. Jego wzrok powędrował tam, gdzie Marcel trzymała teraz rękę, czyli na jej brzuch.

Marcel zamarła. Nawet sędzia usłyszał. Ray dyskretnie wyciągnął rękę i pogładził ją po kolanie. Ręka prześliznęła się nie tylko po brzegu sukienki, ale też po jedwabiu pończoch. Marcel wyprostowała się, jakby została dotknięta prądem elektrycznym.

Wszyscy patrzyli na obrońcę, wciąż szperającego w aktówce.

– Obawiam się, że dokument, który pragnąłem zaprezentować, został w biurze.

– Niewiele może nam to pomóc. Kiedy, jak pan sądzi, może go pan zdobyć? – spytał sędzia.

– Jestem pewien, że w czasie lunchu.

– Dobrze więc, najwyższa już pora na przerwę. Ława przysięgłych jest wolna. Panie i panowie, bądźcie z powrotem o wpół do drugiej. Nie toleruję spóźnień.

Ławnicy odetchnęli z ulgą. Słysząc było różne argumenty i kontrargumenty.

– A co z lunchem? – spytał agent od nieruchomości, gdy urzędnik sądowy skierował ich ku przyległemu pokojowi. – Nie byliśmy poczęstowani rano pączkiem. – Zabrzmiało to, jakby pozbawiono go jakiegoś prawa konstytucyjnego.

– Przykro mi – wyszeptał urzędnik, po czym zwrócił się do ławy przysięgłych, – Jeśli chodzi o lunch, jesteście zdani na siebie. Możecie się udać gdziekolwiek, byle można było

tam szybko dojechać. W południe na parkingach pojawia się mnóstwo ludzi, by uregulować opłaty, więc możecie być zmuszeni wracać pieszo.

– Nie jemy w sądzie?

– Tylko wówczas, gdy sędzia zażąda, abyście zostali na obrady.

– Czy musimy pozostawać razem? – spytał ktoś.

– Nie, gdyby się jednak tak złożyło, proszę, aby nie rozmawiać o sprawie.

Ray kroczył tuż za Marcel, gdy ławnicy opuszczali pokój.

– Chyba sobie z tym poradzimy – szepnął. Poczowała jego oddech na policzku, gdy pochylił się ku niej. Jego ręka spoczywała lekko na jej talii.

Marcel cieszyła się, że miała na sobie gruby, wełniany płaszcz. Może tylko wymyśliła sobie, że czuje dotyk.

– Wiele mamy do nadrobienia.

– To prawda.

Dlaczego ją pocałował... Dlaczego pozwoliła mu odejść...

– Co powiesz, jeśli zabiorę cię gdzieś, gdzie jeszcze nigdy nie byliśmy?

To zabrzmiało przekonująco. Jeśli nie było tego w jego głosie, musiało znajdować się tuż pod jej skórą, pulsujące i szemrzące. Miękki trzask zamykających się za nimi drzwi był jak opuszczający jej płuca oddech. Postarała się rozluźnić uchwyt na torebce.

– Prowadź.

– Czyż nie robię tego zawsze? Niech licho weźmie ten uśmiech.

Miejsce, które wybrał na lunch, było długim, wąskim pokojem pełnym pnących kwiatów. Białe-czarne kafelki leżały na podłodze przypominając kraciaste obrusy, ściany były bielone wapnem. Każda z kelnerek miała na sobie czarny golf, białą kamizelkę i plakietkę z nazwą „Fern”. Bar nazywał się „Fern”.

Marcel wesoło pomachała do właściciela. W ciągu pięciu minut troje przyjaciół zdążyło przystanąć na pogaduszki. Uśmiechała się promiennie, czuła się zupełnie swobodnie, jak u siebie.

Zanim Ray zdążył im pozazdrościć, posłała mu uśmiech. Jej oczy błyszczały. Umiała patrzeć mu w oczy w ten sposób, jakby miała zaraz powierzyć mu jakiś magiczny sekret.

– Byłam już tutaj.

– Zauważyłem. Myślałem, że to jest nowy bar.

– Bo jest! Tylko klienci są starzy! To znaczy – starzy przyjaciele.

Przerwała czekając na jego odpowiedź. Radość emanowała z niej niezależnie od tego, czy on ją podzielał.

Umiała sprawić, że jego żołądek kurczył się. Nawet po tylu latach. Mógł przysiąc, że była to kwestia obycia towarzyskiego. Do diabła, widział ją w akcji, właśnie tu, w restauracji. Najgorsze było to, że mógłby patrzeć na nią w ten sposób przez całe życie i nigdy nie mieć dość. Nigdy też się nie nauczy, że nie należy zakochiwać się w kobiecie tylko dlatego, że ładnie patrzy w oczy.

Wiedział, że powinien posłuchać głosu rozsądku, a nie serca. A z pewnością nie tej części siebie, która zamieniła się w rozedrgany, pulsujący ogień tylko dlatego, że ona pochyliła się

ponad stołem, dotknęła jego ręki i powiedziała:

– Zamówimy coś.

– Dobrze – wychrypiał.

– Nie wiem, czy nie przydałoby ci się trochę wody. Oprócz wielu innych rzeczy. Wypił szklankę jednym haustem. Mógłby wypić całą karafkę.

– Myślisz, że zdążymy w godzinę?

Marcel wzięła do ręki menu.

– Zależy, jak głęboko weźmiesz to sobie do serca. Głęboko. Wsunął palec w węzeł krawata i pociągnął mocując się z granatowym jedwabiem.

Oparł się wygodnie. Ich kolana zetknęły się. Nie cofnął ich.

Uważnie wpatrywała się w kratkowany obrus, ramiona trzymała lekko, a książka na głowie z łatwością pozostałaby w równowadze.

– Słyszałem o twoim rozwodzie.

– Sześć lat temu. – Uśmiechnęła się. Równie dobrze mogliby rozmawiać o pogodzie.

– Nie masz dzieci?

Potrząsnęła głową. Te tereny nie były ostatecznie takie groźne. Wiele zdarzyło się w tym czasie – bardzo wydorosłała.

– Jaki on był? – Ray zapytał obcesowo.

Marcel łąpczywie wypila swoją wodę, serce jej waliło. Cicho odstawiła szklankę.

– O co ci chodzi? Wzruszył ramionami.

– Lubiał romansować, pił?

– Obawiam się, że nic tak dramatycznego.

– Zbyt wiele was różniło?

Znowu się uśmiechnęła zafascynowana sposobem, w jaki zaciskał szczęki – w tych samych momentach, co i ona.

– Wręcz przeciwnie. Żadnej pikanterii, żadnych odkryć. Poznaliśmy się na wylot w ciągu roku. Nie mogłam wyobrazić sobie spędzenia reszty życia w sposób tak...

– Tak... ?

– Tak ustatkowany, zrównoważony – Marcel poprawiła się. Nigdy nie mówiła nic nieprzyjemnego o swoim eksmężu. W rzeczywistości była bardzo dumna z tego, jak bardzo cywilizowany był ich rozwód. Spojrzała na Raya. Bycie z tym mężczyzną nigdy nie było łatwe. Przyszło jej na myśl słowo „niepokojące”.

– Może to nie brzmi sensownie.

Gdy drzwi otworzyły się i smuga światła przecięła salę, zmrużył oczy i zmarszczki zarysowały się głębiej.

– Nie mogę wyobrazić sobie, jak życie z tobą może być nudne.

Gorzki uśmiech, który jej posłał, sprawił, że serce zatłukło jej o żebra. Dlaczego po prostu nie powiedział: „Gdybyś poślubiła mnie, nie stałoby się tak”.

Marcel ułożyła papierową serwetkę na kolanach tak dokładnie, jakby była na obiedzie u królowej. Jej ręka pod stołem drżała.

– Nie ożeniłeś się powtórnie?

Potrząsnął głową, zgarniając ręką opadłe na czoło kosmyki. Marcel ścisnęła serwetkę, która wydała cichy szelest.

– Jestem zaskoczony, że pamiętasz jeszcze o mojej pierwszej żonie.

– Miała na imię Carol. – „Ray, pamiętam więcej, niż sądzisz”.

– Wyszła za mąż, zresztą szczęśliwie. To zabawne, jak błędy potrafią naprawiać się same, jeśli spotykamy właściwą osobę.

Tym razem odwróciła wzrok. Przestała ścisnąć serwetkę, jej palce przesuwały się między białymi i czarnymi kwadratami. Ray przykrył jej dłoń swoją ręką. Nie cofnęła się. Powoli jej wzrok znów spoczął na jego twarzy – Kawa? – spytał właściciel baru podając sałatkę.

– Dzięki – Ray oddał mu filiżankę.

– Proszę o mrożoną herbatę – powiedziała Marcel.

Fern szczypczykami przełożył dwie kostki lodu do filiżanki Marcel. Trzecia potoczyła się po stole, jak kostka do gry. Ray schwycił ją, oblizując chłodną wilgoć z koniuszków palców.

Nagły przyływ wspomnień – i żołądek podskoczył Marcel do gardła jak wystrzelona w górę rakietą. Duszej, letniej nocy wydobył kostkę lodu z wysokiej, przezroczystej szklanki i przesunął wzdłuż jej szyi. Wilgotny rozplwający się dotyk.

Pozbawił uczucia jej sutki, dopóki on nie wessał w nie nowego ciepła.

Odkasznęła, zwilżyła usta herbatą. Co się z nią dzieje? To miał być łatwy, towarzyski lunch. Próbowwała nadać ich znajomości formę, dzięki której będą mogli spędzić obok siebie w sądzie następny tydzień. Jeśli wymagało to powiedzenia całej prawdy, niech i tak będzie. Przelknie swoją dumę, tak jak łyk kawy czy herbaty.

– Chciałam cię spytać, dlaczego wróciłeś. – Pytaj.

Zirytowało ją, że jedyne pytanie, jakie przychodziło jej na myśl brzmiało: dlaczego mnie pocałowałeś?

– Powiedziałeś, że budujesz pasaż.

– Tak powiedziałem.

– Czy tylko to?

– Czy pytasz mnie, dlaczego nie wróciłem wcześniej? – Orzechowe oczy potrafiły być zadziwiająco twarde.

– Jeśli nie chcesz o tym mówić, zostawmy to.

– Po prostu samo zaginie gdzieś w niepamięci, czy tak, Marcel? – Tak jak on.

Nie chciała, żeby wtedy odszedł. Wiedziała o tym, wyczuwała to. Czowała się bardziej rozpalona, zmrożona, poruszona, „bardziej” pod każdym względem, tylko siedząc naprzeciwko niego. Jej puls wybijał nierówny rytm za każdym razem, gdy widziała, że na nią patrzy. Kręciło jej się w głowie i było jej słabo cały ranek. Głód nie miał z tym nic wspólnego.

Jej emocje przypominały szachownicę obrusa. Były jak rozgrywka ze zbyt wieloma możliwościami: tuzin różnych ruchów, a żaden z nich tak do końca ani biały, ani czarny. Głód nie miał z tym nic wspólnego. To jej apetyt był winny.

– Wiele lat upłynęło, także dla każdego z nas. Przeszłość może nie być istotna i nie mieć wpływu na to, jacy jesteśmy teraz.

„Istotna” – powtórzył w myśli jej powiedzonko, szybko dopijając kawę, aby oddać pustą filiżankę przechodzącą obok kelnerce. – Ciężka jak ołów.

– Nie wolno nam rozmawiać o procesie. – Nie.

– Oboje założyliśmy firmy – zasugerowała Marcel. – Moglibyśmy o tym porozmawiać.

– Wynajem i rachunki – skrzywił się i sięgnął do kieszeni w poszukiwaniu środka na zgagę. Kotleta jeszcze nie przyniesiono, a sałatki nie cierpiał.

– Płatności? – wzruszyła ramionami i zaśmiała się. Z powrotem na neutralnym gruncie.

Aż do momentu, gdy nie połknął swojego proszka. Przyszpilił ją wzrokiem.

– A co z zaległymi długami?

Wyczuła tę subtelną aluzję, ale nie dała się sprowokować. Docenił to.

– Chcesz zasugerować, że jesteśmy sobie coś winni?

– Zapomnij, że to powiedziałem. – Odsunął na bok tę kwestię. Nie miało znaczenia, jeśli kiedyś dawno temu wykorzystwała go. Był wtedy młodszy i bardziej naiwny. Była kobietą, która interesowała go teraz, choć „interesowała” było określeniem za słabym. Obserwując, jak kolejna smuga światła przesunęła się po jej twarzy, poczuł ciepło, którego nie pragnął, a które rozchodziło się w dół ciała.

– Nie ma sensu patrzeć wstecz.

– Zgadzam się – powiedziała.

Więc dlaczego nie potrafił przestać oglądać się w przeszłość? Wciąż była najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek znał. Ponieważ zawsze jej pragnął i będzie jej pragnął. Ponieważ świadomość, że kiedyś ją miał i odszedł zżerała go. Setki pigułek na zgagę nie pomogłyby tutaj.

– Nie moglibyśmy wrócić, nawet jeśli byśmy chcieli. Jej uśmiech przeszył go jak błyskawica.

– Cieszę się, że tak myślisz. Młodzi ludzie popełniają tyle błędów, posuwają się za daleko.

– Wydaje im się, że jutro nie istnieje.

Zaśmiała się znowu. Nie przegapił dotknięcia jej ręki, gdy w ten sposób pogratulowała mu dowcipu.

– Dorosłym też może się to zdarzyć, Marcel.

– Mówisz z doświadczenia?

– Zawsze byłem tym, który je posiadał. Ściągnęła usta i zganiła go wzrokiem.

– Myślałam, że to jest już za nami.

– Żebyśmy mogli zacząć od początku. – Z namysłem ujął jej rękę patrząc, jak rumieniec zakwitł na jej policzkach. – Co powiedziałabyś na obiad w miejscu bardziej intymnym? U mnie?

– Nie! – Przeraziła się, a słowo protestu wyrwało się jej, zanim zdążyła ubrać to w jakąś uprzejmą formę.

– Przynajmniej szczerze. – Zaśmiał się sucho.

– W związku z procesem będę bardzo zajęta wieczorem.

– Przed taką sprawą ustępuję. – Uśmiech. Pociągający, rozbijający, groźnie

uwodzicielski.

Gwałtownie zabrała swoją rękę.

– Mam na głowie interes, matkę, nadzór nad budową. Ray odchylił się do tyłu i zerknął na swojego rolexa.

– Nie przerywaj, chcę sprawdzić, ile wymówek jesteś w stanie wymyślić w ciągu sześćdziesięciu sekund.

– Ty też masz firmę – powiedziała szybko. – Czy interes idzie tak dobrze, że nawet cię nie potrzebują?

– Czy kiedykolwiek mnie kochałaś? – To pytanie unosiło się nad nimi jak wiatrak o bardzo wolnych obrotach. Nie myślał, że uda mu się zadać w końcu to pytanie, wiedział jedynie, że już bardzo długo go to dręczyło. – Powiedz mi tylko tyle i zniknę.

Patrzyła na niego. Kochała go? Cała była z nim, na jego skinienie i zawołanie – ogarniała ją niepoohamowana żądza.

– Nie, żeby miało to jakieś znaczenie – powiedział szorstko, przełamując jednocześnie bułeczkę. – Przeszłość to przeszłość.

Nawet herbata z lodem nie była w stanie znieczulić bólu w krtani. W swoim pieczołowicie zorganizowanym życiu nic jechała nigdy na oślep, przywołując wspomnienia tylko po to, żeby je za chwilę oddalić, jakby nigdy nie miały żadnego znaczenia. Ale może dla Raya nie miały. Może powinna o tym pamiętać.

– Lepiej, gdy przeszłość jest zapomniana – powiedział bardziej do bułki, niż do niej.

Uniosła ramiona.

– Z pewnością.

– A myślisz, że tym razem powiedzie nam się lepiej? Kukielka, oto czym była, sznureczki napinały się, a potem opadały. Prawie pozwoliła tak sobą zagrać.

– Nic będzie „tego razu”, Ray.

– Tak uważasz?

– Wiem o tym. A teraz... przepraszam na chwilę. – Położyła ciasno zwiniętą serwetkę na stole i poszła do toalety.

Jedli we względnej ciszy, zostawiając połowę jedzenia na talerzach. Po zapłaceniu rachunku Ray ujął Marcel pod rękę i poprowadził do drzwi. Mogła znakomicie chodzić o własnych siłach, ale wiedziała, że lepiej się nie spierać.

Potknęła się na krawężniku. Zgoda, nie potrafiła iść przyglądając się w tym samym czasie zarysowi jego szczęki.

– Przepraszam.

– O czym mogłabyś swobodnie rozmawiać? – spytał zupełnie niespodziewanie.

– Czy musimy o czymś rozmawiać?

– Tak – prawie syknął. Zgniółł zębami kolejny ze swoich proszków.

Marcel uważnie wybierała drogę pomiędzy płytkami chodnika.

– Nie wiem, co mamy wspólnego.

– Może seks. – Zatrzymał się gwałtownie. Jęknęła i sama ruszyła dalej.

– Mieliliśmy coś szczególnego, Marcel. A może to banał?

– Czy mógłbyś nie wykrzykiwać tego w miejscu publicznym?

– Nie spotkasz się ze mną w miejscu odosobnionym. Chociaż, jak pamiętam, lubiłaś sekretne spotkania. To dodawało dreszczyku. Dokładnie to, czego brakowało twojemu małżeństwu.

Szła dalej, z rękami w kieszeniach, pod wiatr, z pochyloną głową. Czowała, jak jej włosy tańczyły na szyi i wmawiała sobie, że nie miało to żadnego związku z tym, że Ray szedł tuż za nią.

Może seks, rzeczywiście! Wspinając się na stopnie gmachu sądu Marcel była tak wściekła, że nie była w stanie nawet sobie przypomnieć, co jadła na lunch. Ray Crane podważył jej postanowienie, wzburzył emocje, wprowadził w zażenowanie w miejscu publicznym. I wszystko to sprawiło mu rozkosz. Co gorsza rozbudził w niej pragnienia, których świadoma, rozsądna kobieta nie miała prawa mieć.

– Nie tym razem, Ray. Nie pozwolę, żebyś mi to zrobił.

To mogłaby być niezła kpina, tylko że Marcel skierowała ją do niewłaściwej osoby. Ray był bliski utraty kontroli nad sobą, tracąc równowagę z powodu zwykłego pocałunku.

Wieki temu zdobył dziewczynę swoim śmiałym, uwodzicielskim sposobem. „Nie miałam nic przeciwko temu” – skrupulatnie i uczciwie przyznała Marcel. Ale Marcel nie była już tą dziewczyną. Jeśli była dumna z tego, jak panuje nad swoim życiem, był tylko jeden pewny sposób, by ich oboje o tym przekonać.

Odda mu pocałunek. I nie straci głowy.

Uderzenie młotka, które zabrzmiało jak strzał z rewolweru, zakończyło pierwszy dzień procesu. Ława przysięgłych szybko rozproszyła się wśród licznych „do zobaczenia”.

Czekając w kolejce do szatni, Ray sięgnął nad głowę Marcel i zdjął jej płaszcz z wieszaka.

– Pozwól mi.

W myśli pogratulowała mu zręcznego manewru. W ten sposób nie mogła wyjść z gmachu, nie podchodząc do niego. Kiedyś zdawało jej się, że potrafi sobie z nim poradzić. A to on poradził sobie z nią i to po mistrzowsku. Ale nie tym razem. Pamiętając o swoim nowym postanowieniu, lekko oddała się w jego ramiona.

– Dziękuję.

Byli ostatnimi osobami w pokoju. Jego ręce zatrzymały się na jej ramionach. ‘Teraz lub nigdy, Marcel’. Odetchnęła głęboko i łapczywie, odwróciła się do niego. Dodało jej siły, gdy zobaczyła, jak jego oczy ciemnieją pod jej spojrzeniem. Podeszła bliżej.

Był spięty i czujny jak pantera, zanim zdecyduje się opuścić swoją kryjówkę.

– Sądziłam, że chcesz mówić o seksie. – Igrała z ogniem. Maleńka, bezbronna cząstka jej serca pogodziła się z faktem, że może nigdy nie będzie wiedziała, czy kiedykolwiek ją kochał. Ale musiała wiedzieć to teraz, czy kobieta może zrobić coś, czego nie mogła dziewczyna – na przykład pocałować Raya Crane’a i odejść nie spalona.

Przysunęła się bliżej, dotknęła płaszczem jego marynarki. Poczowała bliskość dokładnie ogolonej skóry, zapach wody kolońskiej.

Unióś jej brodę. Nie odpowiedział.

– Zdenerwowany? Nie ty, Ray. – Dotknęła go, przesuając koniuszkami palców po kłapie marynarki, pozwalając zabłądzić im w koszuli, kradnąc zwiastuny ciepła, które było wewnątrz. – Garnitur pasuje do ciebie jak siodło do dzikiego wierzchowca – drażniła obdarzając go ledwie zauważalnym uśmiechem.

– Tak sądzisz – skulił ramiona, jakby w geście obronnym. Pociągnęła za węzeł krawata, aż jego końce rozsypały się.

– Muszę przyznać, że nieźle się do niego przystosowałeś. Ktoś, kto spotkałby cię pierwszy raz, mógłby powiedzieć, że jest dla ciebie stworzony.

– Ale ty pamiętasz to inaczej.

– Myślę, że wiele rzeczy pamiętamy inaczej. Tu może tkwić nasz problem.

– Nie rozmawiamy więc o seksie. – Przesunął palcem po jej policzku. – Pamiętasz tak dobrze, jak ja. Właśnie dlatego uciekasz.

Czy dlatego też jej powieki drżały tak silnie za każdym razem, gdy jej dotykał? Z wysiłkiem otworzyła oczy. Wyzywał ją. Głos miał matowy, niski, mocny.

Tym razem nie uciekała. Ray był napięty jak cięciwa łuku: mogła go nagiąć lub złamać.

– Jakiego mnie pamiętasz, Marcel?

– Z nagimi plecami – powiedziała zdyszczonym głosem. Zaciśnął zęby. Przesuwał ręką po

jej włosach, przytrzymał opadającą głowę.

– Wciąż jeszcze mógłbym zabrać cię na niezapomnianą wyprawę.

– Spróbuj.

Zatrzymał się na krawędzi, jakby sprawdzając grunt, zanim się przed nią otworzy.

– Chcę, żebyś ty tego chciała.

Uśmiechnęła się, tym razem szerzej, usta rozchyliły się i wybuchnęła śmiechem, gdy jej oddech zmieszał się z jego oddechem.

– Jak sądzisz, co ja tu robię?

– Mam, na Boga, nadzieję, że wiesz – powiedział z jękiem w głosie, przyciągając ją gwałtownie do siebie.

Usta poszukiwały otwartych ust, spotkały się ich spragnione języki. Każdy pocałunek był jak cios sztyletu, zmieniający się, pogłębiający i powracający. Jego ręka zawędrowała w dół po jej plecach znajdując miejsce, które napinało się pod jego dotknięciem, rozluźniało i napinało znów.

Czuła to, pragnęła, ale rozpraszało ją to. Pragnęła skoncentrować się na nim, na tym, jak wysoko musiała wspinać się, by opleść jego szyję. Zatraciła się w nim. Skóra, żar, lekko kłujący zarost na jego szczękach, guziki jego koszuli. Tak, właśnie tego szukała, otwarcie. Przycisnęła usta do zagłębienia jego szyi i usłyszała, jak jęknął. Tak, wciąż panowała nad sytuacją, to był jej wybór, ta nagła słabość nóg była jej decyzją, ta obezwładniająca fala nie była poddaniem się.

„Bądź przytomna” – ostrzegał ją głos wewnętrzny, lecz inny błagał: „dotknij mnie tu”. Przeszył ją płomienny dreszcz w przewidywaniu tego, co się za chwilę zdarzy. Wszystko wirowało tak raptownie w czasie małej wieczności każdego pocałunku, że prawie zapomniała o swoim postanowieniu – to ona ma decydować.

Właśnie tego chciała – Raya.

Gdy odsunął kolanem krzesło, ich ciała splotły się. Przycisnął jej plecy i poczuła twarde róg stołu za sobą. Nie był przeszkodą. Marcel mocno zaciskała w rękę poję jego płaszcz.

– Ray.

Nie można było ukryć, jak działała na niego, było to dla nich oczywiste, mocny ból i zdyszane, płytkie oddechy, gardłowy jęk poddania się, gdy oderwał od niej swe usta i zamknął twarz w swoich rękach jak w pułapce.

– Marcel! – Głos miał chrypiący, jej imię zabrzmiało jak żądanie. Od perfum kręciło mu się w głowie, tchnienie ciepła wewnątrz satynowej podszewki jej zimowego płaszcza zalało go potem. Ten piekielny garnitur. Miał na sobie zbyt wiele ubrań, ona też.

Podszewka w kolorze szampana odbijała od jej włosów. Niebieskie oczy skrzyły się. Jej powieki były gorące, gdy je całował, usta rozwarte i wilgotne. Włosy miała w nieładzie, choć wciąż podtrzymywało je wiele spinek. „Nosi je mocno upięte” – pomyślał. Był mężczyzną, który mógł ją rozplatać – jedynym.

Ujął ją w tali i uniósł, aż usiadła na stole.

Jej oczy rozszerzyły się. Pod naciskiem jego kolana rozwarła nogi.

– Nie zatrzymuj mnie, Marcel. – Tutaj?

Znał to spojrzenie. Była zaszokowana. Była podekscytowana. Z nim odważyłaby się na wszystko. Żadna kobieta nigdy nie dawała mu takiego poczucia siły, takiego zastrzyku czystej adrenaliny.

– Po prostu zrób to, ze mną.

Duża dłoń obejmowała ją od tyłu, przyciągając do przodu. Druga zaginęła pod spódnicą, przesuwając się wzdłuż pończochy, aż napotkała zgrubienie podwiązki. Ciężko przełknął ślinę.

– Powiedz, że jedyną przeszkodą jest jedynie koronka. Słyszała szum krwi w uszach, a wątpliwości wirowały w głowie jak w górskim strumieniu. Ale wszystkie te dźwięki zalał głos Raya, wypełniający ją nieprzepartym pragnieniem. Nie mógł patrzeć na nią, nie jeśli chciał utrzymać przewagę. Przewaga. To słowo unosiło się w powietrzu jak konfetti.

Przesunęła ręką w dół po jego koszuli, palce zatrzymały się dotykając nagrzaną metalową klamrę paska. Nie mogli, nie tutaj. A jednak nie było odwrotu. Jak można zatrzymać coś, co nigdy nie miało być kontrolowane? Racjonalne rozumowanie i zupełnie wszechogarniające instynkty nie szły w parze, nie miały żadnej szansy.

– Hmmmm.

Trwało chwilę, zanim ten dźwięk dotarł do ich świadomości, jego ręce zamarły.

– Muszę zamknąć salę. – Urzędnik przewracał kartki w swoim notesie, jakby znalazł tam jakieś dodatkowe instrukcje.

Ray cofnął się tworząc barierkę, za którą Marcel mogła zewrzeć nogi. Kiedy już uporowała się z bluzką i spódnicą, bez słowa zdjął ją ze stołu. Ale nie pozwolił jej odejść. Pomiędzy nim a krawędzią stołu nie było gdzie uciec. Poglądził ją po włosach sprawiając, że jeszcze raz musiała spojrzeć mu w oczy. To, co w nich zobaczyła, zaprzeczało jego łagodnemu gestowi. To nie był jeszcze koniec, chciał, aby o tym wiedziała. Jej i jego ciało nie pozostawiały co do tego żadnej wątpliwości.

Zerknął ponad swym ramieniem na urzędnika.

– Wychodzimy.

– Jutro rano o ósmej.

Marcel prawie usłyszała uśmiech w jego głosie. W porównaniu z nim Ray był bardzo poważny.

– Będziemy tu. – Podał jej ramię.

Krew, która napływała do policzków Marcel, klóciła się z podnieceniem wzbierającym gdzie indziej. Kręciło jej się w głowie, było jej mdło, a jej równowaga zupełnie oszalała. Powinna być śmiertelnie przerażona. Gdy wróciła jej jasność umysłu, poczuła głębokie, dojmujące rozczarowanie, że im przerwano.

„To więc była ta zamiana ról” – pomyślała. Tak wyglądało jej opanowanie! Gdyby to nie skończyło się tak niespodziewanie, gdyby ten mężczyzna przyszedł dziesięć minut później... nie była w stanie o tym myśleć.

Ray zapiął garnitur. Na ulicy uderzył ich powiew ostrego, marcowego wiatru. Marcel trzęsły się ręce. Owinęła się ciasno płaszczem, jedną ręką przytrzymując kołnierz.

– Odprowadzę cię do samochodu, później pojedę za tobą – powiedział Ray.

Stała w pomarańczowym świetle latarni, a płatki śniegu wirowały wokół nich. Był już zmrok. Lampa mruczała ponad nimi, tak jak krew w jej uszach. Marcel wzięła głęboki oddech, ale nie pomogło to uspokoić galopującego serca.

– To, co zrobiłam tam...

– Co oboje zrobiliśmy – powiedział z naciskiem.

Jej oczy zapłonęły. Był uparty. Jak mogła o tym zapomnieć? Najwyraźniej zapomniała o wielu wadach Raya Crane'a. O jego żądzy i absolutnym bezwstydzie. Zrobiłby wszystko i nie obchodziło go, kto o tym wiedział. Całkowicie nie dbał o pozory.

– Co ty zrobiłeś, mogłabym dodać.

Uśmiechnął się z ukosa. Ton jego głosu był odrobinę drwiący.

– Chcesz powiedzieć, że cię wykorzystałem?

– Myślę, że dokładnie wiesz, co robisz. Czyż nie tak?

– Kiedyś pozwoliłaś mi uwierzyć, że jestem ekspertem. Oczywiście nie mogłaś mnie wtedy z nikim porównać.

Szedł za nią wzdłuż placu. Wszyscy pracownicy poszli już do domu. Obrady sądu były skończone. Jedyne zaparkowane samochody należały do obsługi nocnej zmiany więzienia.

– Chcesz powiedzieć, że był to jakiś szczęśliwy traf?

– Pocałowałaś mnie na do widzenia. Myślałam, że też cię pocałuję. Przez wzgląd na dawne czasy. – Było to bardzo bliskie prawdy, a jednak zabrzmiało tak pusto, jak jego śmiech.

– Przez wzgląd na dawne czasy? Marcel... Nie zatrzymała się.

– Marcel! – Schwycił ją za ramię. Zachwiała się na śliskim chodniku. – Jeśli to, co zrobiłaś teraz, to twój sposób na odnawianie starych znajomości, nie chciałbym spotkać cię na zjeździe koleżeńskim.

To przebrało miarkę. Odwróciła się gwałtownie w jego stronę z uniesioną ręką. Ale jej ruch był zbyt raptowny, pośliznęła się i musiał złapać ją w ramiona, żeby nie upadła. Stali tak, oddychając ciężko, z rozpalonymi oczami. Mgła przesuwała się między nimi.

– Jak śmiesz!

– Mógłbym powiedzieć to samo. Chcesz kłamać o tym, co się przed chwilą stało? Dlaczego nie o wszystkim? Dlaczego nie powiesz, że nigdy nic między nami nie było?

– Nigdy nie postępuję w ten sposób, nigdy.

– Tylko ze mną.

Nie mogła temu zaprzeczyć i sprawić, żeby w to uwierzył. To przez niego odrzuciła wszystkie swoje mechanizmy obronne, zapomniała o wszelkich obawach wpajanych jej od dzieciństwa. Był też jedynym mężczyzną, od którego kiedykolwiek chciała odwrócić się i uciec.

Kosztowało ją to wszystko, ale udało jej się nie podnieść głosu.

– Nie chcę tego, Ray.

– Jeśli przyszedłbym do ciebie w nocy, czy odepchnęłabyś mnie?

Jej oczy znów zapłonęły. Nie wiedziała, na kogo była bardziej zła – na siebie czy na niego.

– Nie bądź tego taki pewien. Otworzyła samochód.

Jedną dłonią zatrzasnął drzwiczki.

– Nie odjedziesz, dopóki nie powiesz mi, dlaczego posunęłaś się tak daleko.

– Zaskoczyłeś mnie.

– Ty mnie też. Czy zawsze dotykasz mężczyzn w ten sposób, gdy chcesz po prostu okazać swoją sympatię?

– Tylko rozluźniłam twój krawat, na Boga!

– Piekielnie dobrze mnie pocałowałaś.

– Bądź cicho!

Czar prysł. Twarz Raya zmarszczyła się w uśmiechu.

– Nie w miejscach publicznych. To powinienem był wiedzieć. Nie chcesz, żeby cię ze mną widziano, tak. Co powiedzą ludzie?

– Nie waż się drwić ze mnie. Nie o to chodzi, wiesz o tym dobrze.

Na przeciwległym rogu parkingu trzasnęły zamykane drzwiczki.

Oboje odwrócili się. Policjant siedział w wozie, spokojnie przypatrując się im.

– Podejrzewa, że cię napastuję. – I tak jest.

– Nie mów, że chciałaś mnie spłacić tym ostatnim na chybcika?

Odwróciła twarz, by ukryć łzy. Powietrze było mroźne. Oczy ją piekły.

– Nie wierzę w poniżanie się, a tam prawie to zrobiliśmy.

– A więc, następnym razem wybierzemy lepsze miejsce.

– I zapomnimy o wszystkim? – Zaśmiała się gorzko i otworzyła samochód. Tym razem jej nie zatrzymał.

– Szaleję za tobą, Marcel. Nigdy nie przestałem cię pragnąć. A więc powiedział to.

Zapalony silnik zawył. Jego pragnienie nie zatrzymało jej wtedy, dlaczego miałoby teraz? Wymamrotał jakieś obrzydliwe przekleństwo pod swoim adresem. Tak bardzo chciała uciec, że nacisnęła pedał do deski. Ledwie uskoczył z drogi, gdy rozpędzony samochód wyjeżdżał z parkingu z wciąż jeszcze zaparowanymi oknami. Samochód policyjny odjechał chwilę później.

Ray znalazł swój krawat wepchnięty do kieszeni i rzucił go na podłogę razem z płaszczem. Podchodząc do barku wyminął jakieś pudła. Zgniół złotą folię importowanego piwa, otworzył puszkę. Dom był zimny, wilgotny, ledwie zamieszkały. Szukał czegoś bardziej na stałe. Teraz nie był tego już taki pewien. Derby to może i dobre miejsce na główne biuro Korporacji Crane'a, ale mieszkała tu Marcel.

Przeszedł przez salon, jak zawsze poirytowany brakiem osobowości, charakteru i wykańczania nowo powstałych budowli. Zdobył go przez przyjaciela z branży budowlanej, który nie bał się konkurencji. Domy nigdy nie były specjalnością Raya i nie będą. Dobre mieszkanie, przyjemna kamienica czynszowa, to mu wystarczy. Wykazać może się budując biura, zostawiając domki jednorodzinne dla innych.

Nie dlatego, żeby miało to jakieś znaczenie. Nie mógł sprawić, aby Marcel choć spojrzęła na niego.

Odkręcił prysznic w łazience. Para unosiła się nad wrzącą wodą. Gdzieś z sutereny

dobiegł go jakiś trzask bojlera. Powinien się pośpieszyć albo przyjdzie mu stać w zimnej wodzie, kiedy jego zazwyczaj dwudziestominutowy prysznic dobiegnie końca. Puszka od piwa pokryta była parą, gdy upuścił koszulę na podłogę. Ściągnął skarpetki, slipy i zamknął szklane drzwi, nastawiając wodę na prawie zupełny wrzątek.

Nie bardzo pomogło mu to odwrócić uwagę od fizycznego bólu, który w nim tkwił. Teraz, kiedy czuł jeszcze dotyk i smak jej skóry, nie mógł pozbyć się tego uczucia.

Mydło wymknęło mu się z ręki. Zaklął i sięgnął po nie, uderzając głową o kran. Trzasnął ręką w kafelki zastanawiając się, jak długo piekłby policzek, gdyby udało jej się go uderzyć. Uśmiechał się ponuro. – Oto istotna myśl.

Przykładając rękę do kafelków pozwolił, aby woda po niej spływała. Jeśli podświadomie liczył na coś, to on i Marcel byliby już teraz w łóżku. Powtarzałyby mu, że go kocha, pragnie, i że tak było zawsze. – Pomarz sobie, bracie.

Zamiast tego unikała go, poprosiła, żeby odszedł, reagowała jedynie na jego dotyk, szepty, seksualne podniecenie emanujące z nich obojga. Mógł zbliżyć się do jej ciała, ale nie do, jej serca. Tak samo jak dziesięć lat temu.

Ta myśl była jak ukłucie. Piwo wciąż czekało na niego na stole. Wiedział, że jedno nie wystarczy – na pewno.

Dojechała pięć minut przed ósmą, chwilę przed wejściem urzędnika, który ich policzył. Policzki miała jasnoróżowe. Ray zastanawiał się, ile razy musiała obejść parking wokół, zanim zebrała w sobie odwagę, aby wejść do środka.

Skłoniła głowę w kierunku przysięgłych, ale nie spojrzała na niego. Także i wtedy, gdy wchodzili już na salę sądową. Jej jedyną reakcją było wzdrygnięcie, gdy dotknął jej pomagając wejść na pierwszy stopień podestu. Później starał się zachować dystans. Przy blisko ustawionych krzesłach nie było to łatwe.

Trwało kilka minut, zanim wszyscy zajęli swoje miejsca. W tym czasie Ray zdążył obliczyć wszystkie straty, jakie spowodowała zeszła noc.

Miała na sobie bardzo oficjalną garsonkę, grafitowo-szarą w lekkie prążki. Jej satynowa bluzka była w kolorze kości słoniowej, podobnie jak i włosy w pewnym oświetleniu. Ray potrafił rozpoznać zbroję, kiedy widział coś takiego. Paznokcie były jasnoróżowe. Pasowały do szminki. Śmiało wyciągnął rękę i zamknął jej dłoń w swojej. Spojrzała na niego natychmiast. Kciukiem gładził gładką powierzchnię jej paznokcia.

– Jak na kogoś, kto pracuje w drewnie, masz bardzo delikatne ręce. Czyja to zasługa?

Cofnęła się, składając, stanowczym gestem, ręce na kolanach, żeby jej głos zabrzmiał swobodnie:

– Spodziewałeś się odcisków?

– Nigdy nie oczekiwałem od ciebie niczego oprócz perfekcji. – Mówiąc to skierował wzrok w inną stronę.

Marcel marzyła, żeby sąd rozpoczął już obrady, odwracając jej zainteresowanie od tej tajemniczej uwagi. Perfekcja? Uśmiechnęła się krzywo i pomyślała, że ktoś inny uważałby to za obrazę. Może o jeden raz za dużo słyszała od Sandy zwrot „lodowa księżniczka”, aby się teraz rozpromienić. Ale poprzednia noc nie była odpowiedzią. Była przegraną, całkowitą

klęską jej pretensji do samokontroli.

I była to jego wina.

Marcel patrzyła, jak wchodzi na salę: Walter Steinbeck i jego adwokat, Hazelton. Wina za to, co się stało, spoczywała częściowo i na niej, jeśli nawet nie całkowita odpowiedzialność. Więc jak ma postępować z Rayem Crane'em od tego momentu? Traktować go zimno? Jak „lodowa księżniczka”?

Rozprawa rozpoczęła się. Wszedł sędzia Rosen. Marcel odetchnęła powoli, wyzwolona na pewien czas od torturujących myśli i jeszcze bardzo mieszanych uczuć.

– Chciałbym powołać pana George'a Weidmana z firmy zajmującej się księgowością Hardiman, Weidman Crowely. Oskarżenie rozpoczęło od zupełnie oszałamiającego wyjaśnienia podstawowych zasad księgowości i praktyk użytych przez firmę Steinbecka.

Po lunchu przysięgli zbierali się na sesję popołudniową. Marcel wciąż jeszcze miała w ustach smak kanapki z orzeszkami ziemnymi, którą kupiła w sklepiku po drodze. Wpadła w pośpiechu tłumacząc, że chciała zobaczyć, jak idą sprawy w firmie.

– Nie było cię dopiero półtora dnia – zauważyła kwaśno Sandy. – Jak dotąd jakoś sobie radzę.

– Jestem cały czas odpowiedzialna. Powiedz, kto dzwonił. Przy kawie i kanapkach w dziesięć minut omówiły wszystkie ważniejsze sprawy.

– Czy jest jeszcze jakiś powód, dla którego chcesz być tutaj? – spytała Sandy domyślnie.

– Cały ranek omawialiśmy rachunkowość. Nie mogłam się oprzeć pragnieniu zajrzenia w nasze własne książki.

– I?

Wzruszyła ramionami.

– A gdzie niby miałabym pójść na lunch?

– Restauracja to zwykle niezły pomysł.

– Możesz darować sobie ten sarkazm. Poza tym – Marcel podniosła filiżankę do ust – gdzie mogłabym dostać taką dobrą kawę. – Wypiła ją jednym haustem i zrobiła dziwną minę.

– Co to jest? Smakuje jak zużyty olej samochodowy.

– To kawa turecka.

– Nie częstowałaś nią chyba klientów, prawda?

– Jedyni, jakich mamy, wiedzą, że lepiej o nią nie prosić. Opowiedz lepiej, jak wygląda ta wymuszona bliskość z Rayem Crane'm?

Marcel zerknęła na zegarek. – Muszę już pędzić. Sandy uniosła brwi.

– Tak szybko?

– Sędzia zamknie mnie do więzienia, jeśli się spóźnię.

– W takim razie może powinnam była dosypać ci narkotyków do kawy. Wtedy mogłabym na dobre przejść firmę.

– Po pierwsze nie wypiłabym tej kawy aż tyle, żeby wpaść w trans. – Marcel uśmiechnęła się wsuwając ręce w rękawy płaszcza, szelest satynowej podszewki obudził wspomnienia ubiegłej nocy. Zdążyła zapomnieć, co miało być „po drugie”. – Mam wystarczająco dużo na głowie i bez intryg biurowych.

– Zwłaszcza, że intrygi sądowe są o wiele bardziej interesujące – mruknęła Sandy, gdy Marcel skierowała się do drzwi.

Znalazłszy się z powrotem na sali sądowej Marcel starała się opanować irytację. Od momentu założenia firmy „Wzory z Przeszłości” cała jej energia szła w jednym kierunku, prawie z nikim się nie spotykała. Skąd Sandy mogła wiedzieć, że z mężczyzną było inaczej? Dla Marcel, która tak bardzo ceniła sobie pewien dystans emocjonalny, myśl, że tak łatwo można było ją przejrzeć, była denerwująca. Poza tym czym innym jeszcze były wpadki w gronie przyjaciół, a zupełnie czym innymi porażka w obliczu takiego człowieka jak Ray Crane.

Prokurator Spannack zamachał przed zebranymi komputerową dyskietką. Marcel skupiła uwagę.

– Proszę sprawdzić, panie i panowie. Panie Weidman, czy jest to jedna z dyskietek używanych przez Korporację Halliwella?

– Tak sędzę – odpowiedział Weidman. – Nie mogę powiedzieć na pewno, dopóki jej pan nie wywoła.

Na stoliku pośrodku sali ustawiono mały komputer. Prokurator wsunął dyskietkę. Po krótkiej chwili na ekranie ukazały się dane.

– Wygląda to trochę inaczej niż za czasów, gdy do prowadzenia fałszywych rachunków używano dwóch kompletów ksiąg – wyjaśnił. – Dziś to wszystko robi się za pomocą komputera. Panie Weidman, co powiedział Walter Steinbeck, gdy skonfrontował go pan z dyskietką i zapisanymi przez niego rachunkami?

Hazelton wstał.

– Protestuję, Wysoki Sądzie. Nie stwierdzono jeszcze, kto zapisał te rachunki.

– Sprzeciw przyjęty. Panie Spannack, czy nie zechciałby pan sformułować tego inaczej?

– Panie Weidman, co powiedział Walter Steinbeck podczas rewizji ksiąg, gdy skonfrontował go pan z zapisem na tej dyskietce?

– Wyjaśniłem, że zabieram z terenu jego biura tę dyskietkę z powodu znajdujących się na niej nieprawidłowości. Powiedział, że nie mogę tego zrobić.

– Dlaczego?

– Powiedział, że potrzebuje jej do pracy. – I co pan zaproponował?

– Żeby wykonać kopię tej dyskietki. Zaoferował się zrobić ją sam i przekazać mi następnego dnia.

– Pan mu odmówił?

– Należy to do moich obowiązków. Musiałem odmówić. t Dyskietki można kasować, wymieniać i często nie ma sposobu, aby przekonać się, jaka informacja została zatarta.

– A kiedy nalegał pan na zabranie oryginału?

– Obawiam się, że gdy zaczął mnie błagać.

– Co takiego?

Weidman odkaszlnął i nachylił się bardziej w stronę mikrofonu.

– Błagał mnie, abym jej nie brał. Powiedział, że to, nad czym akurat pracuje, jest tylko w części skończone i że jeśli zabiorę dane, nie będzie w stanie dotrzymać jakiegoś terminu. Kiedy ponownie zasugerowałem skopiowanie dyskietki w jego obecności na miejscu, zaproponował mi dziesięć tysięcy dolarów.

– Łapówka?

– Tak właśnie to zrozumiałem, – To wszystko. Wysoki Sądzie.

Ray wyprostował się na krześle obciążając połą marynarki. Mimo swojego skoncentrowania na procesie, Marcel była świadoma wszystkich jego drobnych ruchów,

sposobu, w jaki się garbił, aby było mu trochę wygodniej, zaczepiając palce o krawędzie kieszeni, a kciuk o pasek. Kolanami dotykał poręczy, jego nogi były tak długie. Wciąż czuła jeszcze jego mięśnie spięte i przyciśnięte do jej ciała.

Na szczęście Hazelton odwrócił jej uwagę, podnosząc się powolnym prawie teatralnym ruchem z krzesła. Jak mógł odeprzeć obciążające zeznania Weidmana? Gładko przygładził sobie krawat na torsie, dotknął podbródka przewracając jakieś kartki, uśmiechał się do siebie, jakby posiadał jakąś informację nieznaną biednym, zdezorientowanym przysięgłym.

Sędzia wtrącił się.

– Przykro mi, ale nie jestem pewien, czy będziemy mieli na to dzisiaj czas. Czy chciałby pan powrócić do tego jutro z samego rana?

Gdy jego dramatyczny występ został w ten sposób udaremniony, Hazelton ściągnął usta przyglądając się świadkom z pogardą.

– Mam szczerą nadzieję, że rano uda nam się uzyskać bardziej klarowne zeznania od świadków. Nie wiem, jakie były odczucia przysięgłych, ale mnie wykład prokuratora na temat komputerowego przekazu zysków przyprawił o zawrót głowy. W rachunkowości zdaje się istnieć tyle samo kruczków, co w komputerach. Teraz, kiedy te dwa zostały połączone, na tej sali sądowej może już nigdy nie paść żadne uczciwe słowo.

– Dziękuję panu za podsumowujący komentarz – mruknął sędzia. – Mowy wstępne były wczoraj. Rozumiem więc, że odpocznie pan do jutra?

– Tak, Wysoki Sądzie.

Sędzia stuknął swoim młoteczką.

– Proszę państwa, a więc jutro, o ósmej rano.

Do końca tygodnia nie zdarzyło się, jak obliczył to Ray, żeby Marcel choć raz przyjechała wcześniej niż za pięć ósma.

Na lunch albo wracała do zakładu, albo jadła go z innymi przysięgłymi. Starła się go unikać ze wszystkich sił.

Ale Ray znał Marcel. To, co on zrobił, w jej oczach mogło być prawie niewybaczalne. Nie było jednak mowy o tym, aby mogli załatwić to w obecności obcych. Właśnie dlatego w piątek popołudniu czekał na nią przy szatni, gdy wszyscy już rozchodzili się.

– Czy tak zamierzasz rozwiązać tę sprawę? Udając, że ja nie istnieję?

Nikt nie odwrócił się w ich stronę. Przysięgli przywykli już do słuchania.

– Nie mamy już o czym więcej rozmawiać – Marcel powiedziała to miękko i nisko. Była opanowana.

– Chcę porozmawiać o tym, co stało się tamtej nocy.

To, co było pośpiesznym exodusem ławników, zmieniło się w powolne wycofywanie.

To nie było zbyt uprzejme z jego strony, ale Ray miał pięć dni na skonfrontowanie swoich uczuć, ocenienie stawki, zważenie ryzyka. I pięć nocy myślenia o niej, nocy, które go zupełnie rozpały. Nie był w nastroju, aby rozgrywać to rozsądnie. Musiał znaleźć się z nią sam na sam, tylko w ten sposób kiedykolwiek umieli rozmawiać.

– Porozmawiajmy tutaj albo znajdziemy jakieś miejsce bar – \ dziej intymne.

Marcel aż do bólu świadoma obecności ludzi wokół nich, zwróciła wzrok na niego.

Manipulował nią. Chciała, żeby wiedział, że ona zdaje sobie z tego sprawę. To się nie uda. Nie mógł jej zdobyć w ten sposób. Uzbrojona w złość Marcel spojrzała na niego.

– Mógłbyś wpaść do zakładu.

– Kiedy?

– Kiedy tylko będzie pan miał na to ochotę, panie Crane. Jesteśmy otwarci dla wszystkich.

Przeciskając się między przysięgłymi pozwoliła, aby drzwi z trzaskiem zamknęły się za nią.

Po kilku minutach Ray został sam. Nie triumfował i nie świętował. Przez moment był nawet zbyt zmęczony, aby cokolwiek planować. Walczył, aby ją odzyskać tak właśnie, jak powinien był to zrobić dziesięć lat temu. Tym razem nie będzie żadnego skradania, żadnych spotkań o północy. Jedno było po jego stronie: nie będzie przestrzegał żadnych zasad. Szczęśliwie dla niego nikt nigdy nie powiedział, że miłość jest uczciwa.

Marcel prawie że wmówiła w siebie, że rozmowy w sądzie o rachunkowości były powodem, dla którego tak skrupulatnie zajęła się własnymi księgami. Zbyt łatwo przychodziło jej kłamstwo. Jeśli mężczyzna chciał rozmawiać, mógł to zrobić. Powinna sobie z tym poradzić. Przynajmniej taką miała nadzieję.

Czy nie taka była jej strategia przedtem? Ale sprawy potoczyły się za szybko.

Czyż z Crane'em wszystko nie działo się zawsze w ten sposób? Czy nie tego się właśnie bała, że intensywność jego uczuć dorówna poziomowi jej emocji?

Przemyśli to. Był sobotni wieczór. Minęło sześć dni od tej niechlubnej sceny w sądzie. Wciąż rumieniła się na myśl o tym, co prawie zrobili. To była zdecydowanie wina Crane'a.

– Mogę wejść?

Omal nie wyskoczyła ze skóry. Niech to diabli. Jeśli w ten sposób reagowała na jego głos, jakie szanse miała na poradzenie sobie z jego dotykiem?

Pochylił głowę przechodząc przez drzwi, zgarniając z czoła kosmyk. Uśmiechnął się.

Marcel miała wzrok wbity w księgi. Przesiadywała teraz nad nimi po nocach. Tylko w ten sposób mogła w końcu usnąć. Inaczej marzenia o Rayu...

– Jest trochę późno.

– Nie za późno, mam nadzieję. Marcel zjeżyła się, słysząc te słowa.

Sandy wpadła zaaferowana, trzymając w obu rękach po filiżance kawy.

– Równie dobrze mogę się do ciebie przyłączyć, jeśli już uparłeś się, żeby w ten sposób zapracować się na śmierć. To powinno być wystarczająco mocne, żeby nas utrzymać przez pół nocy. Och. – Odstawiła filiżanki, bez wysiłku zmieniając ton. – A może dwie filiżanki będą akurat i może mimo wszystko nie zostanie.

Mimo tej uwagi Sandy jasno proponowała, że zagra rolę przyzwoitki. Odmowa lub zgoda zależała od Marcel. Wiedziała, że potyka się o własną dumę, ale przez całe życie starała się prowadzić sprawy w sposób, jak miała nadzieję, zrównoważony i dojrzały. Nie mogła właściwie prosić teraz o pomoc. To była bitwa, którą musiała stoczyć sama. Pozostawało pytanie, czy zwycięstwo oznaczało odejście Raya czy też pozostanie?

– Już dostatecznie długo cię dziś przetrzymałam, Sandy. Dziękuję ci bardzo za pomoc.

Gwałtowne bicie serca Marcel zagłuszyło wszystko, gdy usłyszała milknący w oddali warkot silnika samochodu Sandy. Ray pozostał w odległej części pokoju, rozglądając się wokół, tak jak pierwszego dnia. Jego wzrok powędrował po surowych stopniach schodów.

– Mogę zajrzeć?

Marcel kiwnęła głową. Gdy wchodził, szybko zerknęła do lusterka. Jej myśli zonglowały pomiędzy przerażeniem z powodu braku makijażu, a zadowoleniem, że ominęły ją kłopoty, gdyby przypadkiem przystanął obok niej. Zebrała włosy do tyłu w koński ogon, ściągnęła gumkę i dołączyła do Raya na górze.

– Tutaj to wciąż jeszcze stara wozownia. Trochę przestrzeni magazynowej.

Żdźbła słomy leżały na nie pomalowanej, drewnianej podłodze. Na jedną z nich Ray nadepnął.

– To zabawne, że nigdy nie wbiłaś sobie żadnej drzazgi. Marcel odkaszlnęła ignorując jego uwagę.

– Wydaje mi się, że jestem ci winna pewne przeprosiny. Była mu winna o wiele więcej.

– Za co?

– Za to że, prawie cię spoliczkowałam w zeszłym tygodniu. Nigdy tego nie robię. Nie mogę uwierzyć, co się ze mną dzieje... – I w myśli dodała: „Kiedy jestem blisko ciebie”.

Chrząknął unikając jej wzroku.

– Wpadasz w niezłą złość, kiedy to okazujesz.

Zabrzmiało to jak wymówka. Marcel nie zareagowała.

Patrzył na stare uprząże zwisające z krokwi, podkowy przybite do belek. Kucnął przysiadając na piętach i zgarnął stosik słomy w róg pod małym brudnym okienkiem.

– Nie bardzo moglibyśmy zrobić z tego łóżko. Jak sądzisz? – Ray.

– Zadziwiająco, jak zapachy wywołują wspomnienia.

– Wiem. – Wiedziała za każdym razem, gdy siedziała obok niego w sędzie czując zapach jego wody kolońskiej. Obrazy wywołane przez ten aromat były nieustanne, szokujące – trzymały ją w napięciu, zawsze świadomą jego obecności.

Ray oddychał powoli, serce biło mu wolno, przynajmniej w tej jednej sprawie się z nim zgodziła. Prawie czuł zapach benzyny z traktora ogrodnika, który pracował. Słyszał szelest gołębi nad nimi, widział dziewiętnastoletnią Marcel zrzucającą z siebie sukienkę w świetle księżyca.

– Czy to miejsce wydaje ci się mniejsze? – spytała. – Zawsze kiedy wracam do starych miejsc...

Potrząsnął głową.

– Może bardziej puste. Żadnych snopów siana. – Spojrzał na okno. – Może trochę obskurne.

– O, nie – odpowiedziała natychmiast i zaraz się pohamowała. Z jakiegoś powodu, którego nie umiała wyjaśnić, nie chciała, żeby to miejsce wydawało mu się obskurne.

– To brzmi jakoś inaczej – dodał wstając. Wolno podszedł do niej, odgłos kroków podkreślał jego słowa.

– Co masz na myśli? – Stojąc u szczytu schodów nie mogła cofnąć się, nie schodząc

równocześnie w dół.

– Głosy są inne. Prawie słyszę echo naszych słów. – Zbliżył się do niej o jeszcze jeden krok, łagodnie ujął ręką jej łokieć, odciągając Marcel od schodów. – Pamiętam to miejsce wypełnione szeptami i słowami. Ale słowa zawsze brzmią inaczej w ciemności. Czasami zastanawiam się, czy znaczą jeszcze to samo.

– Tu jest zawsze dobre światło – Marcel dodała pospiesznie, niepotrzebnie. Podeszła do okna. – Można by tu znakomicie wystawiać tapety, to jeszcze coś, za co chcemy się wziąć. Albo urządzić tu oryginalne poddasze.

– Nie wiem, czy to, co robiliśmy tutaj, można by określić jako oryginalne, Marcel.

Wzdrygnęła się. Przekraczając dzielący ich dystans pragnął przywrócić wspomnienia.

– Często tu przychodzisz? – spytał niskim głosem.

To był żart, ich żart, stworzony przez tuzin potajemnych spotkań. Dotyczył brzegu rzeki, lasu, wysokich krzewów obejmujących ogród od zachodu. I tego miejsca.

Przejechał rękami po jej ramionach. Marcel oddychała krótko i płytko. Każdy oddech był przepełniony zapachem Raya – męskim zapachem.

– Zdjęłaś sukienkę. To był nasz pierwszy raz – powiedział chrapliwym głosem. Mięta jego oddechu na jej policzku. To jeszcze jedno wspomnienie: słoma, gałęzie jodły i wilgotna stajnia. – Dotknęłaś mnie. Pierwszy raz dotknęłaś wtedy mężczyzny.

Pamiętała. Szelest odsuwanego suwaka, brzęk odpinanego paska. Stali nadzy, pozwalał jej przyglądać się swemu ciału. Później położył na sobie jej rękę.

– Śmiało, dotknij mnie.

Dużo czasu poświęciła jego twarzy, zbierając w sobie od – < wagę, by zbadać jego ramiona i tors, wyczuwając pod palcami wypukłość sutka, skręcające się włosy. Odważyła się nawet dotknąć talii i szczytu ud. Ale to ręka Raya poprowadziła ją do samego centrum. Jej wytrwały nauczyciel.

Szukające dotknięcie gładkiej skóry, napiętej, twardej i pulsującej pragnieniem połaskotało jej dłoń.

– Marcel – zbeształ ją po chwili. – Czy jedynie uściśniemy sobie dłonie?

Zachichotała, Ray zaśmiał się. Dotychczas nie wiedziała, że kobiety i mężczyźni śmiali się w takich sytuacjach, a także przy innych okazjach.

Dopiero później, dużo później jej ręce błądziły w ciemności szukając go, niewyraźne jęki błagające o więcej z oszalamiającą pasją. Nagle nie potrzebowała żadnych wskazówek, zadziwiająco samą siebie pragnieniami, potrzebami i śmiałymi żądaniem spełnienia, które Ray zaspokajał wciąż na nowo.

W wozowni oparła rękę na biodrach.

– Dlaczego wróciłeś? – spytała.

– Pragnę cię.

Zmroził ją jego pocałunek.

Usta miała mocno zaciśnięte. To nie miało znaczenia. Nie śpieszył się, smakując jej wargi, leciutko je gryząc, to była szansa, by possać, przygnieść i badać ich gładką powierzchnię. Przesuwał językiem po jedwabnych policzkach pokrytych drobnym meszkiem,

aż zbliżył się na tyle, by poczuć zapach włosów Marcel, wzmocniony gorącem, i perfumy za jej uszami. Całował ją wsłuchując się w urywany oddech.

– Czy tak bardzo cię przerażam?

Miała zupełnie wyschnięte usta, a serce łomotało w klatce żeber tak pustej, jak ten pokój.

– Nie jest to tak proste, jak samo pragnienie.

– Prześpij się ze mną i przekonaj.

– Nie! – Odepchnęła go, ledwie drgnął. Ale złamała unoszący się w powietrzu czar. – Jest różnica między nostalgią i poddawaniem się żądzy.

– Czyżby? W obydwu pragniesz tego, czego nie masz. Możemy mieć to raz jeszcze, Marcel.

– A ty aż za chętnie posłuchałbyś ich głosu. – Nie podobał jej się ton własnych słów, ich chropowatość i desperacja.

Zbiegła ze schodów, zatrzasnęła drzwi wejściowe i zaczęła gasić światła.

– Jeśli myślisz, że mogę być tak nonszalancka, gdy chodzi o przespanie się z człowiekiem, który jest mi prawie całkowicie obcy...

– Właśnie taka sama byłaś przedtem. Nacisnęła kontakt i kolejne światło zgasło.

– Wtedy było inaczej. – Jak?

– Potrzebowałam nauczyciela.

– Czego potrzebujesz teraz, Marcel? – Jego miękkie, drwiące słowa odbiły się echem w sąsiednim pokoju.

– Być cyniczną, wyrachowaną i podrapać się razem z tobą w swędzące miejsce. To, co proponujesz, cuchnie.

Krótkie przekleństwo Raya było tak kruche, jak jej głos.

– Albo uczynimy dzisiaj jakiś krok naprzód, albo zostawimy to w spokoju już na zawsze.

Złapał jej ramię, gdy sięgała po płaszcz. Stali bez ruchu za stertą drewna w smudze światła. Ciemności zbierały się wokół nich, jakby ukradkiem.

– Udowodnij, że się mylę. Pokaż, że wspomnienia są lepsze, niż jakakolwiek rzeczywistość, której moglibyśmy doświadczyć.

Wyzwanie, szyderstwo. Gdyby tylko wiedział, jak bliska była poddania się temu nalegającemu w ciemności głosowi.

Drzwi na zewnątrz były nabrzmiałe wilgocią. Zapiszczały, gdy je otwierała. Znalazła klucz w torebce.

– Wycieczka w głąb alei wspomnień dobiegła końca.

– Dlaczego uciekasz?

– Bo nie zostawiasz mi żadnego wyjścia! – Dyszała, nieświadoma nawet, skąd wzięła się ta nagła fala emocji. – To wszystko, co teraz mam. Nie widzisz? Gdy miałam ciebie, prawie że... zrezygnowałam z tego wszystkiego. I po co?

– Prawie? To ty powiedziałas mi, żebym się ulotnił. Jej głos brzmiał słabo w smagającym ich wietrze.

– Nie nalegałeś.

– Jesteś dziewczyną, która wie, czego chce. Nie sądziłem, » żeby mogło to mieć jakiś

sens. – Ale zaczynało mu świtać, że może była jakaś szansa. Dojrzałby ją, gdyby nie był tak pewien, że się dla niej nie nadawał.

– Miałam dziewiętnaście lat, Ray. – Głos jej się załamał, gdy próbowała stłumić szloch. Gdy odezwała się po chwili, panowała już nad sobą. – Poszłabym z tobą wszędzie, zostawiłabym wszystko... Ja, rozsądna, dojrzała Marcel, na której można było polegać. Jeśli mnie pragnęłaś, to z pewnością nie próbowałeś dostatecznie mocno mnie zatrzymać. – Westchnęła, jakby zrezygnowała już z udawania. Odeszła w stronę domu, nie spodziewając się, żeby poszedł za nią.

Jednak pytanie, które przedtem uznał za nieważne, wciąż go dręczyło. Musiał się koniecznie dowiedzieć.

– Spytałem cię wcześniej, czy mnie kiedykolwiek kochałaś. Nie odpowiedziałaś mi.

– Myślałam, że było to oczywiste. Szalałam za tobą. Byłam szalona, nieprzytomna i gotowa zapomnieć o swoich planach, oczekiwaniach rodziców, o wszystkim. Poszłabym za tobą wszędzie, jak jakiś włóczęga.

– Nie byłem aż tak biedny.

Marcel uśmiechnęła się, słysząc ten głos urażonej dumy.

– Gdybyśmy się pobrali, nie stałbyś się bogatszy.

– Myślisz, że dlatego cię chciałem? Dla twoich pieniędzy? Powiedział, „chciałem, nie – kochałem”. Marcel zamknęła oczy walcząc ze łzami, których już nie mogła powstrzymać.

– Miałam na myśli tylko to, że moglibyśmy skończyć pociągając jedno drugiego w dół.

– Bzdura. Z taką kobietą jak ty, mógłbym...

– Co mógłbyś? – Przerwała gwałtownie, zwracając się w jego stronę. Zbyt ją to raniło.

W tej chwili pragnęła jedynie wejść do domu, zamknąć za sobą drzwi i wypłakać się do woli, nie pytając, dlaczego tak się dzieje.

– Czy mógłbyś założyć firmę beze mnie? Mógłbyś zarobić miliony? I tak ci się udało. Proszę, przestań dręczyć mnie przeszłością, pytać, co czułam, tłumaczyć, co zrobiłaś. – Wciąż nie wiedziała i wciąż nie mogła zapytać. Nie ze ściekającymi po policzkach łzami. – Byłoby o wiele prościej, gdybyś po prostu sobie poszedł. Proszę, idź.

Odszedł wiedząc, że nie chciała, by patrzył na jej łzy. Odszedł. Nienawidząc świadomości, że nie jest w stanie ich zatrzymać.

Poniedziałkowy ranek nadszedł jakoś zbyt wcześnie. Marcel była rozkojarzona i rozdrażniona. Spędziła prawie pół nocy na rozważaniu całego swojego życia. Jedynie pamięć o uszczypliwych uwagach sędziego Rosena w stosunku do innych przysięgłych zmusiła ją do wstania z łóżka.

Dotarła do sądu wpół do ósmej. Ray był za pięć ósma. Zrozumiała jego taktykę, w milczeniu przyznając mu punkt. I prawie natychmiast odejmując go za brak oryginalności. Miał zamiar grać nieprzystępnego. Może zauważył ten stalowy błysk w jej oczach – w tych dwóch momentach, gdy pozwolił, by ich oczy spotkały się.

Przyznała się, że go kochała. On nie powiedział tego samego. Wybuch płaczu nie był jej ulubionym sposobem rozwiązywania konfliktów. Tak naprawdę nie mogła sobie nawet przypomnieć, kiedy zdarzyło się jej to ostatni raz. Może gdy miała osiem lat...

Doskonale. A więc to było już załatwione. Nie znaczyło to jednak, że cokolwiek się wyjaśniło, choć zeszłej nocy byli ze sobą bardziej szczerzy niż kiedykolwiek w ciągu ostatnich trzech tygodni.

Mniej więcej około trzeciej nad ranem odkryła, że jest kobietą bojącą się wszelkich emocji, nad którymi nie mogła zapanować. Gdyby i tym razem kazała Rayowi odejść, byłoby to łatwiejsze. Nie musiałaby się więcej martwić, płakać, tak jak to właśnie zrobiła, czy w ogóle mieć do czynienia z tą niewiarygodnie zawstydzającą uczuciową płataniną. Czy ryzykować jeszcze poczuciem tak ekstatycznego szczęścia. Mając osiemdziesiątkę i podsumowując swoje życie będzie mogła powiedzieć, że nigdy nie popełniła błędu z powodu żadnego mężczyzny. A jej uporządkowane, puste życie będzie mogło o tym zaświadczyć.

Spoglądając przez okno, ponad rozciągającymi się na zewnątrz trawnikami, Marcel pragnęła czegoś więcej. Po dziesięciu latach uczuciowego marazmu miała nową szansę, by kochać, śmiać się, ryzykować. Chciała tego ryzyka.

– To mogłoby doprowadzić do tego, że pokocham Raya na nowo – powiedziała, a jej oddech poruszył delikatne firanki. On może nie kochać jej tak gwałtownie, jak ona była w stanie kochać jego. Ale gdzie wtedy ryzyko, jeśli wszystkie szanse byłyby po jej stronie? Nie chciała więcej bezpiecznej gry.

Podążała za mężczyzną, który nauczył ją miłości. Teraz nauczy ją uczuć, tego, że powinny być ratowane, a nie tłumione. „Naucz mnie, naucz mnie, gdzie popełniłam błąd” – powtarzała w myśli.

Kiedy ranek rozproszył już szarą mgłę nad horyzontem, uśmiechnęła się. Prawie że żałowała Raya Crane’a. Gdy chodziło o osiągnięcie celu, dziewiętnastolatka nie mogła równać się z dojrzałą kobietą.

– Jedenaście, dwanaście – liczył obecnych urzędnik sądowy. – Czy przysięgli mogliby wejść na salę?

Marcel nie martwiła się. Mieli jeszcze przed sobą cały tydzień. Złapie go w korytarzu, przy szatni, w barze. I przycisnie go wtedy do muru.

Ale najpierw musiał się zakończyć proces.

Zatrzymała się, nim zrobiła krok w stronę ławy przysięgłych. Ray nie podał jej ręki. Zrobił to urzędnik. Marcel zatrzymała się jeszcze na ułamek sekundy, a potem unosząc głowę, królewskim krokiem przeszła na koniec, gdzie usiadła bardzo zadowolona z siebie. Nawet Grace Kelly nie mogłaby okazać więcej zimnej krwi. Włosy miała rozpuszczone i zaczesane do tyłu, każde pasemko na swoim miejscu. Garsonka była z kolekcji Chanel, zimowa biel ze złotymi guzikami. Pończochy były z prawdziwego jedwabiu. Nie śpieszyła się zakładając nogę na nogę. Spojrzała na stolik oskarżonego, potem na prokuratora, wreszcie na Raya.

Oczy Raya przesunęły się od jej nóg do przepysznego uśmiechu.

– Dzień dobry – powiedziała.

Zacisnął szczęki tak silnie, że ukazały się napięte żyły. Dotknęła jego nogi. Prawie że uderzył głową o sufit.

– W porządku – ogłosił sędzia Rosen. – Dla przypomnienia: kontynuujemy sprawę z zeszłego tygodnia przeciwko Walterowi Steinbeckowi. Mam nadzieję, że pamiętali państwo, aby nie rozmawiać o procesie w czasie weekendu?

Przysięgli kiwnęli przytakująco.

– To ostatnia rzecz, która mogłaby mi przyjść do głowy – mruknęła pod nosem Marcel. Gdy sędzia kontynuował sprawy porządkowe, Marcel położyła rękę na poręczy fotela, koniuszki palców leciutko dotykały mankietu koszuli Raya. Wciąż podnosił rękę, najpierw żeby poluzować, a potem żeby podciągnąć krawat. Wygładził klapę marynarki. Spojrzał na zegar.

„Wierci się jak wyrośnięty chłopak w za ciasnej ławce” – pomyślała Marcel – „albo jak skazaniec na krześle elektrycznym”.

Ray przełknął ślinę, a krawat posłużył dodatkowo jako dławiąca obroza. Można by pomyśleć, że świat przeznaczony był nie dla ludzi, lecz dla karłów. Przecież to przestępcy mieli czuć się nieswojo, a nie przysięgli. Przeklęte krzesło uciskało go, w sali było duszno już teraz, o ósmej rano! Zapach perfum napierał na niego z obu stron, ale jeden wyróżniał się szczególnie. Marcel. Wolałby tego nie czuć. Jego rzeczy, gdy podnosił je z podłogi dziś rano, były tym zapachem przesiąknięte. Czuł, jak zapach Marcel wdiera się do jego szafy, do jego życia.

Była dla niego bardzo miła. Właściwie kokieteryjna. Dlaczego? Na pytanie, czy kiedykolwiek go kochała, dostał odpowiedź, której pragnął. Kochała go, a on był głupcem, że tego nie widział. Może nie odrzuciła go wtedy tak zimno, jak mu się zdawało, ale z pewnością uczyniła to zeszłej nocy. Stanowczo i ze łzami w oczach. Jak mógł ją jeszcze teraz odzyskać? Mężczyzna też ma swoją dumę.

A prokuratura sprawę do osądzenia. I Ray musiał siedzieć obok Marcel do końca procesu. Obrona do tej pory ograniczyła się do surowego wypytywania świadków i poddawania w wątpliwość każdego istotnego fragmentu zeznań. Ray rozważał to, co usłyszał, czekając na ten jeden jeszcze szczegół, który uczyniłby Waltera Steinbecka winnym czegoś więcej niż tylko < defraudacji.

– Chciałbym powołać na świadka panią Emilię Steinbeck – ogłosił prokurator. Miała na sobie etolę z nerek. W podobną była kiedyś ubrana matka Marcel, Ray widział ją, gdy jechała przez miasto. Ale to były stare pieniądze. Od pani Steinbeck czuć było nowe pieniądze, świeżo wydrukowane i szybko wydane. Pierścionek na jej prawej ręce błyszczał tak mocno, że nikt nie pomyślałby, że diamenty wydobywa się z ziemi. Podobnie lśniły kolczyki. Podeszła w etoli do pulpitu dla świadków.

Gdy prokurator Spannack wolno przemierzał dywan, wzrok wszystkich skupiony był na niej.

– Pani Steinbeck, od jak dawna jest pani rozwiedziona z Walterem Steinbeckiem?

– Od trzech miesięcy – powiedziała z wyraźnym zadowoleniem. – Obawialiśmy się, że

rozwód może nie dojść do skutku na czas.

Oczywiste było, że od dawna czekała na ten dzień. Ray zastanawiał się przez chwilę, co mogło kiedykolwiek łączyć tak pewną siebie kobietę z mężczyzną tak zgnicionym i podeptanym jak Walter Steinbeck. Gdy ona mówiła, wydawało się, że on kurczy się na swoim miejscu.

Spannick lekko zmarszczył brwi z dezaprobatą, co zmitygowało nieco panią Steinbeck.

– Proszę ograniczyć się do odpowiedzi na pytania. Czy mogłaby nam pani powiedzieć, ile w ciągu tych lat Walter Steinbeck zarobił pieniędzy?

Hazelton podniósł się.

– Sprzeciw, Wysoki Sądzie.

– Uwzględniony. Proszę to wyrazić inaczej, panie Spannick.

– Pani Steinbeck, czy miała pani jakiegokolwiek pojęcie o rzeczywistych zarobkach pani męża?

– Widziałam czeki z jego wypłatą. Nie było tego dużo.

Steinbeck skurczył się jeszcze bardziej. Ray upomniał siebie – ma koncentrować się na zeznaniach, odsuwając współczucie na bok.

– A czy wiedziała pani, jakie zajmował stanowisko?

– Myślałam, że tak – powiedziała ostro. Przyglądziła swoje oszronione siwizną włosy i mocno zacisnęła wargi.

Zanim skończyło się przesłuchanie pani Steinbeck, zdążyła ona dość przekonująco zeznać, że jej mąż był podejrzanym karierowiczem, który, ożeniwszy się powyżej własnej pozycji, kradł pieniądze, żeby utrzymać styl życia, na który inaczej nie byłoby go stać. Przekonała też Raya Crane'a, że przy swojej żonie Walter Steinbeck nigdy nie miał żadnej szansy.

Marcel wzięła głęboki, wolny oddech. To wszystko nie przemawiało za oskarżonym. Jednakże na wypowiedzi każdego świadka obrońcy udaloby się rzucić dostateczny cień wątpliwości...

Mocno splotła ręce. Czyż nie taki właśnie scenariusz stworzyła dla Raya? Potencjalne konsekwencje małżeństwa kobiety wychowanej w zbytku z mężczyzną... Była wtedy za młoda, aby go kochać. Mężczyzna, delikatnie popchnięty ku przestępstwu, po to aby wyrzucić na niej wrażenie, aby zatrzymać tę marną miłość! Żałowała, że nie może z nim o tym porozmawiać.

W oczach Raya pojawił się stalowy błysk, wyraz jego twarzy był nieporuszony, gdy słuchał długiej litanii pani Steinbeck wyliczającej, jak ważną pozycję zawsze zajmowała w mieście jej rodzina. Wyczuwając spojrzenie Marcel na sobie odwrócił się, ale w jego wzroku nic złego nie można było wyczytać.

– Oskarżenie nie ma więcej pytań do świadka, Wysoki Sądzie.

Hazelton wstał, ocierając jednocześnie usta bordową chusteczką, jak kot, który schrupał właśnie tłustego, soczystego kanarka i jest gotów do następnego dania. Wepchnął chusteczkę z powrotem do kieszeni na piersi i rozpoczął spokojnie, jakby podejmując przerwany wątek.

– Obawialiśmy się, że nie zdążymy na czas z rozwodem. Kto to jest „my”?

– Ja i moi adwokaci.

– Dlaczego było to takie istotne?

– Ponieważ nie mogłabym zeznawać, gdybyśmy byli małżeństwem. Takie jest prawo.

– A pani koniecznie chciała zeznawać.

Nadęła się, etola falowała na dostojnej piersi.

– Ja znam prawdę.

– To prawdziwe szczęście – cierpko odparował Hazelton. – Powiedziała pani „adwokaci”.

Czy rozwiązanie tego nieszczęśliwego związku wymagało więcej niż jednego adwokata?

Poruszyła się lekko na krześle poprawiając swą podszytą futrem zbroję.

– Miałam jednego adwokata, jakkolwiek inni prawnicy w tej kancelarii byli łaskawi na tyle, by służyć radą od czasu do czasu.

– A jaka to kancelaria?

– Me widzę, jaki to może mieć związek...

Hazelton uniósł głowę. Na jego twarzy malował się ponury uśmiech. Nie musiał mówić „proszę odpowiedzieć”. Pozwolił, aby cisza potrwała chwilę.

Emilia Steinbeck była zirytowana. Jako koronny świadek spodziewała się zdecydowanie lepszego traktowania.

– Hopkins, Spannack, Goudall i Kemp... Jest pan zadowolony?

„Gdy próbuje być sarkastyczna, jej głos staje się bardzo ostry” – zauważyła Marcel. Pani Steinbeck jeszcze raz poprawiła swoją etolę.

Hazelton powoli powtórzył jej odpowiedź” na użytek przysięgłych.

– Mówi pani, że pani adwokat jest partnerem w kancelarii, w której pan Spannack też jest partnerem, to znaczy był, dopóki nie wziął urlopu, aby zostać prokuratorem okręgowym. – Jego słowa stawały się coraz bardziej donośnie i szybkie. – Czy pomógł on pani także zdecydować się na rozwód? I przygotować to oskarżenie przeciwko pani mężowi? Mężowi, którego w oczywisty sposób chciała pani ukarać za nieutrzymywanie pani na poziomie, do którego rzekomo pani przywykła?

– Co mam na to wszystko odpowiedzieć? – zapytała chrapliwym głosem.

Ale Hazelton nie zwrócił prawie na to uwagi.

– Proszę nie patrzeć teraz na pana Spannacka, pani Steinbeck. On nie może już teraz pani szkolić!

– Sprzeciw! Wysoki Sądzie!

– Ma pan rację, panie Spannack. Panie Hazelton, pan wie, co oznacza wysuwanie tego typu oskarżeń w sądzie. Popisy dramatyczne to co innego, a...

– To prawda, Wysoki Sądzie. Wycofuję tę uwagę. – Ale nie zrezygnował z uśmiechu, skierowanego w stronę ławy przysięgłych. Powoli podszedł do stanowiska świadka, jak rekin wyczuwający krew w wodzie.

– Pani Steinbeck, czy mąż mówił pani kiedykolwiek, że kradł dla pani?

– Powiedział, że zrobił to wszystko dla mnie.

– Czy to jest dokładny cytat?

– Tak – syknęła. – „Zrobiłem to wszystko dla ciebie. „ Tak powiedział. W tym czasie

policja waliła już w drzwi.

– „Zrobiłem to wszystko dla ciebie”. – Hazelton rozważał przez chwilę. – Zrobił co? Zapracowywał się, by nigdy nie otrzymać od pani nic więcej poza rachunkiem na karcie kredytowej. Pracował siedemdziesiąt godzin w tygodniu po to, żeby mogła pani narzekać, że nigdy nie towarzyszy pani w odwiedzinach w klubie ziemian?

– Nie odpowiem na to, to obraźliwe!

– To pani zeznania, pani Steinbeck. W swojej wypowiedzi skarżyła się pani na jego długie godziny pracy kolidujące z życiem towarzyskim. Czy ktokolwiek poza panią słyszał go mówiącego „zrobiłem to wszystko dla ciebie”?

– Nie, ale moje zdanie też się chyba trochę liczy.

– Potrzebujemy zeznań, a nie opinii. W wyniku pani nalegali, mąż wziął się w garść, zaczął w końcu, jak to pani ujęła, postępować jak mężczyzna, walcząc o to, co mu się należało. Zaczął przynosić większe zarobki.

– Proszę, aby nie ujmował pan tego w sposób sugerujący, że ja cokolwiek z tego zaplanowałam. Już wystarczająco zostałam upokorzona do tej pory. Mąż przestępca, nieudacznik. Zawsze wiedziałam, że był nic nie wart.

– A jednak poślubiła go pani.

Otworzywszy wytworną torebkę wyciągnęła z niej chusteczkę i przetarła oczy, choć wydawały się całkiem suche.

Odkąd Hazelton wstał, Marcel nie widziała jeszcze tak otwartej gry przed publicznością.

– Byłam młoda i głupia – powiedziała pani Steinbeck, choć cięż nie wyglądało na to, by mogła przekonać kogokolwiek, że jedno lub drugie kiedykolwiek jej dotyczyło.

– Zeznała pani, że utrzymywał panią dzięki malwersacji.

– Nie wiem, w jaki inny sposób mógłby zdobyć pieniądze.

– Tak pani zeznała. A jednak zatrzymała pani norki, klejnoty i dom.

Nagle nie próbowała już więcej udawać, że płacze. Ścisnęła chusteczkę, jakby był to odbezpieczony granat. – One należą do mnie.

– Jak to możliwe? Przecież były kupione za pieniądze...

– O nie! – Uniosła się z miejsca, mikrofon nie był już potrzebny, gdyż jej piskliwy głos rozchodził się po całej sali. – One należą do mnie i nie może mi ich pan zabrać. Wiem, że nie. Upewniłam się co do tego, zanim zgodziłam się zeznawać...

Zdumienie widoczne było w oczach wszystkich, którzy patrzyli teraz na prokuratora. Ze wszystkich sił starał się nie okazać żadnej reakcji. Ale już to samo było reakcją.

– Proszę nam powiedzieć, pani Steinbeck – Hazelton prawie zamruczał – jakiego rodzaju układ zawarła pani z panem Spannikiem w związku ze swoimi zeznaniami? Jaką ilość z pieniędzy, które, jak pani utrzymuje, ukraść pani mąż, ma pani zamiar zatrzymać?

Od Emilii Steinbeck biła wściekłość. Patrzyła raz na Hazeltona, raz na Spannicka. Następnie wstała majestatycznie, odłożyła etolę i zamierzyła się torebką dokładnie w głowę Hazeltona. Cała sala poruszyła się, jakby rażona prądem elektrycznym, a woźny sądowy podbiegł, aby powstrzymać świadka. Sędzia zastukał młoteczkiem.

Ray rzucił szybkie spojrzenie na Marcel. Jej oczy były tak szeroko otwarte, że nie mógł

powstrzymać uśmiechu. Odwzajemniła jego uśmiech.

– Wielkie nieba – szepnęła. Uścisnęła jej dłoń.

Spannick podskoczył na równe nogi.

– Zgłaszam protest! Protest!

– Proszę uwzględnić, Wysoki Sądzie. Ja nie mam nic przeciwko temu. – Hazelton przekrzykiwał zgiełk, przekazując torebkę woźnemu. Poprawiając sobie włosy, wskazał ręką, że nie ma już więcej żadnych pytań do świadka.

– Te zeznania były opłacone. Mam nadzieję, że przysięgli zdążyli zobaczyć wszystko to, co potrzebowali zobaczyć.

Sędzia z cierpką miną raz jeszcze stuknął swoim młoteczkim.

– Ujrzeli przekłety cyrk. To ostatni wybuch, na który pozwoliliśmy sobie w czasie tego procesu. Hazelton, czy pan już skończył?

Hazelton lekko się poruszył i podciągnął krawat.

– Z tak zwanym świadkiem? Tak, Wysoki Sądzie.

– Więc niech pan już siada. Czy pan Spannick ma jeszcze jakieś pytania? Nie? Dobrze, pani Steinbeck... – Kobieta była we łzach, tym razem szczerych, szlochając przy pulpicie świadków. – Może pani odejść i uważać się za szczęśliwą, że nie wsadziłem pani za to do więzienia. Kto jest następnym świadkiem oskarżenia?

Spannick podnosił się powoli, patrząc, jak jego świadek koronny opuszcza salę rzucając mu nienawistne spojrzenie. Ciężko przełknął ślinę. Ray widział, jak poruszyło się przy tym jego jabłko Adama.

– Nie mamy więcej świadków, Wysoki Sądzie.

– A więc czekamy na obronę.

Hazelton stał pewnie za stołem, trzymając jedną rękę na klapie marynarki, a drugą opierając uspokajającym gestem na ramieniu swojego klienta.

– Obrona – tu nastąpiła specjalnie wystudiowana pauza – odpoczywa.

I Marcel, i Ray w porę powstrzymali okrzyki zdumienia. Ale nie wszystkim przysięgłym się to udało. Sędzia dwa razy stuknął młotkiem, na policzkach wystąpiły mu wypieki.

– Czy to wszystko, co ma pan do powiedzenia? – warknął na Hazeltona.

– Wydaje mi się, że w przewodzie prokuratora wykazaliśmy tyle dziur, co...

– Proszę zachować podsumowanie na popołudnie. – Sędzia Rosen zerknął na zawieszony nad drzwiami zegar. Była dopiero za piętnaście jedenasta, ale nie mógł kontynuować rozprawy przy tak rozbudzonych emocjach. – Proszę być z powrotem o pierwszej i dotyczy to wszystkich. Usłyszemy mowy podsumowujące i instrukcje dla ławy przysięgłych. Powinniśmy zacząć obrady o trzeciej – zwrócił się w stronę ławy przysięgłych, starając się, by zabrzmiało to jak żart. – Wtedy będzie wasza kolej, by zrobić to, do czego zostaliście wybrani. A teraz wszyscy mogą opuścić salę sądową!

Gdy wstali, Marcel zauważyła, że wciąż miała rękę w dłoni Raya i że było tak przez cały czas. Tak było przyjemnie. Ale najpierw musieli uporać się z innymi sprawami. Z ociąganiem puściła jego dłoń.

A więc tak wyglądała sprawa. Marcel zastanawiała się nad nią, gdy razem z resztą

przysięgłych jedli długi, choć niespecjalny lunch. Hazelton po prostu ustąpił z pola, choć nie bez walki. Niemniej jednak zasianie cienia wątpliwości było jego całą obroną. Czy ta sztuczka się powiedzie?

Wciąż wracała pamięcią do Emilii Steinbeck. Królewska postawa, wyniosłe tony, dumne miny. I sposób, w jaki Walter Steinbeck wpatrywał się w nią, jak głodny pies w kotlet. Był biednym chłopcem, bez wątpienia oszołomionym żoną, którą udało mu się zdobyć, i równie nieświadomy sposobów, jak ją zatrzymać przy sobie.

Ale czy defraudował pieniądze?

– Nic nie powiedział – wymamrotał ze swego miejsca na końcu stołu pan Gear, pośrednik w handlu nieruchomościami.

– Cii – odezwał się jeszcze ktoś – będziemy mieć niedługo mnóstwo czasu, by to omówić.

Mruknął coś pod nosem i odgryzł spory kawałek hamburgera.

Kilku przysięgłych spojrzło w stronę Marcel. Była przecież wybrana ich przewodniczącą. Za kilka godzin ona będzie organizować obrady.

„Dzięki, Ray” – pomyślała kwaśno.

A jeśli to zakończy się tak szybko? Co z nią i Rayem?

Odłożyła widelczyk do sałatki i otarła szminkę serwetką. To nie było jeszcze skończone.

Po kilku minutach krępującej ciszy przysięgli rozruszali się na dobre.

– Jest niewinny.

– Tak pani sądzi?

– Gdyby dawny właściciel nie zmarł, a nowy nie przyszedł, by rozpoznać szlaki...

– Dał sobie niezłą podwyżkę. – O tak.

– Nie wygląda to dobrze.

Propozycja Raya przedarła się przez zgiełk.

– Może moglibyśmy zacząć od przyjrzenia się zarzutom o malwersację dotyczącym pieniędzy, które rzeczywiście wziął – czterystoprocentowej podwyżce i premii.

Wszyscy przerwali na chwilę.

– Jest to pewna propozycja.

– Czy to znaczy, że darowujemy mu całe sto tysięcy dolarów?

– To oznacza jedynie, że zawężamy nasze pole rozważań i zajmujemy się poszczególnymi punktami po kolei.

Marcel wzięła głęboki oddech, by złagodzić trochę skurcze żołądka. Wstała ze swego miejsca u szczytu stołu i podziękowała Rayowi. Szczęśliwie w jej głosie zabrzmiał ton, jakby przemawiała na kościelnej akcji dobroczynnej. Ton, który bardzo usatysfakcjonowałby jej matkę.

– Panie i panowie, jako wybrana przez was przewodnicząca zgadzam się z panem Crane'em, że zamiast rozważać wszystkie zarzuty naraz, które jak wiemy, prokurator Spannack starał się uczynić jak najbardziej przejrzyście, a Hazelton jak najmniej pewnymi, lepiej będzie zająć się każdym punktem z osobna. Pierwszy punkt – nie uprawniona podwyżka.

– Rzekomo nie uprawniona – wtrącił pan Gear.

Marcel uniosła brwi. Nie spodziewała się po nim właśnie zasugerowania niewinności. Zrozumiał ją.

– Po prostu bawię się w adwokata – dodał.

Znakomicie. W tym, jak się wydawało, dość równo podzielonym gronie brakowało jej tylko kogoś, kto opowiadałby się za jedną stroną, ale głosował za drugą.

– Dziękuję, panie Gear.

Podeszła do wstawionej do pokoju tablicy. Spojrzenia wszystkich spoczywały na niej. Czowała się obarczona odpowiedzialnością i samotna. Ray mógłby być w takiej sytuacji znakomitym sojusznikiem, gdyby rozmawiali ze sobą. Jednak i teraz pozostali przysięgli uważali ich i tak za parę. Świadomość, że nie było to prawdą, raniła bardziej niż powinna. Kreda skrzypiała, gdy rysowała białą linię w poprzek tablicy.

– Po lewej stronie zapiszę sześć punktów, które, aby oskarżony został skazany, muszą zostać udowodnione. Z prawej strony umieszczę jeszcze dwie kolumny. Jedną na głosy za, drugą na głosy przeciw.

– Starczyłaby tylko ta druga.

– Jeszcze o tym nie zdecydowaliśmy – odparowała cierpko Marcel. Czowała się jak belfer w szkole, ale jednocześnie świadoma była ich ulgi z faktu, że ktoś wziął na siebie odpowiedzialność. W przeciwnym wypadku spieraliby się całą noc.

– Pierwszy punkt dotyczy nie uprawnionej podwyżki i premii, które Walter Steinbeck otrzymał rzekomo za założenie korporacji.

– Zadziwia bezczelność faceta wypłacającego sobie forszę za pracę, którą włożył w malwersację funduszy firmy, podczas gdy jego szef umierał w szpitalu.

– Nie wygląda na tak bezczelnego.

– Wcale nie.

– Prawie jak karykatura łagodnego księgowego, jeśli ktoś pytał mnie o zdanie.

– Karykatura może okazać się tutaj dość istotnym słowem – wtrącił Ray. – Może właśnie o to chodziło jego adwokatowi.

– Jeśli moglibyśmy wrócić do sedna naszych rozważań – przerwała Marcel. Wyczuła, że i Ray przechylał się raczej ku wyrokowi skazującemu. Jej puls bił szybciej pod wpływem tej myśli, ponieważ sama nie była jeszcze zdecydowana. Ostatnia rzecz, której potrzebowali, to odkrycie własnych kart przy okazji tej sprawy.

– Wygląd to nie to samo, co zeznania – powiedziała jakby złowieszczo. – Widziałam, jak niektórzy z państwa wierzili się niespokojnie podczas rozprawy. Nie znaczy to jeszcze, że jesteście winni.

Usłyszała aprobujące chichoty i zauważyła uważne spojrzenie Raya. Teraz wiedział, że obserwowała go cały tydzień kątem oka, tak samo jak on dojmująco świadoma jego obecności.

Marcel odwróciła się z powrotem do tablicy.

– Zarzuty o malwersację są następujące...

Wszyscy przysięgli mówili jednocześnie. Zajmowali się tą sprawą od kilku godzin. Marcel starająca się poruszać główne punkty pożałowała nagle, że nie ma do swojej dyspozycji sędziowskiego młotka. Ray spojrział ponuro do filiżanki z kawą, przez parę chwil rozglądał się wokół, a potem kilkakrotnie uderzył otwartą dłonią w stół. Nastąpiła pełna zdumienia cisza, a spojrzenia wędrowały od Raya do Marcel.

– Proszę zabierać głos pojedynczo, po kolei. Nasza przewodnicząca prawie się zgubiła – warknął niemal Ray.

Marcel wysłuchała opinii wszystkich przysięgłych.

– A więc zdania są podzielone, jeśli chodzi o punkt piąty.

– Obawiam się, że tak – powiedział ktoś.

– Przejdźmy do punktu szóstego: oskarżony z premedytacją zamierzał zdefraudować pieniądze lub oszukać swego pracodawcę.

Był to wciąż ten sam problem.

– Skąd możemy wiedzieć, co on zamierzał? – spytał jeden z przysięgłych.

Marcel znalazła odpowiedź w swoim stosie papierów.

– Sędzia dał nam instrukcje co do prawnej definicji działania z premedytacją. Rozdam je państwu.

Gdy wszyscy byli zajęci czytaniem, Marcel przypomniała sobie instrukcje co do interpretacji „uzasadnionej wątpliwości”. Jedno sformułowanie wyróżniało się szczególnie. Pamiętała głos sędziego, który mówił: „uzasadniona wątpliwość jest to taki stan umysłu, który może wywołać wahanie przy podejmowaniu istotnych w życiu osobistym decyzji. „

Dokładnie tak. Jej życie osobiste siedziało przy drugim końcu stołu. A to mógł być ostatni dzień, gdy zasiadali razem w sądzie.

Ray podniósł na nią wzrok, spojrzenie przeszywało ją na wskroś, wywołując pieczenie w policzkach i rozkoszne drżenie w całym ciele. Otarł kciukiem kroplę kawy z kącika ust. Pamiętała, jak przesuwiał ten kciuk wokół jej ust. Zdawało się, że było to sto lat temu. Nie kryła się z powrotem w kokonie odpowiedzialności i obowiązków. Chciała zaryzykować miłość, jeśliby jej na to pozwolił.

Wrócił do swojej kawy, a wszystkie głowy pochyliły się nad papierami. Cały czas wydawał być się zimny i nieprzychylny wobec Steinbecka. Bała się pierwszego głosowania.

– OK, a więc działanie z premedytacją oznacza, że musiał zrobić to wiedząc, że postępuje źle. Czy zrobił tak?

– Chciał przekupić kontrolera podczas remanentu. – Tak.

– Zeznania tego mężczyzny nie zakończyły się rzuceniem torebką przez niego.

– A więc wydaje się, że Steinbeck zamierzał ukryć stworzone przez siebie osłonowe korporacje.

– W sekrecie – powtórzył Gear z wyraźną przyjemnością.

– Błagał kontrolera, aby tego nie ujawniał. Mamy na to zeznania. – A druga strona? –

Marcel czuła się prawie, jakby prowadziła proces ponownie.

– Biedny człowiek pracował przeciętnie sześćdziesiąt cztery godziny w tygodniu, a kontroler uniemożliwiał mu pracę.

– Tak twierdzi kontroler.

– Ale Steinbeck nie chciał spuścić dyskiетки z oczu. Zabierał ją nawet na noc do domu.

– Tak zeznała jego sekretarka.

– Trochę podejrzane, nie sądzą państwo?

– Cóż. – Marcel odnotowała ostatni punkt przyglądając się zapisanej już tablicy. Zdecydowała się chwycić byka za rogi. Jeśli mieli z Rayem w tej sprawie różne zdania, nadszedł już czas, by stawić temu czoła.

– Będziemy spierać się o to, czy właściciel zgodził się, by Walter Steinbeck stworzył te korporacje i płacił sobie od nich pensje, czy też zdecydujemy się przeprowadzić pierwsze głosowanie, aby przekonać się na czym stoimy?

Przysięgli opowiedzieli się za głosowaniem. Wynik był sześciami za wyrokiem skazującym, sześciu przeciw. Marcel zdobyła się na dzielny uśmiech, aby upewnić tych najbardziej niechętnych, że sprawa będzie rozstrzygnięta w jedną lub drugą stronę. Nieświadomie podciągnęła rękawy.

– Wygląda na to, że szykuje nam się jeszcze dyskusja.

Cztery godziny później napięcie wzrosło jeszcze bardziej. Skończyły się kanapki. Plastikowe opakowania, puste pojemniczki po musztardzie, puszki po wodzie sodowej i opróżnione filiżanki zaśmiecały stół.

– Marcel, nie słyszeliśmy jeszcze twojej opinii.

Serce Marcel załomotało na dźwięk głosu Raya. Prawie wychodziła ze skóry, aby obrady przebiegały w porządku, ale jej własne emocje były kompletnym galimatiasem za każdym razem, kiedy skierował wzrok w jej stronę.

– Musiałabym stwierdzić, że jest niewinny, chyba że udowodni mi się winę.

– To samo można by powiedzieć o każdym – powiedział cicho.

Żałowała, że nie może popatrzeć mu w oczy wystarczająco długo, żeby odgadnąć, co dokładnie miało to znaczyć. Niestety, nie był to czas ani miejsce, żeby o tym rozmawiać. Prostując się, nieświadomie przybrała dostojny ton i uważnie dobierała słowa, tak jak robiłaby to jej matka.

– Oskarżenie nie udowodniło, że Steinbeck nie miał ustnej zgody Elrdedge'a.

– Jest to jedynie twierdzenie Hazeltona – przypomniał jej Ray. – Nie mamy na to zeznań Steinbecka.

– Wiem, wiem. – Potarła czoło. – Ale Spannack nie udowodnił, że tak się właśnie stało, a zgodnie z instrukcjami powinien. Ciężar spoczywa na nim.

Gear chrząknął z oburzeniem.

– Ciężar spoczywa na nas, jeśli wolno mi przypomnieć. Najpierw słychać było liczne westchnienia, a potem w pokoju zapadła długa cisza.

– Muszę wybrać się tam, gdzie i król... Marcel ściągnęła usta.

– Zdaje się, że pan Gear ma w tym miejscu rację. Zobaczmy, czy nie moglibyśmy zrobić

sobie małej przerwy.

Ray i Marcel znów spotkali się przy dzbanku z kawą.

– Dajesz radę? – spytał cicho.

– Po czterech Filiżankach kawy w ciągu czterech godzin gardło mam zupełnie wyschnięte, a nerwy roztrzęsione.

– To nie najlepiej.

– Nawet kawa Sandy smakowałaby mi teraz.

Poszedł do drugiego końca stołu, gdzie stała: sztuczna śmietanka i paczuszki z cukrem. – Ray. Zatrzymał się na dźwięk jej głosu. Dotknęła jego ramienia.

– Możemy omówić to teraz, właśnie po to się tutaj znaleźliśmy.

Nie odpowiedział od razu. Rozrywał uważnie paczuszkę z cukrem i patrzył, jak granulki znikają w wirującej śmietance.

– Nie wygląda na to, żebyś był specjalnie przyjaźnie nastawiony w stosunku do Steinbecka – stwierdziła Marcel.

– Przy takiej żonie, jak jego...

– To właśnie miałam na myśli.

Nie uszło jego uwadze podobieństwo między tą sprawą i ich historią.

– Jeśli ten biedny fajtłapa sam nie miał rozumu, umiał tylko czołgać się przed tą kobietą, jak zbity pies, niech nie oczekuje ode mnie żadnego współczucia. Mężczyzna powinien wiedzieć, kim jest i na czym stoi.

– Ale jeśli istnieje bodaj cień wątpliwości, że ktoś może nie być winny, nie wolno nam go skazać – powiedziała. – Powinniśmy wybaczyć niezależnie od tego, jakie błędy ktoś popełnił w przeszłości.

Skrzywił się mocno, ale nie bardzo przypominało to uśmiech.

– Przebaczenie jest dla ludzi, którzy popełniają zło. Co ty i ja uczyniliśmy kiedykolwiek złego poza tym, że kochaliśmy się?

Serce Marcel zamarło. Czy kochał ją? Przez tak długo ona, . chora z miłości dziewczyna działająca pod wpływem dziecinnych impulsów, uważała ten związek za upokarzający. Może jej uczucia nie były tak zupełnie bezpodstawne.

– Może zakochanie się było jedyną właściwą rzeczą, którą zrobiliśmy, a jedynie ja popełniłam błąd, próbując cię od tego odwieść.

– Tak myślisz?

– Chcę spróbować jeszcze raz, Ray.

Pokój wokół nich mógłby zniknąć, planety mogłyby stanąć . w swym biegu. Jedynym jego ruchem było przeniesienie wzroku z jej oczu na usta.

– Może lepiej teraz usiądziemy. – Zajął swoje miejsce.

O dziesiątej tego wieczoru sędzia pozwolił im pójść do domu. Jutro czekał ich kolejny dzień obrad. Dla Marcel, która spała tylko trzy godziny, wydawało się to zbyt męczące, nawet nie chciała o tym myśleć. Zaczesała włosy do tyłu przyglądając się sobie uważnie w lustrze sypialni.

A więc powiedziała to dzisiaj otwarcie – „Chcę spróbować jeszcze raz”. Nie można było

powiedzieć, żeby ze szczególnym zapalem rzucił się na tę propozycję.

No dobrze, a czego się spodziewała? Nie musiał chyba padać jej do stóp tam w sądzie!

Ale mógł zadzwonić, podpowiadał jej jakiś miękki głos.

„O, nie. Tylko dlatego, że zdaje mi się, że go kocham, nie mam zamiaru stać się jedną z tych kobiet, które przesiadują pod telefonem. Już prawie jedenasta. Byliśmy zajęci dzisiaj przez cały dzień, będziemy zajęci jutro. „

Zadzwonił dzwonek u drzwi. Drżenie, jak niska nuta muzyczna, objęło całe jej ciało. Ręka lekko drżała, gdy odkładała szcztotkę, by zejść na dół.

– Ray. – Serce wyczyniało akrobacje, usta miała zupełnie wyschnięte. – Wejdz, proszę.

– Nie przeszkadzam ci?

– Zupełnie nie.

– Mieliśmy męczący dzień.

– Właśnie o tym myślałam. Ale noc byłaby jeszcze gorsza, gdybyśmy nie uzgodnili tego.

„Uzgodnili”. Czy to oznaczało „zakończyli”? Ray przekroczył próg i patrzył w górę, na kręte schody.

– Nigdy nie widziałeś tego domu, prawda?

– Nigdy mnie nie zaprosiłaś.

– Odmówiłbyś – odparowała łagodnie.

– Zgadza się. Prawdopodobnie odmówiłbym.

Stali wsłuchując się w ciszę domu. Chociaż nowe ściany dzieliły go na części, wciąż był ogromny.

– Co z naszym nowym początkiem – podjęła nagle. – Ty, ja, moje skromne mieszkanie.

– Skromne? – Zaśmiał się krótko i pozwolił się jej poprowadzić. Jego uczucia były wystarczająco splątane i bez jej drwin.

Kompletny brak jasności, tam gdzie chodziło o Marcel, zaczął przypominać ostatnio zaćmienie księżyca. Poprzedniej nocy cała we łzach poprosiła go, żeby przestał ją zadrećcać. Dziś flirtowała z nim w sądzie, urocza i piękna jak zawsze, jeśli nie brałoby się pod uwagę ciemnych kręgów wokół oczu. Podeszła otwarcie i powiedziała, że chce, żeby spróbowali raz jeszcze. A on, jak zabłąkany pies, nie potrafił pozostać na uboczu. Gdy zwiedzali dom, jedno uczucie stało się szczególnie wyraźne, znajome jak ból zęba: czuł się ze zdecydowanie niższej klasy.

Zielone tapety, wiśniowe pulpity, ręcznie tkane dywany. Dom podzielono na sześć części, ale ta zamiana była dokonana ze smakiem. A jednak to Marcel spokojnie, profesjonalnie odmieniała swój dom. Zastanawiał się, co musiało to dla niej znaczyć.

– Na pewno nie utrzymałabym go sama. Zbyt dużo czasu spędzałabym na wspomnianiu, jaki był kiedyś.

Tak jak on to robił. Obserwował jej ruchy, nie udawany wdzięk, łagodny spadek ramion. Od tyłu, w dżinsach wyglądała znakomicie – nienagannie, szykownie, seksy, wszystko to na raz. Gdy dotarli na szczyt schodów, górował nad nią. Ale nie kulila się, nigdy. Jako kobieta dorównywała mu. Zdecydowana Marcel. Marcel, która postawiła przed sobą jakiś cel. Sprawiała, że jego serce biło szybciej.

Znajdowali się w bibliotece na górze, gdzie błyszcząły ręcznie rzeźbione, wypolerowane boazerie. Na tapetach były namalowane gałązki winnej latorośli, kanapy pokryte były kwiecistym kretonem. Z okrągłych stołów opadały serwety, tu i ówdzie na ścianach wisiały obrazy oprawione w srebrne ramki. Wszystko w pokoju mówiło o dawnej zamożności. Ray pozwolił sobie na ciche westchnienie ulgi, gdy weszli do świeżo pomalowanej kuchni. Nowa drewniana podłoga odróżniała ją od starszych pokoi. Wciągnął ostry, rodzynekowy zapach budowy. Korporacja Crane'a mogła zajmować się biurami, a nie mieszkaniami, ale Ray potrafił rozpoznać dobrą jakość, kiedy widział coś takiego.

Spytał o nazwę firmy, która zajmowała się remontem, jaki był plan prac i ceny. Wymieniła nazwę firmy bez wahania.

– Co za szkoda.

– Czy zapłaciłam za dużo?

– Nie. – Uśmiechnął się. – Zastanawiałem się, że w takiej sytuacji mógłbym pośpieszyć ci na ratunek rozpraszając po drodze różnych przedsiębiorców. Ale wygląda na to, że znakomicie poradziłaś sobie bez mojej pomocy.

Zawtórowała mu śmiechem, powiedziała coś a propos. „To uprzejme z jej strony” – pomyślał kwaśno. – Co jest tam?

– Trzecie piętro, mój apartament. – Spojrzenie jej niebieskich oczu umknęło w bok.

– Zawsze byłem ciekaw twojej sypialni.

– Jestem pewna, że tak. – Zaśmiała się krótkim, urywanym śmiechem.

– Co powiedziałbyś na filiżankę kawy?

– Chętnie. – Ray zawahał się, zanim postawił stopę na perłoworóżowym dywanie. Zerknął na swoje buty, jęknął i pokonał ostatnich kilka schodów dzielących go od jej pokoju.

– I co powie na to specjalista? – Jeśli była zdziwiona widząc, jak stał tu, u brzegu jej próżności, umiała to dobrze ukryć.

Postawiła tacę na łóżku – kawa i parę herbatników na specjalnie przeznaczonym do tego porcelanowym talerzyku. Była spokojna i opanowana. On nie.

Wyrzał przez francuskie okno wychodzące na niewielki balkon ozdobiony żelazną kratą. Jeszcze raz przykuła jego uwagę leżąca na łóżku narzuta.

– Dlaczego nie założyłaś na siebie sznura pereł?

– Słucham?

– Nienagannie spełniasz obowiązki gospodyni.

– Och... Punkt dla ciebie. Wielka szkoda, że nie mam pod ręką tablicy. – Uważnie usiadła na łóżku nie chcąc przewrócić stojących na tacy filiżanek.

Widząc to, Ray pomyślał o równowadze swoich uczuć. Niezwykła ostrożność spotkała się z tętnem emocji, tym samym co zawsze, gdy widział Marcel na łóżku, na jakimkolwiek łóżku.

Miękkie światło stojącej obok lampy otoczyło postać Marcel. Abażur pasował do zasłon i tapet, tak samo różowych jak jej policzki.

Skubała narzutę. Marcel wzburzona. Któż by pomyślał! Twarz Raya zmarszczyła się w uśmiechu. Na tyle mógł sobie pozwolić. Opierając się o okno francuskie założył jedną nogę

na drugą.

– Chciałem zobaczyć, gdzie śpisz, skąd dawałaś mi znaki.

– Myślałam, że nie przyszliśmy tu dla wspomnień.

To wciąż było aktualną przyczyną jego dzisiejszej wizyty. Nagle powietrze w pokoju stało się suche i kruche. Nacisnął klamkę wygiętą w kształcie litery S. Powietrze wdarło się do środka, firanki zafalowały.

Marcel wiedziała, że powinna wstać. Łóżko nie było miejscem – a raczej, było idealnym miejscem, ale nie dyskusji, którą chciała, żeby odbyli.

– Możemy o tym porozmawiać.

– Wolałbym coś z tym zrobić.

– Na przykład? – spytała, unosząc brodę, prowokując siebie i jego.

– To.

Pocałunek był głęboki, dręczący. Podała mu się bardzo łatwo. Pragnęła go tak samo, jak on kiedyś. Jego pragnienie nie zmieniło się.

Szukając guzików zakietu dotknął ręką jej piersi. Objął ją dłonią, a Marcel zadrżała, nabrzmiewając, wypełniając tę dłoń. Oddychała ciężko, gdy uniósł rękę do jej włosów, delikatne pasma przesypywały się przez palce.

– Chcesz koniecznie pokazać mi, co się zmieniło – nalegał. – Pokaż mi, co się nie zmieniło. – Odpinał złote guziki zakietu i przesuwając ręką po jedwabiu bluzki od talii do piersi, odgarnął go.

– Marzyłam kiedyś, że wrócisz – szepnęła. – Nie jestem nawet w stanie powiedzieć, jak bardzo.

– Powiedz to teraz.

Ale słowa porwały emocje, gdy jego usta wpiły się w jej« szyję, a potem zęby przejeżdżały po karku, zdzierając ramiączko z ramienia.

Jej drżące ręce błędziły teraz po nim, nieporadne, nie wiedzące, gdzie zacząć. Mogła jedynie przyjmować jego pieszczoty, nieprzytomna i słaba.

– Och!

Wiatr wdarł się do środka, otwierając drzwi balkonowe, zimne nocne powietrze wypełniło pokój. Zbliżyła się, by je zamknąć, oparła ręce na obu połowach drzwi.

Objął ją od tyłu. Chciał, aby poczuła nacisk jego ciała, gdy przesunął ramiona wzdłuż niej, rozpinając bluzkę.

– Ktoś może zobaczyć.

Usłyszała jego ciemny głos tuż za uchem.

– Nie dbam o to. – Z ostatnim rozpiętym guzikiem otworzył ją na noc. – A ty?

– Nie. – Potrząsnęła głową, włosy przesunęły się po jego ramionach, jak jedwabny deszcz złota. Obróciła się w jego uścisku, składała pocałunek za każdym rozpiętym guzikiem, aż doszła do piątego i poczuła napięcie mięśni jego podbrzusza.

– Marzyłam o nas w tym pokoju. Ty wróciłbyś...

– To nie sen. – Jego słowa zabrzmiały twardo, zęby zwarły się.

– ... znalazłabym cię w ogrodzie, na trawie. Och, Ray, pragnę tego jeszcze raz.

Wszystkiego, czym możemy być razem. Uniósł ją w ramionach i przeniósł na łóżko.

– To już nie są marzenia.

Nie – wraz z brzękiem przestawianej na podłogę tacy. Nie – z szelestem suwaka, uderzeniem pary butów o puszysty dywan. Nie – z zapalonymi światłami i powietrzem, od którego drżała. Przykryła się.

Stał w końcu łóżka pomiędzy rozciągniętymi zasłonami. Ujmując ją mocno, pociągnął jednym ruchem zrywając koldrę.

– Jeśli marzniesz, powiedz mi.

– Czy zamkniesz drzwi?

Potrząsnął głową i zdarł z siebie resztę ubrania.

– Rozpalę cię.

Wsunęła się pod niego.

– Proszę – szepnęła.

Wszystko wydawało się oddzielone, wzmocnione. Przenikająca fala wspomnień rozmyta w przyływie rzeczywistości.

Drażnił się z nią, cofnął z jej ciała język, ręce. Palce na jej plecach wdzierały się do dzinsów.

Miała lodowate ręce i gdy dotknęła go, wzdrygnął się. Zaśmiała się gardłowo, płynnie.

– Jesteś pewien, że chcesz tego? – zachichotała, dźwięki zaterkotały jej w gardle.

Jęknął, tylko tyle mógł z siebie wydobyć. Wzięła to za potwierdzenie. Zawył i odskoczył.

– Do diabła! Są lodowate.

– Mówiłam ci. – Uśmiechnęła się sennie, powieki miała ciężkie. – Zagrzeją się.

– Do tej pory twoje ręce nie będą już miały co pieścić.

– Ja nie mam nic przeciw. – Zamrugnęła oczami i spojrzała na niego, ręce rzeczywiście zagrzewały się od tarcia.

– Marcel, jeszcze chwila, a sprawisz, że eksploduję.

– Chcę wziąć cię gdzieś, gdzie jeszcze nie byłeś.

– Byłem już tam kiedyś.

– Nie tak szalony jak ja, gdy wzięłeś mnie wtedy. Chcę, żebyś przekroczył granicę.

– Zawsze chciałaś. Nie pamiętasz?

– Byłam zbyt nieprzytomna przez to, co robiłeś ze mną.

– Z tobą. – Delikatny ton tych słów rozdzierał jej serce.

Mruczała jak kotka. Pamiętał. Pogłaskała go, rozkosz przeszła go aż do szpiku kości. Jej włosy rozsypały się po kołdrze jak aureolka świętego, ale dotyk miała lubieżny. Jeśli nie zdawała sobie sprawy z tego, co z nim robi, była przed nią najbardziej dokładna lekcja, jaką kiedykolwiek jej dał.

– Marcel – ostrzegał, gdy zacieśniła uchwyt.

– Przedtem byłam gotowa na uprawianie miłości, a nie uczucia. Pokaż mi jak. Chcę, żebyś nauczył mnie wszystkiego od nowa.

– Od nowa?

– Proszę.

Cały spał się. Nagle poczuł ciężar powietrza na plecach.

– Czy o to chodziło, o więcej lekcji?

Potarła dłonią jego ramiona, biorąc napięcie za coś innego.

– Pamiętam trochę z tego, co mnie nauczyłeś.

Jej ręce znalazły lepszy dostęp wirując wokół niego w spiralnym uścisku.

– Na przykład to.

„A więc o to chodziło” – pomyślał Ray czując smak żelaza w ustach. Związek według jej reguł. Oplacany instruktor przychodzi do domu, by udzielać lekcji. I właśnie w ten sposób był

opłacany. Chwycił jej nadgarstek.

– A zaliczka za usługi? – Ray!

Rozluźnił uścisk i usiadł.

– Więc tak wyrażasz swoją wdzięczność?

Była przerażona. Był już na nogach, ubierał się, stając tyłem do niej. Marcel naciągnęła bluzkę, żałując, że zgasili światła.

– Wiesz, że nie to miałam na myśli. Było między nami więcej, niż tylko to.

– Bóg wie, że powinno. Wygląda na to, że za każdym razem, kiedy znajdę się w posiadłości Courville'ów, traktowany jestem, jak kolejny wynajęty pracownik.

– W posiadłości! – Przedrzeźniała teraz obraźliwy ton, jakim to wypowiedział, a potem wybuchnęła. – Jeśli kiedykolwiek potraktowałam cię w ten sposób, mówiłam już, że przepraszam.

– Za co? – krzyknął, słowa rozniosły się echem po całym domu. – Za to, że wiedziałem, że nigdy nie należałem do twojego domu, do twego cennego łóżka? Za to, że wykazałaś rozsądek, żeby się mnie pozbyć, kiedy zrobiło się już zbyt gorąco?

– Przekręcasz moje słowa. Sprawiasz, że oboje wydajemy się tacy tani!

– O ile pamiętam, to było za darmo. – Z każdą chwilą stawało się to bardziej obrzydliwe.

– Więc przestań pamiętać! – Dobry Boże, teraz już krzyczała na niego. Obejmowała rękami głowę słuchając, jak wciska w spodnie koszulę i dopina pasek. – Spójrz na mnie taką, jaką jestem teraz. Przestań mnie obwiniać...

Brutalnie ujął w dłoń jej brodę i zmusił, żeby na niego spojrzała.

– Kotku, kobieta, którą widzę, nie chce popełnić znów takiego błędu jak ja. – Dywan tłumiał jego kroki, gdy skierował się ku wyjściu.

– Dokąd idziesz? – Zgarnęła włosy z twarzy i podążyła za nim do szczytu schodów osłaniając ramionami piersi. Nie goniła za nim, wciąż jeszcze zachowywała jakieś strzępy dumy.

– Myślisz, że to zaplanowałam? Rodzaj haraczu za przeszłość?

– Nie. – Szybko pokonywał schody. Był już prawie na pierwszym piętrze. – Gdyby to było zaplanowane, na pewno zaserwowałabyś maleńkie kanapeczki z podcinanymi skórkami.

– Och!

Przestała myśleć, jego słowa przestały ranić. Czerwona fala gniewu obudziła się w niej tak szybko, że trzymała już w rękach wazon, zanim jeszcze wiedziała, na co się chce zamierzyć. Pchnęła go w dół, aż rozbił się o posadzkę, dwa piętra niżej. Ray wolno podniósł w górę wzrok, w którym można było wyczytać całkowite zaskoczenie.

Jedną ręką Marcel była kurczowo zaciśnięta na poręczy, druga zasłaniała przerażone usta.

– Ja... ja... czy nic ci nie jest?

– Leciał daleko ode mnie – odpowiedział spokojnie. Złość rozbiła się wraz z wagą i Marcel trudno było wykrztusić z siebie nową porcję energii.

– Hm... ja... Jak śmiesz mówić mi coś takiego?

– Hm... chyba hm... to pobieram – wycedził. Przechodzą[^] do holu przesunął nogą

szczałki porcelany.

– Przyniosę szczotkę. – Głos Marcel był tak ulotny i daleki, tak jak jej zszokowana twarz.

Zanim zeszła na dół, Ray już kuczał wśród błyszczących porcelanowych szczątków dość bezładnie przesuając je ręką. Nie błyszczały aż tak jak oczy Marcel. Schyliła się przy zewnętrznej krawędzi i natychmiast zaczęła zmiatać je małą zgrabną szczotką.

– Bardzo sprawnie – powiedział Ray. – Ktoś mógłby pomyśleć, że codziennie coś tłuczesz.

Z wściekłością patrzyła na marmurową posadzkę, nie przerywając zmiatania.

– Ze też musiało do tego dojść. Rzucanie wazonami!

– Mówiłem ci, że masz temperament.

– Mógł uderzyć w ciebie!

– Czy celowałaś we mnie? – spytał cicho. Kolanem dotknął jej pleców. Przesunęła się lekko w lewo.

– Wiesz dobrze, że nie.

– Dzięki chociaż za to.

– Mógł w ciebie uderzyć lecący kawałek... Nie! Nie siadaj tu, możesz się skaleczyć. Tu jeszcze nie zmiatałam.

Wstał otrzepując nogawkę.

– Nie każdy może być tak sprawnie zmieciony. Albo sklejony z powrotem. – Pochylił się nad nią, wrzucając jeden z odłamków do kosza.

Marcel była bliska łez, ale nie bardzo mogła coś na to poradzić. Czyżby zrujnowała wszystko tym pokazem śmiesznej furii?

– Czasami wydaje mi się, że wzbudzasz we mnie najgorsze uczucia, Rayu Crane. – Spojrzała na niego oczyma pełnymi łez.

Mężczyzna uśmiechnął się zuchwale.

– Właśnie po to tu jestem.

Upokorzenie, złość, żal i z jakiegoś przekłętego powodu także i wdzięczność walczyły w niej. Wróciła do zmiatania z mocnym postanowieniem zemsty.

– Przed momentem chciałeś wychodzić. O ile pamiętam, zrobiłam coś niewybaczalnego. – Chociaż nawet za cenę życia nie mogłaby sobie przypomnieć, co to było. – Oczywiście, zanim cisnęłam swoją wściekłość w dół.

– W pewnym sensie to właśnie mi się podobało.

– Ha. Mogę się założyć, że tak. – Otarła mokry nos rękawem, na chwilę znieruchomiła.

– Czy masz pojęcie, jak stara była ta waza? Jak cenna?

– Nie – powiedział krótko.

– Ja też nie – powiedziała nieoczekiwanie z oczami pełnymi zdziwienia. Zaśmiała się, po chwili głośniejsze. Zanim się spostrzegła, siedziała na podłodze ze łzami radości spływającymi po twarzy.

Ray wepchnął ręce w kieszenie i śmiał się razem z nią.

Znów go kochała. Kogo jeszcze mogłaby nadać w ten sposób? Kto jeszcze potrafiłby ją tak sprowokować? Skrzyżowała nogi po indiańsku i odłożyła na bok szczotkę i śmietniczkę.

Burza przeszła.

– Naprawdę nie wiem, co się ze mną dzieje, kiedy znajdę się przy tobie.

Wzruszył ramionami.

– Jak mam cię przekonać, że różnice między nami naprawdę nie mają żadnego znaczenia.

Czy to rzeczywiście jest problem? Jak sobie z nim poradzimy?

Ściągnął usta przyglądając się uważnie wzorowi posadzki i czubkowi swojego pomarszczonego buta.

– Pojedź ze mną za miasto.

Ten pomysł właśnie wpadł mu do głowy: dom jego rodziców, drewniana chata wśród trzcin nad niewielkim jeziorem, z dala od drogi, tak daleko w głąb Michigan, jak tylko można się było zapuścić, nie przekraczając mostu wiodącego do górnego półwyspu. Prosty, nie przystosowany do zimy, był to jedyny rodzaj letniego domku, na jaki mogła pozwolić sobie rodzina Crane'a.

Ale będą tam sami i co najcenniejsze – daleko od posiadłości Courville'ów.

Usiadła prosto i rozważała tę propozycję. Tylko Marcel umiała wyglądać elegancko siedząc na gołej podłodze w zwykłych dżinsach, pośpiesznie narzuconym swetrze i rozpiętej do połowy bluzce. Ray starał się patrzeć jej prosto w oczy, unikając widoku różowości między piersiami i strzępka koronkowej bielizny. Trudniej było nie zauważyć rumieńca na jej policzkach, iskierki w oczach.

Oboje wciąż byli bardzo wzburzeni. Słyszając łagodne „kiedy?”, prawie rzucił się w jej kierunku.

– Gdy skończy się proces.

– Tak, ale firma...

– Twoja współpracowniczka sądzi, że będzie kierować nią do końca tygodnia. W moim własnym biurze dają sobie radę beze mnie. To będzie weekend wielkanocny, a więc będziemy mieli trzy dni.

– Jeśli jutro wydamy werdykt. – Serce jej łomotało. Może im się nie uda wydać werdyktu – i ona będzie jednym z powodów tego.

– Może powinniśmy się trochę przespać – powiedział z ręką już na klamce.

Kiwnęła głową, choć czuła prawie „proszę, zostań” na koniuszku języka.

– A więc w ten weekend. – Drzwi zamknęły się za nim, podmuch zimnego powietrza przypomniał jej, że miała nie zapiętą bluzkę.

Wstrząsnął nią dziwny dreszcz. Weekend z Rayem. Stała niepewnie, kolana ugięły się pod nią. Odłamki szkła dzwoniły na szufelce. „I proszę uprzątnąć zgliszcza, zanim zjawię się tam, panie Crane. „ Wielkie nieba, co ten mężczyzna z nią robił!

Marcel starała się stłumić ziewnięcie. Evie Carter, która poprzedniego dnia mówiła tak mało, jak to możliwe, przez noc odkryła w sobie prawdziwy talent oratorski. Marcel zastanawiała się, z kim musiała omawiać tę sprawę, ale doszła do wniosku, że lepiej nie pytać. Zerwanie procesu w tym momencie byłoby równie denerwujące, jak całe obrady ławy przysięgłych.

– Czy mogliby państwo podnieść jeszcze raz rękę? Zdecydowali, że ciągle cięcie tych

nieszczęsnych karteczek zajmowało zbyt wiele czasu. Podliczając ostatnie wyniki, Marcel z prawdziwą rozkoszą rozerwałaby zębami sto takich karteczek! Pani Dozier głosowała teraz za skazaniem, a panna Zylowski za uniewinnieniem.

Chichot Raya był jedyną rzeczą, która powstrzymywała Marcel przed głośnym krzykiem. Spojrzenie, które jej posłał, przypominało, jak niewiele dzieliło ich już od wspólnego weekendu. Modliła się, aby nie on wytknął to głośno.

Zrobił to Gear.

Przerwała modlitwę.

– Musicie wiedzieć, że facet sprzeniewierzył pieniądze. Nikomu nie powiedział. Szastał pieniędzmi na lewo i prawo, jak jakaś gruba ryba.

– To może być wykroczenie przeciw dobremu smakowi, ale nie przeciw prawu. Nigdy nie przechwalał się, że je ukradł.

– Rozważałam w głowie psychologię – powiedziała pani Dozier.

– Znakomite miejsce do tego typu rozważań – kwaśno skomentował Ray.

Pani Dozier posłała mu krótki, cierpki uśmiech, od którego pomarszczył jej się makijaż i zaczęła wygłaszać swoją teorię:

– Proszę wyobrazić sobie, jeśli zechcą państwo – ciągnęła, nie zważając na ledwie stłumione jęki dokoła – że jesteście biednym młodym mężczyzną zakochanym w kobiecie, dla której rodzina i pozycja społeczna mają ogromne znaczenie...

– I? – spytała Marcel najuprzejmiej, jak tylko potrafiła, łatwo wyobrażając sobie sytuację odmalowaną przez panią Dozier.

– Więc pobierają się. Ale ona nigdy nie pozwala mu zapomnieć, kim jest i on w końcu załamuje się. – Złamała w pół mieszadelko do kawy, by lepiej zobrazować swoją wypowiedź.

– Jest zupełnie przytłoczony ciężarem oczekiwań.

Sam Hazelton nie mógłby być bardziej przekonywający, pomyślała Marcel. Jak to się działo, że świadomość wiernej widowni potrafiła wyzwolić w pewnych ludziach potoki elokwencji?

– Pewnie mu pani współczuje – powiedział Ray tonem ni to pytania, ni to stwierdzenia. Ich spojrzenia zwały się. Tym razem nie była w stanie oderwać wzroku.

– Czyż nie? – pytanie było tylko dla nich dwojga.

– Nie zazdroszczę mu takiej żony.

– Czy ona jest tu winna? – Na sali zapanowała cisza. Marcel wiedziała, że w niej widać było ból, ale za nic by teraz nie zmrużyła powiek. – Ją obwiniasz za to wszystko? – Czy tu tkwił problem?

Ray zebrał razem kawałki złamanego mieszadelka. Może, jak w I Ching, patyczki wskażą im drogę.

– On zrezygnował ze swego życia, próbując dorównać cudzym standardom. – Znowu przeszywające spojrzenie. – Jestem w stanie zrozumieć, co mogło przywieść mężczyznę do tego. Ale on popełnił również przestępstwo i okoliczności nie pozwolą, żeby ominęła go kara.

Jemu, ale nie im. Marcel przetarła okulary. Czy to ona pozwalała, by ich życie osobiste wpływało na decyzję? Aby przeszłość zaciemniała teraźniejszość?

– Panno Zylowski – powiedziała zdecydowanie.

– Melanie, proszę.

– Melanie, nie ja jedna jestem przeciw.

– Cóż – powiedziała młoda kobieta – jeśli pani chce zmienić swoje zdanie, sądzę, że i ja mogłabym się zdecydować.

– Nie podejmuje się takich decyzji w ten sposób. Jeśli woli pani wierzyć, że on jest niewinny, nikt nie będzie próbował pani zastraszyć. Mogę to pani obiecać. To sprawa sumienia. – W przypadku Marcel niezupełnie czystego.

Podczas, gdy Melanie walczyła ze sobą, ta myśl wciąż odbijała się echem w umyśle Marcel. Steinbeck to nie Ray, niezależnie od tego, jak wiele mogli mieć ze sobą wspólnego. Ray odniósł sukces i doszedł do niego uczciwą drogą, dzięki ciężkiej pracy. Poczucie winy za to, jak go kiedyś potraktowała, nie mogło dłużej wpływać na decyzję w sprawie Steinbecka. Na zimno odpowiedź wydawała się prosta.

– Jego wina faktycznie wydaje się dość oczywista – przyznała Melanie.

– Melanie. – Surowy wzrok Marcel spoczął na dziewczynie. – Czy zwiódły cię same zeznania i dyskusja, która miała potem miejsce? O Boże, teraz mówię prawie jak sędzia Rosen – mieszała się wśród pobłażliwych uśmiechów. – To jest jedyna podstawa, na której powinnaś oprzeć swój werdykt.

– Tak sądzę.

Dziesięć par oczu spoczęło na Marcel, oczekując jej decyzji.

– Czy możemy więc jeszcze raz zagłosować? Czy jest winny punktu pierwszego?

Dwanaście rąk uniosło się w górę, także i Marcel.

– Punkt drugi? To samo.

Westchnienia wokół, gdziegdzie aplauz.

– Punkty od trzeciego do szóstego. Fikcyjne przedsiębiorstwo?

Marcel przeliczyła głosy i powiedziała:

– Pani Wiltsie, czy mogłaby pani przekazać, że podjęliśmy decyzję?

Wyjechali w czwartek, bo Marcel poświęciła jeden dzień” na uporządkowanie spraw firmy. I po to, by zebrać odwagę.

Ranek był szary i nieszczególnie obiecujący. Odkąd wsiedli do samochodu, nie przestała mówić ani na moment.

Nagle zająknęła się i przerwała.

– Nie sądzisz?

– Sądzę – powiedział Ray ani na chwilę nie spuszczać oczu z jezdni – że jak na kogoś, kto spędził dwa dni na dyskutowaniu z ławą przysięgłych, masz zadziwiająco dużo siły.

– Cóż, wybacz mi.

Zaśmiał się z jej lodowatego sposobu bycia. Dźwięk głosu Raya rozpuścił trochę lód.

– Próbowałam wyjaśnić, że oznajmienie na sali sądowej, że uznaje się kogoś winnym przestępstwa pierwszego stopnia, nie jest łatwe.

– Byłam tam.

Strasznie chciała zadać mu pewne pytanie, ale nie umiała znaleźć słów.

– Nie, nie drżał ci głos – powiedział. Zaśmiała się. Skąd on to wszystko wiedział?

– Za to ręce – tak. – Uśmiechnął się, patrząc na jezdnię. Kupki brudnego śniegu zalegały na poboczu suchych dróg biegnących na północ.

– A papiery wręcz grzechotały.

– Teraz się ze mną droczysz.

– I mam zamiar robić to o wiele częściej. Wstrząsnął nią dreszcz.

– Przynajmniej nie musieliśmy proponować wyroku.

– Nie w tym stanie.

Na jakiś czas zapanowała cisza. Marcel zakładała nogę na nogę coraz to z innej strony. Nie powinna była prać dżinsów zeszłej nocy. Skurczyły się obciskając ją teraz we wszystkich niewłaściwych miejscach.

– Zdenerwowana? – zapytał.

– Oczywiście, że nie. – Dlaczego nie odrywał oczu od szosy? Irytowało ją to. Miała wrażenie, jakby wcale nie musiał na nią patrzeć, jakby jej ruchy przekazywane mu były przez wibracje, telepatię, fale elektryczne.

– Moglibyśmy udawać... – powiedział, jakby po długim namyśle.

– ... że to po prostu kolejny weekend? – Wpadła mu w słowo. – Że często tak jeździliśmy? Stanowczo pokręcił głową.

– Powiedzmy, że jestem energicznym, wysokim, przystojnym mężczyzną...

– To będzie wymagało trochę udawania – wtrąciła zuchwale.

– Słuchaj uważnie. I że właśnie mnie spotkałaś.

– Hmmm, a więc nie mamy żadnej przeszłości? – Kiwnął głową, gdy rozważała tę możliwość. Może byłby to pewien wyłom w napięciu, które sami sobie narzucili. – Ale mama mówiła, żeby nigdy nie zadawać się z nieznajomymi.

– Powiedz jej, że obiecałem ci jakieś słodycze. – Tym razem spojrzał na nią, w jego oczach paliły się iskierki. Widząc ten wilczy uśmiech, zastanawiała się, jaki dokładnie rodzaj słodczy mógł mieć na myśli.

– A dlaczego, panie Wilku, ma pan takie wielkie kły?

– Aby móc cię lepiej zjeść. O, do czorta. – Odrzucił głowę do tyłu i zaśmiał się głośno. – Koniec dopowiedz sobie sama.

Nie miała odwagi dokończyć myśli. Jednak gra wydawała się być lepsza, niż te piekące, płonące pod zakończeniami nerwów płomyki, niż wibrujące w żołądku napięcie, niż przepaść, na krawędzi której stała.

– Cukierek twardy jak skała? – spytała niewinnie. • Próbował zdusić uśmiech, ale mu się to nie udało.

– Twardy jak skała, to właściwe określenie.

– Rayu Crane, masz całkowicie zepsutą wyobraźnię.

– Dzielnie mi sekundujesz.

– I przekroczył pan dozwoloną prędkość o dziesięć mil.

– Prędzej znajdziemy się na miejscu. – Zwolnił tempo jazdy trochę, ale nie zaniechał rozgrywki z Marcel. Poszukał jej ręki, podniósł ją do ust, a potem położył sobie na udzie.

– Wszystkiemu winne moje zamiłowanie do słodczy – znów spojrzenie kątem oka. – Jak sądzisz, gdzie mam zamiar położyć twoją rękę?

– Pewna jestem, że nie wiem.

– Nie zawsze jestem taki obcesowy.

– Tylko wtedy, kiedy potrzeba.

– Czasami może się to okazać bardzo skuteczne. Kiedyś lubiłaś to. – Patrzyła na szosę wprost przed siebie, usiłując oderwać myśli od tego, jak mocno przyciskał jej rękę do uda, drażniąc kciukiem jej wrażliwą dłoń. Napięcie wibrowało już w całym ramieniu, piersi wypełniały się, głośnie echo rozrywało serce.

– Myślałam, że nie będziemy już zajmować się tym, co było. Przecież zaczynamy od początku.

– Masz rację. Mężczyzna i kobieta wyjeżdżający na weekend, by się lepiej poznać.

Marcel milcząco zgodziła się. Pokaże mu, że kocha go za coś więcej, niż tylko za jego instrukcje. I pokaże sobie, że może go kochać, nie niszcząc siebie samej.

Gdy znów spojrziała, jej ręka leżała dłońią do góry, a jej palce były splecione z palcami jego dłoni. Jej problem w wielkim skrócie wyglądał tak: gdy była blisko Raya Crane'a, jej ciało kierowało się swoimi własnymi prawami.

Przed nimi wiała się wyboista droga ocieniona wysokimi sosnami. Szybko przeszła w wąską ścieżkę, którą samochód ledwie mógł się przecisnąć. Płaty śniegu leżały pomiędzy omszałymi pniami drzew. Gałęzie ocierały się o bok wozu. Cienka warstewka lodu trzaskała pod naciskiem kół. Za zakrętem zatrzymali się przed małym domkiem.

Wydawał się większy, niż pamiętała – półtora piętra ze spadzistym dachem. Pamiętała nie zagospodarowany strych i skrzypiące drzwi pieca. Okna zakryte drukowanymi zasłonami były tak małe jak zawsze.

Ray wyłączył radio, w którym nadawano właśnie lokalną muzykę ludową. Wzrokiem objął kształt jej nóg. Poczowała ucisk gdzieś poniżej linii paska.

– Chcesz zobaczyć jezioro?

Przyglądał się jej butom, nie nogom. Starła się, by głos brzmiał normalnie, chociaż łomotało jej serce.

– Oczywiście.

Ray podszedł z drugiej strony i otworzył jej drzwiczki.

– Chcę najpierw przejść się na dół i przekonać samego siebie, że rzeczywiście tutaj jestem.

– Sprawdzić, czy wciąż jeszcze istnieje jezioro?

– Nigdy nie możesz być pewien, że ktoś nie wyciągnął wtyczki z gniazdka.

Zachichotali i przeszli wolno w poprzek wzniesienia, niepostrzeżenie wpadając w rutynę, jakby robili tak co tydzień. Płaty śniegu pokryte były czerwono-brązowymi igłami sosny, podobnie jak i błotnista ścieżka. Połamane gałązki przebijały się przez kołnierze mlecznego lodu. Żyłki czerni i warstewka płynącej wody mówiły o wiośnie.

– Nie wygląda to szczególnie bezpiecznie – mruknęła Marcel.

– Bałbym się wejść tam.

– Nie martw się – powiedziała lekko. – Nie planuję opuszczać domku.

Wzrokiem zawisł na niej.

– Nie?

Zadrżała. Jakby powiedziała, że nie ma zamiaru opuszczać łóżka. Krzyżując ramiona stłumiła drżenie.

– Może powinniśmy się rozpakować.

– Chodźmy.

To słowo unosiło się nad nimi przez całą drogę powrotną. Marcel czuła na sobie jego wzrok, gdy musieli iść pojedynczo. Te piekielne obcisłe dzinsy. Wiedziała, że zapowiada się poważna rozmowa.

– Świetnie. Jestem więc Rebeką z farmy Sunnybrook – mruknęła do siebie.

– Słucham? – Nic.

Zszedł ze ścieżki na skrzypiący żwir podjazdu. Marcel przyglądała się tyłowi chatki, gdzie stało kilka przybudówek. Był i skuter śnieżny, a pod płytą dykty wisiał silnik łodzi,

zapasowe części zapakowano w stojące obok kartony. Jej wzrok zatrzymał się na mniejszej przybudówce.

Ray podążył za jej spojrzeniem i uśmiechnął się.

– To drewniany szafas. Dwa lata temu zainstalowałem w domku kanalizację. – Wskazał głową na ten nowy dodatek. – To wszystko dobudowano z drugiej strony. Chłopcy wuja Teda używali tego w czasie lata. Inni kuzyni przyjeżdżają tu od czasu do czasu.

– A ty?

– Ja włożyłem w to pieniądze – odpowiedział prosto. – Należy głównie do mnie i do taty.

– Mógłby być cały twój. Tak dobrze ci się powiodło.

– Tak, cóż. – Po swoim starał się nie zauważyć komplementu. – Tata jest przywiązany do tego, co ma tutaj.

– Jak się miewa twój ojciec?

– Dobrze. Przeszedł na emeryturę. Dorabia sobie trochę naprawą motorówek i niewielkich silników. Zawsze lubił majsterkować. Może się tu zjawić w ten weekend. Zwykle rozpoczynamy sezon w niedzielę Wielkanocną.

Tradycje rodzinne. Coś, czego nigdy przedtem nie dzielili.

– Podaj mi torbę z zapasami – powiedziała chcąc mu trochę pomóc.

– Nie mogę.

– Dlaczego nie?

– Och, Marcel, przecież wiesz, że nie znoszę patrzeć, jak kobieta dźwiga cokolwiek.

– Do licha, mój panie, możesz o tym teraz zapomnieć. – Nachyliła się po walizkę właśnie w tej samej chwili, gdy i on sięgnął po nią z drugiej strony. Ich dłonie spotkały się na uchwycie.

– Kompromis – powiedział głosem dziwnie zachrypłym w tej zacieśnionej przestrzeni.

– Ja wezmę swoje i ty swoje.

– Nie, ja zaniosę, a ty rozpakujesz. – Ray.

– Marcel.

– Nie chcę walczyć.

– Miałem nikłą nadzieję, że może posilujemy się trochę później.

Zignorowała tę uwagę.

– Pozwól, że to wezmę.

– Pozwól mi, zanim mi plecy zupełnie zeszywnieją i zostanę unieruchomiony w tej pozycji na cały weekend.

Zaśmiała się. Oszukał ją, wykorzystując okazję, by wyrwać torbę, gdy odrobinę rozluźniła uchwyt.

– To byłaby trochę... niezwykła pozycja – zadrwiła naburmuszona idąc za nim do domu.

– Jestem pewien, że wymyślilibyśmy jakiś sposób, żeby sobie z tym poradzić.

– Mmm, ale mogłabym uciec za każdym razem, gdy tylko próbowałbyś czegoś.

– Jeśli wybrałaś się tutaj na niewinny weekend, to chyba z niewłaściwym facetem.

– To tylko takie rozważania. – Otworzyła przed nim drzwi z zamaszystym ukłonem.

Wszedł mamrocząc pod nosem coś o emancypacji.

– Jeśli będzie pani próbowała wymknąć się z mego łóżka, panno Courville, może pani napotkać po drodze do drzwi kilka pułapek na myszy.

– Myszy? Masz tutaj myszy?

Zachichotał. Wchodząc do sypialni cisnął walizkę na łóżko.

– A czy niedźwiedź... ? Zresztą nieważne.

– Czy niedźwiedź co? – spytała zatrzymując się w salonie.

– Na pewno nie znasz tego powiedzenia.

Stojąc teraz w chacie, Marcel zrozumiała, co Ray musiał czuć w wozowni. Zapach przywołał wspomnienia. Niskie sufity, szmaciane dywany, meble będące zbieraniną starych, niepotrzebnych już sprzętów, solidnie zniszczonych, zanim się jeszcze tutaj znalazły. Zasłony i abażury z tego samego materiału w kaczki i psy myśliwskie. W pokoju stał znajomy piecyk z ekranem umocowanym tak, by mogli obserwować płonący ogień.

Podeszła do drzwi sypialni i stanęła. Na środku stało ogromne łoże z orzechowego drewna, do którego wchodziło się po kilku schodkach. Ray zrzucił z siebie lotniczą kurtkę i spojrzał na nią czekając, aż przekroczy próg. Pamięć była jednym ze zmysłów i spowiła teraz całe jej ciało.

Otworzyła usta, ale nie wypowiedziała ani jednego słowa. Miała tysiące rzeczy do powiedzenia, zanim staną się kochankami, zanim wymówią słowa „kocham cię. „

– Zdenerwowana? – zapytał.

– Nie ma żadnego powodu.

– To nie jest odpowiedź.

– Pamiętasz, jak powiedziałaś, że zapachy przywołują wspomnienia?

– Próbujesz zbić mnie z tropu? – Uśmiechnął się, ale jego spojrzenie było skupione i uważne. Czy naprawdę pragnęła go? Czy choć trochę zdawała sobie sprawę z tego, jak bardzo on jej pragnął? Może to właśnie ją przerażało. On, w każdym razie, cały od tego drżał.

To żarty, przemknęło Marcel przez myśl. Ten mężczyzna bawił się w grę słów. Przynajmniej jego umysł wciąż funkcjonował. Ona była oszołomiona jak mucha po zderzeniu z szybą. Kręciło jej się w głowie, była pijana wiosną.

– Jak myślisz, skąd on się wziął?

– Wleciał tu pierwszy raz od dawna. – Nie poruszył się, gdy Marcel podchodziła do okna.

– Marcel, kiedy ostatni raz ktoś poszybował z tobą w chmury?

Spojrzała na niego. A niech go za tę delikatność! Gdyby tak porwał ja w ramiona, zrobił coś, żeby mogła już tylko czuć, a nie wciąż myśleć.

Pogładził ją po twarzy, przesuwając palcami wzdłuż kości policzkowej, linii włosów, krawędzi ucha.

– Mamy przed sobą cały weekend, nie będziemy się spieszyć.

Zabrał się do rozpakowywania przyborów do golenia. Wytarł blat toaletki chusteczką, wzbijając w powietrze kłęby kurzu. Mignęła jej przed oczami paczka prezerwatyw.

Słysząc było brzęczenie muchy.

Głośnym tykaniem przypomniał o sobie budzik, który schowała na podróż w walizce.

– Czy będą mi potrzebne? – spytał obserwując ją w lustrze. „Nie” oznaczałoby, że

przyjechała przygotowana. Nie zabezpieczała się. Kiwnęła głową potakująco.

Postawił walizkę na podłodze, odwinął kołdrę. Pod spodem był tylko goły materac.

– To jedyne prawdziwe łóżko, jakie kiedykolwiek dzieliliśmy.

Zaschło jej w gardle. Rozpinał koszulę.

– Ray. Uśmiechnął się.

– Jeden weekend. Czy może nam być bardzo źle?

– Ja... mmm...

– Posłuchaj, możemy się tego pozbyć albo będzie nas to prześladowało przez cały czas.

Jej starannie wypracowany, obojętny wyraz twarzy prysł jak bańka mydlana.

– To rzeczywiście romantyczne! Uśmiechnął się.

– Czy masz zamiar się naburmuszyć i porzucić mnie tutaj? Droga powrotna to spory kawałek.

– O, jestem więc teraz więźniem! – Przerwała swoją tyradę w połowie, założyła ręce i racyła spojrzeć na niego dopiero wówczas, gdy usłyszała jego cichy śmiech.

– Co jest tak śmiesznego w tym, że starasz się odrzec tę historię z wszelkiej romantyczności?

– A co sadzisz o sposobie, w jaki przedstawiasz swoje obawy jako jedyna słuszna rację? Można się z tego tylko pośmiać.

– Obawy?

– Przed tym, w co się wpakowałaś.

– Wydaje ci się, że przejrzałeś mnie, prawda?

– To nie znaczy, że umiem czytać w twoich myślach, Marcel. Możemy się kochać, możemy zjeść obiad, możemy się rozpakować. Albo zrobić wszystkie te trzy rzeczy naraz.

Nie mogła powstrzymać uśmiechu zbierającego się w kącikach ust.

– Wszystko naraz?

– Tu właśnie jest haczyk. Podejdz i usiądź. – Wskazał na łóżko.

Duże ręce, duży mężczyzna. Jej oczy wędrowały od spokojnego wyrazu twarzy Raya do rozchylenia koszuli.

– Myślisz, że moglibyśmy położyć tutaj jakieś prześcieradła? Nawet jeśli zupełnie to zbrutalizujemy, to jednak pewne standardy muszą być zachowane.

– Czego tylko moja pani zażąda. Są w samochodzie. Miłe i ciepłe, jak świeże tosty.

Ale nie odwrócił się od razu, żeby po nie pójść. Najpierw objął jej talię. Potem ujął w dłonie jej twarz.

Pocałunek był delikatny, ale głęboki. Nie śpieszył się. Potem złapał oddech.

– Będę za minutę.

Kiedy wrócił, wciąż jeszcze paliły ja usta. Nie poruszyła się.

Rzucił jedno z prześcieradeł na materac. Poruszyła się, jakby zbudzona z głębokiego transu.

– Na tym materacu prześcieradła wystygną momentalnie.

– Ale nie wtedy, gdy my będziemy na nich. Zignorowała tę uwagę.

– Nie masz żadnych rozstępów na skórze, prawda? Aż otworzyła usta ze zdumienia.

– Skąd? Przecież wiesz, że nie mam dzieci. – Urwała, widząc, że znów potraktowała jego słowa zbyt poważnie. – Moje ciało jest w porządku – powiedziała oschle.

– A czy ja mógłbym to osądzić?

– Złapałam już, o co chodzi. – Tak?

– Prowokujesz mnie specjalnie, chcesz zmusić mnie do jakiejś reakcji.

– Rozpalam cię i denerwuję?

Pociągnęła za róg rozłożonego przez Raya prześcieradła i poprawiła je starannie.

– Teraz jest dobrze, mogłaby po nim skakać nawet piłka lekarska.

– A dwoje dorodnych dorosłych? – wyciągnął koszulę ze spodni i rozpiął ją do końca.

Opadła mu na uda, gdy przysiadł na krawędzi łóżka. Nie potrzebował używać schodów.

– Masz zamiar rozebrać się, czy będziemy zastanawiać się nad tym jeszcze przez kilka godzin?

Splotła ciaśniej ręce krzyżując je na piersiach.

– Nie jestem po prostu pewna, czy zabieramy się do tego od... najlepszej strony.

– Chcesz, żebym wyrysował ci plan?

– Nie złość się na mnie.

– Moja cierpliwość jest napięta do granic wytrzymałości. I jeszcze pewna część ciała też.

– Znowu jesteś brutalny.

– Specjalnie.

– Żeby wyprowadzić mnie z równowagi.

– Mogłabyś założyć się o ten śliczny tyłeczek, że tak. Jej policzki pokryły się mocnym rumieńcem.

– Marcel, nie proponuję, że będę cię ścigał po łóżku, chacie i okolicznych lasach.

– Dobrze.

– Proszę tylko, żebyś tutaj podeszła. – I?

Westchnął głęboko, cały czas nie spuszczał z niej wzroku.

– Przestań mówić i podejdź. Zrobiła jeden krok. Drugi.

– Przepraszam, jestem nerwowa. Ja, ty...

– Cii... – Wyciągnął do niej dłoń. – Podaj mi rękę, nic więcej nie musisz robić.

Posłuchała go. Czowała się głupio, bała się. Nie wiedział, ile postawiła na tę kartę, jak wielkie miało to dla niej znaczenie i jak bardzo chciała, żeby wszystko wypadło dobrze. A mimo to zdążyła już zupełnie wszystko pomieszać.

Dłoń Marcel spoczywała na dłoni Raya, gładził jej rękę. Pochylił się i delikatnie pocałował tę dłoń. Marcel osunęła się na kolana. Nogi miała jak z wosku, nie było to zbyt pewne oparcie.

Pociągnął, a jej ręka była całkowicie posłuszna, bezwolna, tak jak i całe ramię. Pocałował jej nadgarstek, wyczuwając wargami puls. Jej ręka otwarła się, skóra była rozpalona jak lawa. Przytulał ją do swego policzka, szyi, ciepłej maty włosów na torsie. Głos Raya był tak samo szorstki, jak te włosy, tak samo dręczący.

– Dotykaj mnie, Marcel. Prowadź. Zrobię, co zechcesz, tylko nie przestawaj mnie dotykać.

Jak mogłaby? Był cały rozpalony, a ona lgnęła do tego ognia. Z jedną ręką na wierzchu, a drugą w głębi jego koszuli rozpięła resztę guzików. Czubkami palców liczyła włosy na torsie, później przejechała paznokciami po twardych sutkach. Sięgnęła w głąb, pod kołnierz koszuli i odwróciła go, by zachłysnąć się zapachem jego wody kolońskiej, przesunęła ręką w dół pleców. Pasek od spodni zagroził dalszą drogę. Zdarła z niego koszulę, obnażając mocne ramiona.

Stał niepewnie, nie chcąc jej spłoszyć.

– Nie przestawaj.

– Nie przestałam.

– Po prostu musiałem...

– Potrzebowałam tego. – Rozpięła mu pasek. Włożyła rękę do środka i przesunęła ją w dół wąskich bioder, wyczuwając pod palcami szorstkie włosy na udach i mięśnie, większe i tym razem twardsze. Slipki zsunęły się razem z dzinsami.

Przydepnął jeden z pantofli zrzucając go z nóg, potem drugi, odsuwając jednocześnie dzinsy na bok. Chciał ściągnąć skarpety, ale pod jej wzrokiem zeszywniał niemal jak wycior, i nie będąc w stanie nawet się zgiąć.

– Mogę? – Chociaż głos zabrzmiał zupełnie szorstko i nienaturalnie, zdziwił się, że w ogóle udało mu się coś powiedzieć.

Błysk niepewności w jej oczach powiedział mu, że nie wiedziała, o co pyta. Jednak zaryzykowała i kiwnęła głową mimo to.

Podciągnął jej sweter i unosząc brodę w górę, pokazał, że ma unieść ramiona nad głowę.

– Jak mogę, skoro chcesz, bym cały czas cię dotykała?

– Nachyl się do przodu.

Zrobiła tak, a jej bawełniana koszulka dotknęła nagiej piersi Raya, owinięte dzinsami uda przycisnęły się do nagich nóg.

– Czujesz to? Skinęła głową.

– Dotykasz mnie.

– Ty mnie też – zamruczała.

Ściągnął jej sweter, a deszcz złotych włosów znów opadł na ramiona. Potrząsnęła nimi.

Ray czuł to na całym ciele. Palce plątały mu się wśród guzików bluzki. Rozpięła je sama, starając się, by grzbietem dłoni wciąż dotykać jego piersi.

– Czy wciąż jesteś blondynką? – Musiał przełknąć ślinę, by dokończyć zdanie. – Wszędzie?

Uśmiech był jedyną odpowiedzią.

– Twoje włosy były kiedyś jaśniejsze.

– Ściemniały.

– Wszędzie? – Z figlarną iskierką w oczach odchyliła się do tyłu, tak balansując udami, by cały czas łączył ich dotyk. Spojrzała w dół.

– Byłeś jasny jak truskawka. – Ciasno splecione włosy zawinęły się wokół jej palca. – I byłeś taki brązowy od tej ciągłej pracy na dachach. Wszędzie karmelowy, oprócz tego paska, gdzie były dzinsy. – Podążyła wzdłuż nikszej linii, aż jej ręce spotkały się z tyłem. – Już jest

rozpięte.

Ray z trudem skupił swą uwagę znów na jej ubraniu, bluzka zsunęła się z ramion i upadła na ziemię.

– Jak mam wyłuskać cię z tych dzinsów? Zaśmiała się nisko.

– Podobają ci się?

– Są tak opięte, że nazwa firmy będzie pewnie odcisnięta na twojej pupci.

Otarła się o niego jak kotka. Jęknął szepcząc w jej włosy.

– Czy jesteś już gotowa, Marcel?

Zadrżał, gdy objęła rękami jego szyję, ustami dotknęła ucha. Nawet jeśli odpowiedziała, nie usłyszał tego, za bardzo grzmiało wokół. Przycisnął się do niej tam, gdzie było jej podbrzusze. Rozchyliła nogi, oplatając jego udo z dwóch stron.

Nie odpowiedziała, ale on nie prosił o dużo, tylko o wszystko. By dzielili to, co mieli, co zawsze było tylko ich.

Wymruczał zakłęcie. Marcel także. Odmieniali, powtarzali słowo „kochać.” „Kochanie.” „Kochaj mnie.” „Proszę, kochaj.”

Łóżko było tuż za nim, musiał jedynie ułożyć na nim Marcel. Znaleźli się tam splątani nogami i ramionami. Ich usta stopiły się, języki rozłączyły się tylko na czas potrzebny do nabrania zdyszanego oddechu, jęku, syknięcia w odpowiedzi na jej miedziany dotyk. Pokój wypełniał ogień, ale nikt nie wołał o pomoc. Była znowu jego. Jego. A on będzie dawał i dawał, biorąc, aż Marcel będzie zbyt słaba, by odejść, za bardzo pewna jego miłości, by kiedykolwiek zwątpić. Należeli do siebie. On był teraz częścią jej ciała.

– Marcel, dotykaj mnie. Posłuchała.

Wydał z siebie długi, przejmujący jęk, potem potrząsnął głową jak pies tuż po wyjściu z wody, na próżno starając się pozbyć tego potwornego hałasu, który brzmiał mu w uszach.

– Nie powinienem był cię tego uczyć.

– Jestem pojętnym uczniem?

Zanurzył głowę w jej rozrzuconych włosach.

– Masz świetną pamięć.

– I trochę pomysłowości.

Znów jęknął i zanim zdążył zdać sobie z tego sprawę, leżał , już na plecach. Marcel służyła jego ciału jak złoty anioł lubujący się w rozkoszach zmysłowych i nie znający żadnej litości.

– Lubisz tak? – przekomarzała się, a jej głos drżał podnieceniem.

Z wysiłkiem starał się opanować wyraz twarzy.

– Marcel, sprawisz, że ja za chwilę...

– Planowałeś to sobie inaczej. To ty miałeś sprawić, że ja...

– Więc przestań... oo... mój...

Wypuścił z ręki pomięte w kurczowym uścisku prześcieradło i pociągnął ją na siebie, pod siebie. Serce łomotało jej pod wpływem ciemnego, buntowniczego błysku w jego oczach.

– Nie tym razem – powiedział, głosem twardym jak żwir. – Tym razem to nie jest dla mnie lub dla ciebie, chodzi o nas oboje. – Zsunął się z łóżka sięgając do toaletki. Kiedy

wrócił, naciągnęła prześcieradła w geście niewiarygodnej zupełnie skromności.

Wpatrywał się w nią przez dłuższą chwilę. W pełnym świetle, przy odsłoniętych zasłonach, w nie zacienionym pokoju – stał przed nią. Jednym ruchem zdarł tak starannie ułożone przez nią prześcieradła, koce, wszystko, aż znów był pod nimi tylko goły materac. Nie potrzebowali dekoracji.

Opadł na nią, przyszpilając jej nadgarstki daleko z tyłu głowy i obserwując uważnie, jak rosły jej piersi, gdy wyginała się ku niemu.

– Myślisz, że zostawię wszystkie tortury dla ciebie?

– Co dokładnie masz na myśli?

– Mam to na myśli, odkąd wykreśliłaś mnie ze swego życia.

– Zemsta? – Usta miała zupełnie wyschnięte, serce trzepotało w niej pod jego palącym spojrzeniem.

– Myślisz, że byłbym zdolny do tego rodzaju zemsty?

– Nie wiem – odpowiedziała szczerze, pokonując dławienie w gardle.

Naparł na nią. Mimo napięcia w ramionach, jej uda rozchyliły się lekko. Opór napotkał gdzie indziej. „Jestem tutaj, aby cię kochać”, cisnęło mu się na usta. Ale najpierw musiał to udowodnić, pozwolić, aby jej ufność rosła nawet wtedy, gdy namiętność zniosła wszelkie inne uprzedzenia.

– Chcę – powiedział wolno – słyszeć pisk twojej skóry, gdy ocieram się o ciebie. O tak.

Kiwnęła głowa.

Nacisnął mocniej. Centymetr, następny. Zamknęła oczy, jej usta rozwarły się, wydarł się z nich jęk.

– Chcę – szeptał Ray – wilgotnej, sierpniowej nocy. – Ty i ja, mokrzy, zmęczeni, nie będący w stanie się poruszyć.

Poruszył się.

Rzucała słabo głową w przód i w tył po gołym materacu.

Naciskał dalej. Aż do końca.

Wygięła się ku niemu jęcząc. Poruszyła się. On nie.

– Powiedz mi, czy myślisz, że teraz to jest zemsta? – Nie.

– Więc powiedz „tak”. Chodź ze mną, Marcel.

– Tak, tak. Poruszyli się razem.

Dźwięk jej głosu był dla niego jak uderzenie ciężkiej kłody, drzenie lekkiej zadyszki, niewypowiedziana zmysłowość. Serce waliło mu jak murzyński tamtam. Ta olśniewająca, śmiała dziewczyna, która uczyniła go wtedy królem całego wzgórze, była teraz kobietą.

Połączyło ich śliskie tarcie wzniecając rozplywające się, płynne ognie. Ostatnia z kołder opadła na ziemię z odgłosem tak chrapliwym, jak oddech Raya. Wiatr zawył za oknem, szpary w ścianach gwizdały jak gotujący się czajnik, jak bojler, który zaraz pęknie.

Słyszał, jak wymawiała jego imię. We śnie i na jawie tyle razy słyszał ten głos w marzeniach. Poruszył się, spotkała go, rozplynęli się w sobie. Raz jeszcze wywołała jego imię, a potem eksplozja wypełniła pokój.

Marcel przełknęła ślinę, w jej ciele wciąż brzmiała melodia jego dotyku. Czowała jeszcze ogień ich namiętności, a jednak jej serce było pustką spragnioną słów.

Dobierał je starannie.

– Nigdy nie chciałem zebrać – powiedział miękko. – Byłem już piekielnie blisko znizenia się do tego, więc odszedłem. Nie potrafiłem być tym, czego wtedy pragnęłaś.

– Ale ja naprawdę pragnęłam ciebie, za bardzo.

– Myślisz, że to mogłoby nam się udać?

– Prawdopodobnie nie.

Spojrzał na nią z grymasem w oczach.

– Więc dlaczego tak bardzo dręczyliśmy się czymś, co stało się dziesięć lat temu?

– Ponieważ to nigdy tak naprawdę nie umarło. Wciąż jest coś między nami.

Dotknął jej policzka.

– Więcej niż kiedykolwiek, jeśli spytałabyś mnie o zdanie.

– Nie pytam – powiedziała. – Stwierdzam. – Usta miała ciepłe, poszukujące.

– Co z tym zrobimy?

– Zgadnij.

Ogień trzaskał i buzował, komin zawył. Pod plecami miał twardy dywan. Oddechy, zęby, języki odnalazły siebie, pachnące jeszcze mocnym, ciemnym czerwonym winem, które przyniósł Ray. Kieliszki stały obok nich na podłodze.

Chcąc uchronić je przed roz biciem, Marcel wyciągnęła rękę. Na ich samotny weekend zabrał takie cudne kryształki. Jak mogła nie kochać tego mężczyzny? Ujęła w dłonie jego twarz i potrząsnęła nią.

– Jak mogłeś myśleć kiedykolwiek, że nie jesteś dla mnie dość dobry?

– Pomyślałem tak, uwierzyłem w to, przełknąłem i trawiłem przez następny, długi rok. Kogo miałem oszukiwać? Byłaś najpiękniejsza, najseksowniejsza, najbogatsza...

– Już nie jestem.

– Długonoga, ekscytująca, rozwścieczająca, nie dająca się wyprowadzić z równowagi.

– Mówisz poważnie?

Nachylił usta do jej nagich piersi.

– Powiedziałbym, że robimy to dosyć poważnie. Złapała oddech, gdy jej sutki wystrzeliły pod wpływem pieśzcoty.

– Czy ty... – Ale zawiodły ją nerwy. Przy całym swym poczuciu godności, wpojonym dobrym wychowaniu i takcie, wciąż nie potrafiła spytać po prostu mężczyzny, z którym spała, czy ją kochał. – Czy ty kiedykolwiek...

Ray zatrzymał się. Nie trzeba było geniusza, żeby domyślić się, o co pytała. Tylko osioł musiałby równie długo zastanawiać się nad tym. Rzucił mocne przekleństwo pod adresem swej własnej gruboskróności.

– Marcel, kochałem cię wtedy, przykro mi, że kiedykolwiek mogłaś w to wątpić.

– Dziękuję.

– Kocham cię teraz.

Jej gardło było tak ściśnięte, że jedyną odpowiedzią mógł być pocałunek.

Ray przełknął łyk wina. Kiedy przyłożył kieliszek do jej ust, był ciepły od ognia.

– Nie potrzebujemy gorąca. Potrzebujemy swego dotyku. Pokazała mu jak. Czubkami palców dotknęła jego sutków.

Przysiągłyby, że były wrośnięte bezpośrednio w serce. Jego łoskot przypominał uderzenia młota pneumatycznego. Uklękła. Jej plecy, proste i nagie, były jak mapa przecięta równą linią kręgosłupa, po której błdziły palce Raya, dopóki nie napotkała ustami jasnobrazowej gałki.

Niesamowita rozkosz wypełniła Raya. Dla Mercel było to wiele różnych wrażeń naraz: dzwoniący po dachu deszcz, sofa pod nimi pachnąca starą, wilgotną sierścią końską, dywan posypany nadmorskim piaskiem, który oblepiał ją i drapał, jego ręce, bicie serca, zdyszany oddech.

Wszystko drgało i zmieniało się w niej, głos brzmiał jak z oddali.

– Sprawiasz, że wszystko tańczy we mnie – zamruczała, patrząc na zamglone płomienie.
– Dokładnie w ten sam sposób.

Dotknął jej językiem, jakby na potwierdzenie tych słów. Gdy ucichły już gromy wzburzające jej krew, musiała zamknąć usta, wilgotne i suche wargi, wciągnąć raz jeszcze wszystkie zapachy, by odzyskać oddech. Ostre, mocne zapachy kobiety i mężczyzny wypełniły jej rozszerzone nozdrza.

Później przesypywał palcami jej włosy.

– Ktokolwiek wysnuł złotą przędzę ze słomy, musiał wpaść na ten pomysł patrząc na ciebie.

– Co to znaczy? – spytała leniwie, z uśmiechem zadowolenia igrającym na ustach.

– Nie wiem, po prostu brzmiało dobrze. Zachichotała, czując jego ciało tuż przy swoim.

– Dlaczego jesteś taki zadowolony z siebie?

– Jestem szczęśliwy. Mam tutaj wszystko, czego kiedykolwiek pragnąłem.

Czy to było wszystko, czego pragnął? Poczwała ukłucie w sercu. Zignorowała to.

– Zastanawiam się.

– Mogłaś się zastanawiać przez cały ten czas? Kobiety, wy jesteście rzeczywiście zupełnie odrębnym rodzajem.

Dała mu lekkiego klapsa za te żarty.

– Myślałam o przyszłości – powiedziała.

Słowa zawisły w powietrzu jak mgła na zamarznętym jeziorze.

– Naszej?

Kiwnęła, choć raz zadowolona z panującego mroku, z nikłego, czerwonego, odbłasku ognia. Jeżeli potraktowała to wszystko zbyt poważnie, oczekując za wiele, lepiej, żeby nie widział jej upokorzenia. Ale nie chciała teraz milczeć. Musiała zadać to pytanie, nawet jeśli było na to jeszcze za wcześnie.

– To, co dzieliło nas wtedy, nie ma już znaczenia. Oboje odnieśliśmy sukces. Zwłaszcza ty. Gdybyśmy poznali się dopiero teraz, nie byłoby między nami żadnych barier.

Wsluchiwała się w jego milczenie z szeroko otwartymi w mroku oczami.

– Masz rację – powiedział niskim głosem. Trudno było ocenić jego odczucia. – Gdybyśmy spotkali się teraz, sądziłabyś, że byłem całkowicie innym mężczyzną niż ten, którego znałaś.

– A więc nie ma żadnego problemu, żadnych różnic.

– Żadnych różnic klasowych. Chodź do łóżka. Zupełnie wyziębisz tę cudną pupcię.

Łóżko było jeszcze zimniejsze niż podłoga. Wtulili się w siebie. Marcel była zupełnie rozbudzona. Myślała głośno, snując plany z mężczyzną, który miał je dzielić.

– Powinniśmy to wszystko zapisać. – Zabrałaś kredę?

– Jesteś paskudny, nawet kiedy śpisz. Będę pamiętać. Po pierwsze: musimy być ze sobą szczerzy.

– Uhm.

– Po drugie: rozmawiamy regularnie, nawet każdego wieczoru, jeśli musimy, o wszystkim, co będzie nas trapić.

– Po trzecie – mruknął Ray – kochamy się regularnie, nawet każdej nocy, jeśli już musimy.

– Żartujesz sobie ze mnie.

– To nie jest lądowanie w Normandii. Czy musimy teraz to tak dokładnie planować?

– Postawienie przed sobą celów bardzo rozjaśnia sprawę. Pokazuje, czego chcesz od życia.

– Ta sama stara Marcel. – Ugryzł ją w ramię. – A co, jeśli ja wiem, czego chcę?

Tym razem tylko dotknął jej zębami.

– Nie możesz żyć tylko chwilą – powiedziała swoim najbardziej dystygowanym tonem.

– Tego rodzaju chwilami mogę. Jak najchętniej. – Ray przesunął rękę po podbrzuszu Marcel. – Możemy opracować – to jutro, kiedy sporządzę dokładną mapę twoich sfer erogennych.

Zaśmiali się oboje. Ray zasnął szybko. Marcel jeszcze długo w nocy rozmyślała nad tym, jak w jednym akcie połączone być mogły poddanie się i triumf, gdy branie stawało się daniem, a dwa ciała jednym.

Wyczuła jego zakłopotanie, gdy mówili o przyszłości i przyrzekła sobie w duszy: nigdy nie będzie miał żadnego powodu, by zwątpić w nią lub w siebie. Wierzył, że nie był dostatecznie dobry. Dokuczliwe poczucie winy mówiło jej, że to ona sama bardzo przyczyniła się do utwierdzenia go w tym przekonaniu. Nigdy więcej. Była dumna z siebie, z tego, że wszystko, co ma, zawdzięcza sobie, ale bez porównania bardziej była dumna z Raya.

Gdy już odpływała w sen w jego ramionach, przypomniały jej się słowa piosenki o bohaterach. Powie mu rano, że jest jej bohaterem.

Zaspała. Ona, która urodziła się z budzikiem w głowie. Sandy zawsze drażniła się z nią mówiąc:

– Zawsze na czas. Nigdy ci nie brak zapasowego przybornika do szycia, dodatkowej chusteczki do nosa, szminki. Każdy włos zawsze na swoim miejscu.

Ale nie dzisiaj.

Marcel uśmiechnęła się leniwie i przejechała ręką po włosach. Zdawały się być wszędzie. Powinna wyskoczyć z łóżka z przerażeniem i zrobić coś z tym, zanim wróci Ray. Ale jej ramiona nie chciały słuchać. Zatrzymały się nad głową przesypując aksamitne pasma.

Wstał już chyba z godzinę temu. Czują, jak wychodził. Chłód, który pozostał w tym miejscu, nie był tak miły, jak dotyk jego ciała, ale dosyć przyjemny. Zeszłej nocy nasyciła się jego ciałem.. Tylko myśl...

Szklanki i patelnie dzwoniły w kuchni. Wciągnęła ten zapach głęboko, czując, jak rozciągają się jej płuca, żebra, piersi, plecy. Wszystko ją trochę bolało.

– Ponieważ wszystko – oświadczyła słodko – nieźle się wczoraj spracowało.

– Nie śpisz już? – krzyknął z drugiego pokoju. Uśmiechnęła się. Boże, co się z nią stało. Nawet się nie zawstydziła, gdy przyłapał ją na gadaniu do siebie.

– Leżeć tu nago, z grzesznym zadowoleniem, w łóżku oddalonym dwieście mil od domu. No, no, panno Courville.

Słyszała, jak nuci w kuchni, świadoma, że tak właściwie wcale mu nie odpowiedziała. Niech myśli, że jeszcze trochę śpi. W zasadzie może jeszcze podrzemać przez parę minut.

Sandy i tak zawsze wściekała się, że Dawid przynosił jej śniadanie do łóżka.

– Życie małżeńskie... – zastanawiała się z tym uśmiechem, którego tak bardzo zazdrościła jej Marcel.

Małżeńskie. Przemyślała to biorąc prysznic. Czy mogliby to zrobić? Może, jeśli pamiętałaby o swoim postanowieniu powiedzenia mu, jak bardzo jest z niego dumna.

Strategia, którą na pewno pochwaliby jej matka.

– Wykaż zainteresowanie pracą mężczyzny – mówiła. – Oni to uwielbiają.

Marcel zachichotała. I pomyśleć, że ona polowała na mężczyznę!

– Jesteś tu? – Wystraszyła się słysząc jego chrapliwy niski głos.

– Tak – odpowiedziała szybko, zza zamglonych parą drzwi.

– Przyniosłem ci ręcznik.

– Dzięki.

Był miękki i pachnący. Ray ogrzał go przy kominku. Drzwi zamknęły się i odszedł.

– Kocham go, mamó – powiedziała miękko Marcel wtulając twarz w miękkość, tak rzadko okazywaną przez jej twardego mężczyznę.

Marcel poszła do pokoju, zdając sobie sprawę, że nie ma na sobie nic poza jedną z jego koszul, własną koronkową bielizną i jakimiś ciepłymi skarpetami. Zanim zdążyła zarzucić mu na szyję ramiona, zatrzymał ją w miejscu widok stołu.

– Ile robisz naleśników?

– Lepiej narzuć coś na siebie, zanim wejdzie tu tata. – Tata?

– Przyjechał pomóc w otwarciu sezonu.

– O! – Trzy nakrycia stały naokoło półmisków z jedzeniem. Przez okno spostrzegła, że obok ich samochodu zaparkowany był jeszcze jeden wóz.

Ich samochód.

– Czy on wie? – spytała.

Ray zachichotał, widząc przerażenie na jej twarzy.

– Będzie wiedział już wkrótce.

Skrzypnęły drzwi wejściowe. Zanim otworzyły się także drzwi od kuchni, Marcel popędziła do sypialni, żeby założyć na siebie coś przyzwoitego. Słyszała szorstkie, męskie głosy.

– Hej.

– Wyjąłeś już wszystko z samochodu?

– Prawie tak.

– Mógłbym pomóc ci po śniadaniu.

– Nie, synu, radzę sobie sam. Chłopcy wuja Teda mogą zjawić się trochę później, ale to nic pewnego.

Ray podniósł wzrok znad patelni, gdy Marcel wkroczyła do pokoju po raz drugi.

– Tato? Chciałbym, żebyś poznał Marcel.

Marcel z przyklejonym do twarzy uśmiechem podeszła wyciągając rękę do Crane'a.

– Panie Crane, bardzo miło mi pana poznać.

– Och, hej, dzień dobry pani. – Uścisnął jej dłoń, jakby była zrobiona z chińskiej porcelany.

Marcel promieniała. Ojciec był niemal wzrostu Raya i bardzo go przypominał. Mieli te same pociągłe rysy twarzy, chociaż starszy Crane był potężniejszy, mocniej zbudowany i nie tak wysmukły, jak jego syn. Ray ukrył głowę za wiszącą lampą kuchenną, nachylając się, by wyłowić jakieś kawałki mięsa z gulaszu.

– Ray wspominał, że zwykle inaugurujecie, państwo, sezon w niedzielę wielkanocną. Czy przyjedzie również pani Crane?

Ojciec próbował spotkać się ze wzrokiem Raya, Ray wrócił do swojej skwierczącej patelni.

– Została w domu z Miti. Przez ten tydzień kilka razy odwiedzały już lekarza.

– Bardzo mi przykro.

– Miti to nasz pies – wtrącił Ray.

– Ona kocha tego piekielnego psa – dodał starszy Crane. – To pudel. – Ostatnie słowa prawie że wyrzucił z siebie. – Gdyby miała wnuki, na pewno w ten sam sposób szalałyby za nimi.

Marcel zachichotała szczerze zachwycona. Ojciec Raya prawie się zarumienił. Szerokim nożem kuchennym Ray zamachał do nich, żeby usiedli.

– Mogę w czymś pomóc? – zaproponowała Marcel.

– Wystarczy, że będziesz zabawiała tatę – zamruczał Ray cmokając ją za uchem. Odkomenderował ją z powrotem do pokoju.

W kilka minut udało jej się sprytnie zebrać trochę informacji o rodzinie Raya. Ray był zachwycony. Nawet w zwykłej bawełnianej koszulce wyglądała czarująco. Kołnierz białej bluzy był odrobinę podniesiony podkreślając smukłość szyi. Złote włosy zebrała w puszysty koński ogon. Elegancka, z klasą. A jej opięty dzinsami tyłeczek był wręcz oszałamiający.

Spróbował sobie przypomnieć, ile lat miało jego ubranie. Dzinsy przynajmniej ze cztery, bluza z wielbłądziej wełny jeszcze więcej. Było to porządne i ciepłe, ale niekoniecznie prosto

od Gutza.

Nie widać było, żeby jej to przeszkadzało. Z tym, że Marcel czułaby się swobodnie w każdym towarzystwie, łącznie z jego własną rodziną. Czego nie można by powiedzieć o Rayu, jeśli kiedykolwiek doszłoby do spotkania z przedstawicielami rodziny Courville. Zlekceważył to ukłucie niepewności koncentrując się na smażeniu kiełbasek.

Jedno było jasne: każdy widząc Marcel byłby zszokowany. Przy nim była kobietą żywszą, radośniejszą i bardziej seksowną, porzucała tę starannie wystudiowaną pozę, którą zwykle prezentowała światu. Przypomniał sobie jej wtargnięcie do kuchni sprzed kilku minut i próbował zastanowić się, dlaczego przepełniło go wtedy tak dziwne uczucie dumy.

– Musi pan być bardzo dumny z Raya – powiedziała, przywracając jego uwagę z powrotem do rozmowy.

– O tak. Daleko zaszedł od czasu, kiedy pracował u swego wuja Teda. Oczywiście to była tylko praca wakacyjna.

Ojciec uszczęśliwiony chwalił się, w jakich instytucjach Ray brał udział, w jakich oficjalnych obiadach uczestniczył i jakie wpływy posiadał.

– Oczywiście chce się przenieść na stałe do Derby. Aż do tej pory nie mogłem się zorientować. – Pan Crane posłał uśmiech w stronę Marcel.

Ray przełknął łyk soku pomarańczowego.

– Tato...

– Skubaniec, dwa razy w tygodniu zaprasza mnie na obiad' do klubu ziemian. A potem latamy nad miastem tym jego samolotem. Hajja.

– Samolotem? – spytała Marcel i widać było, że zrobiło to na niej spore wrażenie.

Ray chrząknął i wlał kolejną porcję ciasta na skwierczącą patelnię. Znowu miał to nieprzyjemne uczucie, piekący ból u podstawy czaszki, o którym chciał zapomnieć.

– Nigdy nie wspominał mi, że aż tak dobrze się mu powodzi – mruknęła. Przynajmniej to było jasne, że teraz widziała go w zupełnie nowym świetle.

– Nie jestem już lataczem dachów, jak kiedyś – skomentował krótko.

– Wysoko zaszedłeś.

– Tylko po to, żeby znów wrócić do punktu, z którego wyruszyłem. – Jego spojrzenie zawisło na niej, ciemne i wzburzone.

Marcel wyczuła, że dzieje się coś złego, chociaż jej komplement wydawał się tak niewinny. Próbowała tylko powiedzieć, że...

Znowu odezwał się pan Crane.

– Wie pani, zastanawiałem się trochę nad tym swoim synem. Przy rym wszystkim co ma, można by sądzić, że dziewczyny będą za nim szalały.

– Cieszę się, że tego nie robią – powiedziała Marcel uprzejmie. To nie przez wzmiankę o kobietach w pokoju powstała nagle taka napięta atmosfera. Uwagę Raya całkowicie pochłaniało gotowanie.

– A czym ty się zajmujesz, Marto? – spytał ojciec Raya.

– Mam na imię Marcel – poprawiła go łagodnie. – Marcel Courville. – Wyciągnęła rękę ponad naleśnikami, by jeszcze raz podać rękę panu Crane.

Ray odsunął krzesło i usiadł na nim, jakby spostrzegł podłożoną pod siedzenie minę.

– Bierzmy się do jedzenia.

– Courville – powtórzył miękko pan Crane, bardziej w powietrze niż do któregokolwiek z nich, wstając jednocześnie, by oderwać sobie kawałek papierowego ręcznika.

– Siedziałem tu cały ten czas z rękami umazanymi smarem. Nie mogłem chyba zrobić zbyt dobrego wrażenia, co synu?

– Nie przejmuj się.

– Wiesz, jak to jest. Przy damach chciałoby się wyglądać dobrze.

Ray miał wzrok wbity w talerz, słychać było zgrzyt jego zębów, gdy przeżuwał kolejny kęs.

– Wiem, jak to jest.

Po śniadaniu ojciec Raya przeprosił ich.

– Muszę zobaczyć, co stało się przez zimę z motorówką. Od stycznia trzymamy ją na dworze.

– Nic jej nie jest.

– Tak czy siak muszę sprawdzić. – Drzwi wejściowe zatrzasnęły się za nim.

Marcel nigdy jeszcze nie widziała, żeby Ray był tak bardzo powściągliwy. Wyczuwała, że nie jest to dobra pora, żeby poruszać tę sprawę. Czy powiedziała coś nie tak? A może to tylko zły nastrój. To szaleńcze bicie jej serca, to jeszcze niedostateczny powód, że stawała się nadwrażliwa.

– Co powiedziałbyś, gdybym to ja zmyła naczynia? – zaproponowała. – W ten sposób moglibyście obaj zająć się motorówką.

– Zgoda – powiedział Ray odchrząkując. Zanim wyszedł, zrzucił resztki, wstawił talerze do zlewu i objął jej talię od tyłu. – Twoje włosy wspaniale pachną. Chciałem ci to powiedzieć.

Ten niezbyt wyszukany komplement nie do końca rozwiał dziwny nastrój, ale był to przynajmniej jakiś początek.

– Dzięki. Gdybyś nie był takim rannym ptaszkiem, moglibyśmy umyć je razem pod prysznicem.

– Uhm. Przepraszam za towarzystwo. Miałem nadzieję, że może ojciec daruje sobie ten weekend.

– Bzdura. Twój tata jest bardzo miły. A poza tym jest parę rzeczy, które chciałam ci powiedzieć.

– Na przykład? – Czubkiem języka pieścił jej ucho. Pachniał kawą, syropem, kiełbaską – smakowity kąsek. Poza zeszłą nocą Marcel wciąż była jeszcze nienasycona.

– Możemy z tym poczekać, aż będziemy mieli więcej czasu.

– Dała mu szybkiego całusa, który przerodził się w długie, powolne poszukiwanie.

– Powiedz mi dziś w nocy – a w jego głosie brzmiało tysiąc ekscytujących możliwości.

Trzask zamykających się za nim drzwi nie rozwiał czaru. Oddychając, Marcel wciąż czuła jeszcze na sobie jego ręce. Gdy włosy opadły jej na szyję, też pomyślała, że to Ray.

– Samolot. Rada nadzorcza. Ciekawe, ilu ma pracowników?

– Wiedziała, że Korporacja Crane’a była ogromna, ale nie miała pojęcia jak bardzo. – Wstydz się, że nic mi nie powiedziałeś, Raymondzie. – Temu mężczyźnie potrzebne były lekcje przechwalania się. Kiedyś, wśród pieśczoł i pocałunków, powie mu o tym.

– Dobrze, tato.

– Dobrze co?

– Czy moglibyśmy już z tym skończyć?

– Od kiedy jesteś taki wrażliwy?

– Od mniej więcej godziny, kiedy zacząłeś walić w stół, żeby zwrócić moją uwagę.

– Skądże.

– Dajmy sobie z tym spokój.

Ojciec przyłożył młotek do upartej, oblepionej błotem rufy.

– Myślisz, że to jej wystarczy?

– Dowiemy się dopiero wtedy, kiedy znajdzie się na wodzie.

Pracowali razem, obluźwując części, czyszcząc je w rozpuszczalniku i pokrywając mechanizm świeżą warstwą smaru. Po pewnym czasie ojciec znów powrócił do tematu, wokół którego krążyły jego myśli przez cały czas, jak ptaki nad wierzchołkami otaczających ich sosen.

– A więc to jest dziewczyna Courville’ów.

– Tak, tato.

– Ta sama?

Ray kiwnął głową, grymas wykrzywił mu twarz.

– Skąd wiesz?

– Prosiłem wuja Teda, żeby miał na ciebie oko tego lata, kiedy u niego pracowałeś.

– Tato, miałem dwadzieścia cztery lata.

– I dałeś sobie spokój z tym szalonym małżeństwem. Kiedy wróciłeś, strasznie się nad sobą rozczulałeś. Ray obruszył się.

– Nie rozczulałem się.

– Wiem – powiedział ojciec. – Nigdy od tamtej pory nie widziałem cię kiedykolwiek tak załamane go z jakiegoś powodu. Ja po prostu nie...

– Nie co? – Młotek uderzył w obudowę. Ray rozluźnił trochę swój uchwyt, a także emocje.

– Nie chcę, żebyś znów wpakował się w to samo, co tak bardzo cię kiedyś spaliło. To wszystko.

– Tym razem to co innego.

– Tak. Myślę, że tak.

– A co chcesz przez to powiedzieć?

– Teraz jesteś jakby na jej poziomie.

– Aha. – Miało to brzmieć wiążąco, krótkie chrząknięcie wyrażające zgodę, które zamknęłoby temat. Ojciec miał coś jeszcze do dodania i chociaż Ray widział to, nie był w

stanie temu zaradzić. To było właśnie to, o czym mniej lub bardziej świadomie myślał cały ten czas, odkąd odzyskał Marcel.

– Zadziwiające, jak parę milionów może zmienić zdanie kobiety o mężczyźnie.

– Ona nie jest poszukiwaczem złota, tato.

– Nie musi być. To ty w końcu wspiąłeś się na wyżyny. Nareszcie jesteś dla niej wystarczająco dobry.

Nareszcie wystarczająco dobry. Słowa te piekły Raya, jakby przełknął wolno działający kwas. Jego żołądek burzył się.

– Czas do łóżka, śpiochu. – Marcel pocałowała miękko jego skroń. Woń perfum unosiła się nad sofą, gdy Marcel pochyliła się nad nim. – Twój tata wyszedł już godzinę temu.

Ray wykrzywił się w uśmiechu, wsłuchując się w dochodzące z poddasza chrapanie.

– Wcześniej wstaje. Tak to wygląda, jeśli całe życie pracuje się na rannej zmianie.

– A ty wciąż jesteś nocnym markiem?

Przypomniało mu się, jak on sam obserwował wieczorem okna jej sypialni. W pewnym sensie wciąż jeszcze zadzierał głowę do góry. Dlaczego nie mógł po prostu zaliczyć tego do przeszłości?

– Nie poczekamy, aż przygaśnie ogień?

Marcel skuliła się w drugim końcu sofy wsuwając stopy pod jego nogi.

– Nie będzie ci przeszkadzało, jeśli w międzyczasie trochę się zagrzeję?

W Rayu znów obudziło się napięcie, jakby odezwał się jakiś wewnętrzny dzwonek. Znał ten sprytny uśmiech. Cały dzień był dostatecznie zajęty różnymi głupstwami, które trzeba było zrobić w domku, by zapomnieć o nieuniknionym. Była już niemal jedenasta. Marcel nie pozwoliła, by zamknął się teraz w sobie. Podobnie, jak i jego sumienie. Było coś, czemu musieli stawić czoła.

Ray przypatrywał się szemrzącym płomieniom. To przeklęte ognisko, które wzniecił, nie zgaśnie jeszcze co najmniej przez godzinę.

– Myślę, że powinniśmy porozmawiać – powiedział patrząc w ogień.

Milczenie Marcel sprowokowało go, by na nią spojrzeć. Nie wyglądała na zaskoczoną, zranioną czy nawet szczególnie napiętą. Lekko uniosła brodę i brwi.

– Tak?

Ray zdjął nogi z sofy i oparł łokcie na kolanach, w ten sposób łatwiej było mu udawać, że obserwuje ogień.

– O przyszłości, jaką ta sprawa może mieć przed sobą. Jeśli cię to interesuje.

Ta sprawa? Marcel ciężko przełknęła ślinę, ale udało jej się zrobić to po cichu. Szukała właściwych słów: ale jakie miały to być słowa, nie potrafiła odgadnąć. Zrób dobrą minę, pomyślała. Bądź dobrej myśli. Nie ma jeszcze powodu do paniki. Ale serce wystukujące gwałtowny rytm nie do końca było posłuszne tym rozkazom.

– Sądzę, że nasza przyszłość jest bardzo obiecująca. – Zabrzmiało to, jak sprawozdanie z działalności pod koniec roku. Mocno zacisnęła usta.

Ray nie powiedział słowa.

Wcale jej się to nie podobało. On wpatrzony w iskrzący się ogień, a ona drżąca w syberyjskim mrozie na odległej o dwa kroki sofie. Skuliła się obok niego wtulając nogi pod siebie. Udo przy udzie, głaszcząc ręką jego plecy, starała się obudzić całą siłę i ciepło płynące w jego mięśniach, nie zwracając uwagi na napięcie.

– Wciąż martwisz się, że zbyt mało mamy ze sobą wspólnego?

– Nie. Nasze serca są bardzo podobne. Fuknął.

– Niespecjalnie to widzę.

To dlatego, że patrzył na niewłaściwe rzeczy: na ogień, na przeszłość.

– Jesteśmy ludźmi czynu. Wyznaczamy sobie cele i podążamy za nimi. Podziwiałam to w tobie i przedtem, szkoła wieczorowa, i to, jak ciężko pracowałeś.

– Nigdy nie mówiłaś mi, że chciałaś mieć warsztat stolarski.

– Tego jeszcze wtedy nie wiedziałam. Wiedziałam tylko, że są pewne rzeczy, które chciałam osiągnąć.

– Na przykład?

– Miałam swoje miejsce należąc do rodziny Courville. To pociągało za sobą pewną odpowiedzialność. Ale ja także chciałam czegoś dokonać. Problem polegał na tym, jak zrobić to nie odwracając się jednocześnie od rodziny, od tego, kim byłam.

– Ja też się w to wplątałem. Na rodzinnych przyjęciach ludzie mówią mi, że stałem się zbyt ważny, żeby zadawać się dłużej z Crane'ami. Gruba ryba.

– To tylko takie przekomarzenie się.

– Owszem, ale tak czy siak ma swoją wymowę.

– Ty nie odwróciłbyś się od ludzi, którym zależy na tobie. Znam cię. – Palcami łagodnie masowała tył jego szyi, paznokcie delikatnie drapały skórę.

Wzdrygnął się, chciał kiwnąć głową, skoncentrować się na rozmowie. Ujął w dłonie jej rękę. Jej paznokcie były idealne, lekko zaokrąglone, wypieszczone, błyszczące. Skóra bez najdrobniejszej skazy ocierała się o jego szorstkie, w wielu miejscach popękane ręce. Niezależnie od tego, jak wysoko się wspiął, wciąż jeszcze nie potrafił oprzeć się pokusie wzięcia w dłonie młotka na placu budowy.

– A więc oboje jesteśmy lojalni wobec naszych rodzin, wobec naszych korzeni.

– Właśnie o tym myślałam mówiąc, że mamy wiele wspólnego.

Wręcz przeciwnie – Ray uważał, że to jeszcze bardziej potęguje dzielące ich różnice.

– Czy to dlatego wyszłaś za męża, Marcel? Czy rodzina naciskała na ciebie?

Marcel oparła brodę na jego ramieniu z leciutkim westchnieniem, mając nadzieję, że już tylko to stało między nimi. Gdyby tylko mogła to rozproszyć.

– Żadnych nacisków, oni nie byli tacy. To ja chciałam zrobić im przyjemność sądząc, że sama też tego chcę. To była część mojego życiowego planu.

Ostatni raz Ray słyszał ten zwrot dziesięć lat temu. On także miał swój życiowy plan: poprosił ją, żeby stała się jego częścią. Oboje byli dziećmi mającymi niezwykle marzenia. Ona była jego marzeniem, które stało się rzeczywistością. Może nadeszła już pora, żeby się ocknął.

Ogień” w kominku strzelał i syczał.

– Wmówiłam w siebie, że kochałam Brada. – Zaśmiała się miękko. – Zabrało mi to wiele czasu, zanim zorientowałam się, że potrzebuję ciągłego wyzwania. Inaczej gram zbyt asekurancko. Właśnie tak zrobiłam, zanim nie zjawiliś się ty.

Zwrócił się do niej profilem.

– A więc jestem dla ciebie wyzwaniem, tak?

Był, dla każdej cząsteczki Marcel, począwszy od jej wyobrażenia o samej sobie, do reakcji, które wyzwał z każdego centymetra jej ciała.

– Sprawiasz, że czuję, że bezpieczniej byłoby nie czuć wcale. Wstrząsasz mną od samych podstaw.

Zdyszany oddech tuż przy uchu wydobył z jego twarzy uśmiech. Ale namiętne słowa przypawiły go o ból.

– Sprawiasz, że tracę nad sobą kontrolę. Księżniczka lodowa roztapia się przy tobie zupełnie i nie mów mi, że nie zauważyłeś tego. – Przesunęła ręką po jego bicepsach, ściskając je i podziwiając.

Żar przenikał go na wskroś. Kobieta była doskonale świadoma tego, co robi. Bez wysiłku, ze znanstwem, energią i taktem podbijała jego serce. Usiadła wygodniej, opierając brodę na rękę, a łokieć na sofie. Wyglądała jak milion dolarów. Każdy mężczyzna pragnąłby jej. Dlaczego on miałby być wyjątkowy?

– Czy to wszystko sumuje się, Marcel? Czy jestem dostatecznie wyzywający? Bogaty? Wystarczająco dobry w łóżku?

Nawet gdyby uderzył ją w twarz, nie wyglądałaby na tak zszokowaną. Chciał cofnąć swoje słowa, ale było już za późno.

Odsunęła się na tyle daleko, by móc założyć ręce nie ocierając się przy tym o ramię Raya.

– Znów pozwalasz, by przeszłość brała górę nad wszystkim.

– Muszę, ona wciąż tu jest. Pieniądze, to jedyna rzecz, która nas odmieniła.

Nie. Chciała na niego krzyczeć, wrzeszczeć.

Było to znakiem, że panowała nad swoimi emocjami, inaczej urządziłaby tutaj potworną scenę. Bardzo dobrze, jeśli raz jeszcze miała położyć na szali swoje uczucia, zrobi to. Mogła to zrobić. Tyle się już nauczyła tym razem.

Jedyna różnica polegała na tym, że teraz stawka była większa, cenniejsza, a przegrana byłaby o wiele dotkliwsza.

– Jestem bardzo dumna z tego, co zrobiłeś. Przeszedłeś daleką drogę.

– A jakie ma to znaczenie dla nas? Gdzie jesteśmy my w tym wszystkim?

Razem, szepnęło jej serce.

– Widzę nas – zaczęła powoli – mieszkających w Derby. Przeniesiesz tutaj zarząd Korporacji Crane'a. Ja będę prowadziła swoją firmę.

– Wstąpimy do klubu ziemian. Przynajmniej ja będę musiał...

– Już do niego należysz...

– ... do dwóch innych, tak. Teraz wstąpię do klubu w Derby.

– Możemy mieszkać w mojej części posiadłości. – Zauważyła, że zacisnął mocniej szczęki i pięści. Znaki, sygnały. Dlaczego nie potrafili powiedzieć sobie tego, co czuli? A może nie można było wyrazić tego słowami?

– Moglibyśmy wybudować coś własnego, jeśli to by ci bardziej odpowiadało.

– Posiadłość Courville'ów to twój dom.

– Już raz chciałam go sprzedać.

– Marcel.

– Dobrze, chciałabym tam zostać, jeśli bym mogła. Kocham to miejsce. – Ale ciebie kocham bardziej, te słowa uwięzły jej w gardle. Musiała znaleźć coś, co byłoby im wspólne. – Czy lubisz dzieci?

– Tak.

– Ja też. Na mnie kończy się linia Courville'ów. W twojej rodzinie też nie ma zbyt wielu kuzynów, którzy będą kontynuować ród. – Zaśmiała się, mając nadzieję, że jej zawtóruje.

Zaśmiał się krótkim, gorzkim śmiechem.

– Przynajmniej pod tym względem jestem bogaty.

– Twoim bogactwem jest wiele rzeczy – zamruczała.

– Tak, teraz.

– Zawsze tak było.

Nie odpowiedział. Bicie serca rozsadzało jej czaszkę.

– Zostawiłem cię wtedy. Nie boisz się, że zrobię to jeszcze raz?

– To była częściowo moja wina.

– Powiedziałaś mi, że bym poszedł i poszedłem.

– Zraniłam bardzo siebie samą w ten sposób, zastanawiając się, jak mogłeś kochać i po prostu odejść.

– Zastanawiałem się, jaki mężczyzna mógłby odejść bez walki. Zdaje się, że ja byłem takim mężczyzną.

– Ray, powiedz mi, co jest nie tak.

– Może wciąż jestem takim samym mężczyzną, jak wtedy. Niezdolnym dorównać własnym marzeniom, niezależnie od tego, jak bardzo się staram.

– To nieprawda.

Jego spojrzenie było jak dotyk obejmujący jej włosy, policzek, usta. Pożegnanie.

– Mieliliśmy przynajmniej tyle.

Marcel zapragnęła zachłysnąć się powietrzem, uciekać, walczyć. Mówił o tym tak zupełnie na zimno, z każdą chwilą wycofując się coraz dalej, wymykając się jej, niezależnie od tego, jak bardzo się starała.

– Co mam robić, żeby cię przekonać? Rzucić przedmiotami? Załamać się? – Wiedziała, że jej głos wznosił się coraz wyżej, ale musiała go w jakiś sposób dosięgnąć. – Nie byłeś nieodpowiedni dla mnie. Ja po prostu bałam się tego, co czułam w twojej obecności. Byłam przy tobie zupełnie inna, nie taka, jak tego oczekiwano. Tak bardzo cię kochałam.

Usłyszał załamanie się jej głosu, dojrzał lśniąca łzy.

– To moja wina, nie potrafię przekonywać. Ani wtedy, ani teraz. Byłaś piękna, bogata, z klasą. Kogo chciałem oszukać?

– Nie mów mi, że czujesz się niepewnie z tym wszystkim, co masz.

– Nie możesz wiedzieć, co znaczy niepewność – odpowiedział miękko, wstając z sofy.

Niepewność? Czuła ją za każdym razem, gdy nie wiedziała, co myśli, za każdym razem, gdy odwracał się do niej plecami. Wpatrywał się w płomienie.

– Może każdy człowiek ma jakąś słabość, coś, czego nie jest pewien. W moim przypadku

jesteś nią ty. – Odkasznął chrapliwie, oczy zwięzły mu się. – Pieniądze, kontakty miały to wszystko zmienić.

Mężczyzna, którym był kiedyś, miał za mało siły, aby o nią walczyć, ściągnąć z piedestału, na który sam ją wznosił.

Mężczyzna, którym był teraz, za bardzo zdawał sobie sprawę z kosztów.

Przeżył całe życie pragnąc tego, czego nie mógł dostać. Dlaczego teraz ryzykować, a może i stracić? Pytał sam siebie, czy nie lepiej byłoby po prostu odejść teraz od stołu.

– Ray, proszę, porozmawiaj ze mną.

– Co to może zmienić? – Skrzywił się. Wiedział, że ją rani, ale bolałoby ją o wiele mocniej, gdyby pozwolił ciągnąć się tej historii dłużej. Lepiej było skończyć teraz i żyć z nogami na ziemi, a nie w chmurach.

– Czy zmieniliby coś jeszcze jeden milion? Dwa? Powiedz mi, ile by to było, zanim znalazłbym się tam, na górze, razem z tobą?

– Nie! – Zasłoniła uszy rękami. Ściągając je natychmiast w dół, skrzyżowała ręce na piersi. Musiała wziąć się w garść albo będzie za chwilę łkać tutaj u jego stóp.

– Tak strasznie się mylisz. Moglibyśmy nie mieć tej samej przeszłości, pochodzenia, ale łączą nas nasze pragnienia, nasze osobowości.

– Miłość. – To miękkie słowo z jego ust uderzyło ją jak pięść. Pozbierała się najlepiej, jak tylko mogła, czując, że odłamują się od niej kawałki i rozsypują po całym pokoju. Dużymi krokami zmierzała do krawędzi dywanika, czując, że z każdą chwilą przepaść między nimi zwiększa się coraz bardziej, że może nie uda się już jej przeskoczyć, przekrzyczeć dzielącego ich milczenia.

Ray wciąż wpatrywał się w ogień, wmawiając w siebie, że nic jej nie będzie. Marcel umiała radzić sobie z takimi rzeczami. Wypowiedzieć to, znaczyłoby wziąć ją, kochać, podążyć za nią do sypialni, gdzie już bezładnie wrzucała swoje rzeczy do walizki. Zatrzymać ją teraz – znaczyłoby chwycić tę odrobinę, którą mieli, na tak długo, jak tylko mógł, nie patrząc już więcej na dzielące ich różnice.

Każda inna kobieta mogłaby kochać go dla jego pieniędzy. Niektóre robiły tak. Ale nie Marcel. Chciał, aby kochała go za to, kim był, a nie za to, co zrobił. Nie chciał ryzykować w żaden inny sposób. Jedyne, o co chodziło teraz, to była duma, i wiedział o tym.

Księżyc był jasny, powietrze wilgotne i ciepłe. Warstwa mgły unosiła się ponad lodem i drzewami. Marcel bała się, ale nie ciemności. Bała się drżenia w swoim głosie.

– Ray?

Wyszedł za nią przed chatę. Przez chwilę miała nadzieję, że wyjmie z jej ręki walizkę. Pozwolił, aby wrzuciła ją sama na tylne siedzenie.

– Co mogę zrobić? Powiedz, co mam mówić, a powiem to. – Marcel czuła niemal fizyczny ból. – Co mam zmienić?

– Ani jednego szczegółu. – Dotknął jej włosów prawie wbrew swej woli. Jakby raz dotknąwszy nie był już w stanie cofnąć ręki. Udało mu się to z trudem.

– Wydaje mi się, że popełniliśmy błąd, próbując jeszcze raz. Wiatr szeptał wokół nich, przesywający, tęskny dźwięk nie wypowiedzianych słów. Marcel zajrzała Rayowi w oczy,

bojąc się, że dostrzeża tylko jej idealne zewnątrz – blond włosy, niebieskie oczy, nierzeczywiste, nieczułe.

– Gdybym krzyczała? Kłóciła się? Błagała? – Ostatnie słowo było tylko strzępem dźwięku, trzaskiem łamanej gałązki.

– Nie rób tego. Myśl raczej, że to moja wina. Znienawidź mnie, jeśli musisz. – Aż za dobrze znał uczucia targające człowiekiem wówczas, gdy kończyła się miłość. Cokolwiek spotkało cię tej nocy, będzie jeszcze wiele innych. – Odwrócił się w stronę ganku.

– Zaczekaj. – Nie mogła unieść ręki, by go zatrzymać, za bardzo by drżała. Patrzyła na niego tak długo, jak tylko śmiała. Tak długo będzie żyć wspomnieniami, jakie znaczenie miało kilka więcej?

Obrzucił ją pustym spojrzeniem, które poczuła aż w głębi swej duszy.

Dlaczego? Dlaczego była na tyle głupia, żeby zakochać się w mężczyźnie, którego nie mogła mieć? W mężczyźnie, który żądał wszystkiego, ale brakowało mu zaufania, by to odwzajemnić?

Zamknęła oczy, by uciszyć ból, i uczyniła chwiejny krok w kierunku samochodu.

– Jak mam wrócić?

– Weź” mercedesa – powiedział.

Słyszał miękki trzask sosnowych igieł, gdy szedł w jej stronę. Ledwo rozróżniała w mroku kształt jego ręki, błysk kluczyka. A więc to było to.

– Jak ty... ?

– Tata mnie podrzuci. Zostaw go po prostu przed warsztatem. Wpadnę po niego.

Będzie musiał wstąpić. Zobaczy go jeszcze raz. Nitka, iskierka nadziei. Pomyśleć, że to ona chwytiała się takich słomek. Było to równie fatalne, jak umyślne zostawienie czegoś u niego, żeby później po to wrócić. Na przykład zostawienie serca. Wsłuchiwał się w milknący w oddali warkot silnika.

I tak musiałyby się to skończyć, wcześniej czy później. Powinien być dumny z siebie, że rozegrał to w ten sposób, stając z rzeczywistością twarzą w twarz. Więc dlaczego się teraz obwiniał? Każde słowo, które wypowiedział, było prawdziwe. Przeszłości nie można już było naprawić. Wrócić i sprawić, żeby patrzyła na to, kim był, oddzielając to, co zrobił. Co za ironia, bo zrobił to wszystko dla niej, po to, by móc pewnego dnia powrócić i ją odzyskać. Ale jego duma nie pozwoliłaby mu jej zatrzymać.

– Idiota! – Seria ostrych przekleństw odbiła się echem w ciemności. Jego zęby zgrzytały, wydając taki dźwięk, jak sprzęgło oddalającego się mercedesa. Nie spytał nawet, czy potrafiła dojechać do głównej drogi. Wiele dróg było zagrodzonych zwalonymi kłódami. Mogła złapać gumę. Kiedy ostatni raz sprawdzał opony? Co z niedźwiedziami? Kiedy budziły się z zimowego snu?

Może i śmiałby się ze swojej wybujałej wyobraźni, gdyby nie przetrząsał już nerwowo kieszeni kurtki ojca szukając kluczyków drugiego samochodu.

– Synu?

Ojciec spuścił ze strychu drabinkę.

– Jadę do miasta – uciął krótko Ray.

- o tej godzinie nie ma miasta. Zwijają na noc chodniki.
- Miałem na myśli Derby. Ojciec zatrzymał się w połowie drabiny. Kiedy znalazł się ta dole, szybki rzut oka na sypialne powiedział mu, że Marcel wyjechała.
- Kłótnia kochanków?
- Rozkosz głupców. Ze mną w roli głównej.
- Wybierasz się na przejażdżkę?
- Jeśli nie masz nic przeciwko temu.
- Zostaw mi tylko trochę jedzenia na przeżycie. Zawsze nogę jeszcze zrobić dziurę w lodzie i łowić ryby.
- Nie zostawię cię tutaj. Zadzwońię do dzieci Teda. Zresztą mogą jeszcze sami przyjechać, prawda? Jeśli będę musiał, przyjadę sam. Nie powinienem był pozwolić jej odjeżdżać samej.

Nagle odgłos silnika słycać było jakby bliżej.

Serce w nim zamarło. Wracala.

Zalew wyobraźni przepelnił go nadzieją. Zarzuci mu ręce na ramiona, może wybuchnie płaczem. Nawet jeśli tego nie zrobi, przeprosi ją. Nie miał racji. Nie zasługiwał na nią, to było pewne, ale ją kochał. Jeśli zechce go z powrotem, wynagrodzi jej to. Żałował tylko, że sprawił im obojgu takie piekło po to, żeby dojrzeć tę drugą stronę dumy.

Światła przecięły drzewa, zbliżając się szybko. Ray biegł już na koniec podjazdu zdecydowany, by jej to wszystko wynagrodzić.

Samochód zatrzymał się z piskiem opon, dosłownie parę centymetrów od niego.

– Czego stoisz pośrodku podjazdu! – krzyknął Johnny, jeden z chłopców wuja Teda. Inni już wysypywali się ze środka.

– Cześć, Ray! Jak ci idzie?

– Ray! Nie wiedzieliśmy, że będziesz tutaj.

– Merilee nigdy by mi nie wybaczyła, gdybym zarysował sobie lakier przejeżdżając cię. Z powodu lakieru, oczywiście.

Ray uściśnął go. Mikę i Ed wzięli się za rozpakowywanie śpiworów.

– Pewnie zająłeś już łóżko dla siebie. Gdzie jest wuj Bill?

– W środku. – To było jedyne słowo, które usłyszeli od Raya, tak cierpkie, jak jego nastrój. Skądeś dochodził pisk zamykanych i otwieranych drzwi.

– Cześć, wuju Billu.

– Cześć, chłopcy.

– Z kim to nie zderzyliśmy się niemal w dole szosy? Ray poczuł ucisk w dołku.

– Zderzyliście się?

– Przez chwilę myśleliśmy, że to ty. Jakiś facet jadący w drugą stronę mercedesem.

– W dół naszej drogi.

– Musiał się zgubić.

– Pewnie pijany. W każdym razie nie znał drogi.

– Jechał nierówno? – spytał Ray. Mogła płakać. Przepelniła go kolejna fala wyrzutów sumienia. Nie powinien był pozwolić jej jechać samej.

– Czemu ktoś miałby jeszcze błąkać się tutaj o tej porze? Chyba, że w poszukiwaniu knajpy drwali.

Ray zaklął głośno, zatraskując za sobą drzwi wejściowe. Niech to diabli, nie dojedzie do Derby przed czwartą nad ranem. Jeśli w ogóle dojedzie.

Czy miała ze sobą kartę kredytową? Czy zatrzyma się gdzieś na noc? Czy w ogóle była w stanie patrzeć jasno? On z pewnością nie mógłby.

Kiedy znów wyszedł na zewnątrz, ojciec i chłopcy rozmawiali po cichu przy wozie Jake'a.

– Hej, Ray.

– Jedziesz za nią?

Ray przystanął na chwilę i spojrzał na ojca.

– Tak.

– Szczęśliwych łowów.

Stara czterokołowa ciężarówka ojca podskakiwała na korzeniach jadąc wśród drzew. Był wobec niej niemal równie bezlitosny, jak wobec siebie.

– Silny człowiek. Jedzie, by ją odzyskać. Przedrzeć się przez jej obronę. Nigdy nie zauważyłem, że ty też miałeś swoje obwarowania. – I potknął się o nie, jak niemowlę uczące się chodzić.

– Nie zasługujesz na nią. Nigdy na nią nie zasługiwałeś.

Ale to i tak nie mogło go powstrzymać. Ostatnim razem może tak. Tym razem prawie też. Ale nigdy więcej.

Jeśli chciał, aby go kochała, pieniądze i wszystko inne było częścią tego. To wiele wyjaśniało, rozmyślał, wyjeżdżając już na autostradę i kierując się na południe. Przez dziesięć lat walczył, drapał pazurami wygrzebując się z dołka, dążąc do światła, by w końcu dotrzeć do Marcel. Nie miał zamiaru wpaść do dołka z powrotem.

Lało. Skulony na poboczu drogi 1-75 zmieniał koło. Lewarek wysliznął mu się z ręki. Otarł palce o zardzewiałą felgę. Lepiej, że przytrafiło się to jemu, a nie jej.

Nie miało znaczenia, że była właśnie druga w nocy i nie widział żadnych kierowców w pobliżu. Poradzi sobie. Zaburczało mu w brzuchu. Czuł to przez cały dzień, ale teraz był to piekący ból. W pewnym sensie przypominało mu to pierwsze dni Korporacji Crane'a, kiedy nie miał innego wyboru. Wiedział, że musi dopiąć swego.

Marcel nie spotka się z nim. W zakładzie Sandy odbierała wszelkie wiadomości. Ray zastanawiał się, czy w ogóle dochodziły do Marcel. Można by wymyślić jakąś wyjątkowo kłopotliwą sprawę, ale Ray nie chciał już żyć złudzeniami. Musiał wziąć pod uwagę i taką możliwość, że Marcel tylko przebiegła niewidzącymi oczami po wszelkich notatkach o telefonach mnąc je niedbale w swoich starannie wypielęgowanych palcach.

Nieważne. Kochała go. Miał zamiar przypomnieć jej o tym, gdy zdoła już pocałunkami usunąć wyraz zranienia z jej twarzy i ból z jej oczu.

Mercedes był zaparkowany obok starej wozowni. Pozwolił mu tam zostać. To było częścią planu.

Przed końcem tygodnia jedyni dwaj taksówkarze w mieście znali już, doskonale Raya. Przed upływem drugiego wiedzieli już dokąd jechać, zanim jeszcze podał im adres. Zwiedził wszystkie nowe rejony miasta, poznał każdą ślepą uliczkę, przemierzył wszystkie gęsto zabudowane wiktoriańskimi domami ulice. Powiedział, że szuka domu, ale ciężko mu było wytłumaczyć pośrednikowi, że musi to być dom idealny. Miejsce, gdzie mógłby zabrać Marcel, uklęknąć i przekonać ją, że chce założyć z nią rodzinę, niezależnie od tego, czy składać się ona będzie tylko z nich dwojga, czy jeszcze z dziesięciorga dzieci. Nie znalazł jeszcze takiego miejsca, ale wiedział, że mu się to uda. Musiało.

Kierowcy wiedzieli jeszcze, że każda podróż musiała zakończyć się pętlą wokół domu Courville'ów.

– Czy nie mogły pan skrócić za tym małym sklepikiem?

– Czy nie robię tak zawsze? – mruknął po przyjacielsku kierowca. – Sprzedają tam segmenty domu Courville'ów. Nie wiem, czy tego właśnie pan szuka.

Ray szukał jakiegoś śladu, że była tam Marcel. Słowa taksówkarza zadzwoniły z tyłu jak terkot silnika. Usłyszał od pośredników nieruchomościami tyle różnych porad, że starczyłoby ich na całe życie. Nie usłyszał ani jednego słowa od Marcel.

Zjechali ze szczytu wzgórza. Był ciepły, słoneczny, kwietniowy dzień. Na szeroko otwartych drzwiach napisane było: „Otwarte”. Pochylił się na siedzeniu, mając nadzieję, że uda mu się ją zobaczyć. Kobieta w jabłkowo-zielonym fartuchu przeszła przed warsztatem właśnie wtedy, gdy przejeżdżali obok. Ray wrócił na swoje miejsce.

– To chyba nie jest pański mercedes? Słyszałem, jak mówił pan, że ma pan brązowy wóz.
– Kierowca obejrzał go sobie w lusterku dokładnie. Ray widział, jak dodaje w myśli uszyty na zamówienie garnitur, skórzaną aktówkę, zegarek.

Dorównywały brązowemu mercedesowi. – Tak, jest mój.

– Ktoś go ukradł?

– Oddałem go.

Oczy taksówkarza rozszerzyło zdumienie.

Ray wzdrygnął się słysząc swoje własne słowa. Jakiego napiwku można spodziewać się po facecie, który oddaje mercedesa?

Pamiętając o tym, kierowca bardziej niż chętnie spełniał wszystkie jego polecenia.

– Chce pan jeszcze raz objechać wzgórze dookoła? Ray westchnął głęboko i opadł na oparcie siedzenia.

– Nie, dziękuję. – A jednak, gdy zjeżdżali już ze wzgórza, oglądał się do tyłu nie przestając przeklinać samego siebie. Zachowywał się jak chory z miłości szesnastolatek.

Następnym razem będzie na pewno spacerował pod oknem jej sypialni, licząc, że uda mu się ją dojrzeć. Miał wrażenie, że zrobił całe koło, by znaleźć się dokładnie w tym miejscu, z którego wyszedł. O nie, nie chciał raz jeszcze przebywać tej samej drogi.

– Otwarty dom – odezwał się kierowca. – Hmm?

– Niezupełnie w stylu wyższych sfer zarządzających, jak te, które pan ogląda, ale świetnie usytuowany.

Lokalizacja, właśnie to się liczy przy nieruchomościach.

– Tak słyszałem.

– Te należą do najbardziej szykownych w mieście.

– Rzeczywiście, racja. Stój!

– Co? Tutaj? – Nacisnął hamulec.

Ray nagle zobaczył – to znak, odpowiedź. Mógł wyrwać się teraz z błędnego koła.

– Wsiądę tutaj.

– Z powrotem do miasta jest kilka mil, kolego.

– Tam na wzgórzu sprzedają segmenty.

– Właśnie o tym mówiłem przez cały czas.

– Po prostu mnie tu zostaw. – Wyspernął dwudziestkę z portfela, ucinając w ten sposób całą dyskusję.

Marcel pochłonęła kolejną filiżankę marokańskiej kawy, życząc sobie w duchu, żeby jej nerwy stały się równie nieczułe, jak kubki smakowe. Obok przejechał samochód. Serce zabiło jej żywiej. To tylko taksówka.

Sandy odwiesiła słuchawkę.

– Kwietniowe deszcze sprowadzają do domów remonty, daję słowo. W związku z tymi targami budowlańców mamy już zamówienia co najmniej na miesiąc.

Marcel spróbowała przełknąć kulę, która uwięzła jej w gardle. Zdecydowała się nie brać udziału w większej części weekendowego pokazu. Co by się stało, gdyby przyszedł tam Ray? Miała nadzieję, że przyjdzie, i modliła się, żeby go tam nie zastać. Wystarczył jednak jeden rzut oka na makietę pasażu handlowego, żeby zdecydowała się nie opuszczać warsztatu przez resztę dnia.

– Zostanę tu na straży, w razie gdyby ktoś dzwonił – powiedziała. Co za tchórzostwo.

Przez dwa tygodnie nie odebrała żadnego telefonu bojąc się, że może on być od Raya.

– Ziemia do Marcel – głos Sandy obudził ją z zamyślenia.

– Przepraszam. – Z trudem oderwała uwagę od drogi, by znowu zająć się biurem. Taksówka jechała już drogą wjazdową do posiadłości. Widocznie ktoś przyjezdny pragnie obejrzeć segmenty, pomyślała. Tak szybko je rozchwytywali.

– Ziemia do Maaarcel.

– Przepraszam, znowu zrobiłam to samo? Wspólniczka zawtórowała jej śmiechem.

– Lepiej.

– Lepiej niż co? – spytała Marcel zdziwiona.

– Przynajmniej pamiętałaś, jak naśladować ludzki śmiech. Jeszcze w zeszłym tygodniu zupełnie ci to nie wychodziło.

Marcel skrzywiła się i wróciła do rachunków na minikomputerze. Jej możliwość koncentracji była żałosna. Według Sandy cera Marcel była równie fatalna, jak jej poziom sił witalnych, bezsenność i matowość włosów. Potrzebowała wakacji, masażu. Potrzebowała mężczyzny, ale tylko jeden przychodził jej na myśl.

Zamknęła oczy przeszyta nagłym bólem, który nie mijał, mimo że po prostu musiał. Nie miała zamiaru spędzić reszty swoich dni cierpiąc w ten sposób. Była człowiekiem czynu. Wyznaczała sobie cele. A jednak wszystkie jej ostatnie postanowienia zdawały się rozpląwać w powietrzu, zanim nawet zdążyła je zaplanować.

Tak jak wiadomości telefoniczne. Zostawił swoje imię, numer i to wszystko. Czy powinna zadzwonić? Śmieszne byłoby prosić o to Sandy albo użyć sekretarki automatycznej. Przychodziła wcześniej każdego ranka, aby nacisnąć guzik z nadzieją, że usłyszy jego głos, wiedząc, że jej na pewno by się załamał, gdyby musiała z nim rozmawiać. O, Marcella Courville jest tchórzem.

Czego chciał? Przeprzić? Naiwna. Pewno chciał z powrotem swojego mercedesa. Jakaś część w niej pragnęła, aby poprosił tylko o to. Gdyby okazał się zupełnym szczeniakiem, mogłaby dać upust swojej złości. Mogłaby poprosić ludzi.

którzy wykańczali parking przed domem, żeby napełnili ten ‘ samochód cementem po sam dach. Mogłaby podjechać nim później pod drzwi Raya i zostawić tam wóz, aby stwardniał razem z jej sercem.

Komputer przypomniał o sobie natarczywym brzęczeniem. Na jakieś piętnaście sekund Marcel poświęciła mu swoją uwagę. Ta starannie wypracowana fasada, którą zawsze prezentowała światu, nie wróciła na swoje miejsce tak szybko, jak Marcel tego pragnęła. Były w niej wyrwy, brakowało pewnych fragmentów. Sandy potrafiła dojrzeć przez nią prawdziwą Marcel. Komu jeszcze się to udawało? W ostatni weekend była u pani Hardings, by przedstawić pewne rachunki. Starsza pani zatrzymała ją u siebie, poczęstowała herbatą i, tak czy inaczej, starała się podnieść Marcel na duchu. Kim ona była, inwalidką? Czy każdy już wiedział, że się rozsypywała?

Komputer znowu zabrzączał.

– Do diabła!

– Co za język – zaśmiała się Sandy.

Jakiś samochód wjeżdżał na wzgórze. Marcel skoncentrowała się patrząc na ekran przed sobą, aż zielone litery zupełnie wryły się w jej pamięć. Samochód zwolnił, a potem jechał dalej, skręcając na drogę prowadzącą do domu Courville'ów.

Ramiona opadły jej w poczuciu bezsilności.

Miała pracę, zobowiązania. Czy nie dla nich właśnie żyła? Żeby umieć bez wysiłku zajmować się tysiącem spraw naraz. Wyniosła. Zawsze opanowana. Do licha, mniej kosztowało ją wyplątanie się z małżeństwa niż ta historia. Ale nigdy nie tęskniła za Bradem, nigdy tak bardzo.

Wszystko to była wina Raya. Wydobył z niej coś, co nigdy nie udało się nikomu innemu. Stracić go, oznaczało utracić tę kobietę, która rozkwitała w jego obecności.

Akceptował w niej wszystko, nawet to, czego ona sama u siebie nie akceptowała. Co za ironia. Tyle walki kosztowało ją zaakceptowanie tej emocjonalnej, irracjonalnej części siebie, a jednak to on był tym, który nie mógł zaakceptować siebie!

Marcel rozejrzała się po warsztacie, jakby teraz zobaczyła go pierwszy raz.

– To ma swoje dwie strony, wiesz.

– Okay – powiedziała Sandy odgarniając z czoła kosmyk włosów. – Na jakiej planecie znajdujemy się w tej chwili?

– Ten mężczyzna doprowadza mnie do wściekłości!

– Dobrze. Chcę usłyszeć, jak jeszcze trochę przeklinasz.

– Nigdy nie okazałam nikomu moich uczuć tak jak jemu. – Więc?

– To nie ja jestem tutaj problemem, ale on.

– Lojalny przyjaciel zawsze ci przytaknie w tym momencie.

– Mówię poważnie. To on boi się skorzystać ze swojej szansy, boi się ryzyka. Po tylu staraniach, aby zmusić mnie do okazania uczuć, otwarcia się, wycofał się do swojej skorupy jak...

– Ślimak.

– Dziękuję. I nie sądzę, żeby to było uczciwe. Sandy przysunęła taboret bliżej komputera Marcel.

– Chcesz o tym pogadać? Marcel wyprostowała się trochę.

– Umknął, aby teraz w samotności lizać swoje rany. Myśli, że nie jest wystarczająco dobry. Ha! Dopóki jeszcze mu na tym zależy, mogę go odzyskać.

– Zależy mu, inaczej upomniałby się o mercedesa. Chyba, że ma zapasowego. Zapomnij, że wspominałam o tym.

– Mam taki zamiar. On nie jest jedynym człowiekiem, czującym się niepewnie na świecie ani jedynym zdecydowanym.

Marcel skinieniem głowy przypieczętowała te słowa. Ale pewność siebie szybko ją opuściła rozpraszając się po pokoju jak zmrok.

– A więc co teraz? – spytała Sandy.

Marcel zmrużyła oczy, postukując ołówkiem w dolną wargę.

– Zadzwoń do firmy Joslyn. Chcę, żeby zainstalowali alarm w tym samochodzie.

– Żebyś go mogła złapać, gdyby przypadkiem zakradł się po samochód w środku nocy!

Znakomicie!

– Ależ skąd, Alexandro! – Marcel roześmiała się serdecznie. – Po prostu jest to cenne auto i nie chcę być za nie odpowiedzialna. Muszę spokojnie prowadzić interesy.

Prychając pod nosem, Sandy rzuciła książką telefoniczną na stół.

– To pułapka na człowieka i życzę ci miłego polowania.

– Chciałbym dostać tę część domu.

– Obawiam się, że już ją ktoś kupił.

– A ile kosztowałoby odkupienie jej?

Między Rayem i pośrednikiem nieruchomości zawiązała się nic porozumienia.

– Jeszcze jedna część jest wolna.

– No właśnie – zawtórował mu Ray. – Proszę ją sprzedać temu, kto chciał tę część.

Pośrednik był drobnym mężczyzną, miał na sobie elegancki garnitur o europejskim kroju. Kiedy coś podrażniło jego uwagę, unosił lekko wąsiki jak mysz wyczuwająca zapach sera. Ray zdusił uśmiech przyglądając się dostojnym schodom i oparł się chęci poluzowania krawata. Teraz on był smakowitym kąskiem sera.

Znajdowali się teraz obok części Marcel, tam gdzie kiedyś był główny hol. Była to teraz najbardziej imponująca część domostwa Courville'ów, czego nie omieszkał podkreślić pośrednik.

– Niemniej z dwiema sypialniami, czterema łazienkami i niewielką salą balową na drugim piętrze może się ta część wydawać trochę zbyt duża jak dla jednej osoby.

– Ale jest tu dużo przestrzeni dla powiększającej się rodziny – odpowiedział Ray.

W oczach pośrednika nieruchomości zapłonęły iskierki.

– Czy pańska żona zjawi się później? Byłbym szczęśliwy mogąc jej pokazać także pozostałą część. Kto wie, może będzie wolna...

– Nie mam żony, ale pragnę kupić tę część.

– Ale wspomniał pan o rodzinie...

– To też pragnę mieć w przyszłości. – Ray wstąpił na schody. Nawet sam MacArthur nie mógłby spacerować po zdobytym brzegu z większą determinacją. – Sala balowa, hm?

Podbijał Marcel Courville'a, nie Filipiny, chociaż nie potrafiłby powiedzieć, co było trudniejsze. Odzyska ją dzięki delikatności i żelaznemu naciskowi. Nie wiedział, ile szans jest danych człowiekowi w życiu, ale był zdecydowany nie zmarnować swojej. Miał jej miłość i potrzebował jeszcze jej przebaczenia.

Nauczył się tej prostej, bolesnej lekcji: kobieta była ważniejsza niż jego duma. Bez niej wszystko, co osiągnął, nie miało żadnego znaczenia. Czy istniał lepszy sposób na okazanie, że pokonał swoje poczucie niepewności, niż przeprowadzenie się do domu Courville'ów? Długo trwała wspinaczka na szczyt tego wzgórza, ale był zdecydowany pozostać tutaj, nawet gdyby miały dzielić ich ściany.

– Ściany mogą być zburzone – mruknął głośno.

– Jakikolwiek zmiany wystroju wnętrza zależałyby od pana, oczywiście. – Pośrednik czekał przy drzwiach, bez wątpienia wnioskując z władczego sposobu, jakim Ray ogarniał wysoki pokój, że klient znalazł to, czego szukał.

Ray ogarnął spojrzeniem salę, jego sylwetka odbijała się w lustrach.

„Będziemy tutaj tańczyć. Tylko nas dwoje. Ustawię gdzieś odtwarzacz kompaktowy, ukryte głośniki. I jeszcze róża w chińskiej wazie. Potem ją zaproszę. „

Co zrobi, kiedy odkryje, kto jest jej nowym sąsiadem?

Rzuci w niego wazą. Do licha, mogłaby nawet chcieć eksmitować go z domu. Ray uśmiechnął się. Siłowanie się z rozłoszczoną Marcel nie wydawało się takie złe. Cokolwiek będzie lepsze niż milczenie. Przerwą je, gdy jego plany się powiodą.

– Jeśli zapłacę gotówką, jak prędko możemy dokonać transakcji? – Pieniądze. Tak ciężko pracował, aby je zdobyć. Najwyższy już czas, by zrobił z nich właściwy użytek.

– Za tę część? – Pośrednik rozluźnił krawat dokonując w myśli jakichś szybkich obliczeń.

– Zburzę tę ścianę. Tutaj będą drzwi.

– Hm, to jest ściana łącząca, za nią mieszka inny właściciel.

– Nie będzie jej to przeszkadzało.

Wąsiki pośrednika drgnęły. Jasne było, że miał jakieś obiekcje, ale nie na tyle duże, by przeszkodziły w ubiciu dobrego interesu.

– Może uzgodni to pan już po całej transakcji.

– Chciałbym przedstawić swoją ofertę.

– Byłbym szczęśliwy, mogąc ją przedłożyć właścicielce.

Nieoczekiwana przeszkoda w jego planach. Marcel zobaczy jego imię na każdej pisemnej ofercie. Będzie wiedziała. Szybko zmienił strategię.

– Pragnąłbym znać jej odpowiedź tak szybko, jak tylko jest to możliwe.

– Mogłoby nam się udać uzyskać jej odpowiedź w ciągu dwudziestu czterech godzin.

– Ona pracuje tutaj, w warsztacie. Prawda? Może poprosiłby ją pan i zamknęlibyśmy całą sprawę od razu.

Pośrednik oddalił się, dając Rayowi chwilę czasu. Crane usiłował zebrać myśli, ale natychmiast stracił pewność siebie, doszukując się różnych niedociągnięć w swoich planach.

Większość czasu spędził przemierzając salę balową wzdłuż i wszerz, wsłuchując się w odgłos własnych kroków i studiując uważnie wzór błyszczącej, drewnianej posadzki. Przystanął przed jednym z luster, by poprawić odrobinę krawat. Zaczesał włosy. Zanim jeszcze grzebień zdążył znaleźć się na powrót w jego kieszeni, zdążył już zrujnować cały efekt przejeżdżając palcami po włosach.

Miał na sobie najlepszy garnitur. I pomyśleć, że kiedyś miał jeden specjalny, dobry garnitur zarezerwowany na spotkania z bankierami. Teraz miał ich pełną szafę. A jednak ile razy natychmiast po przyjsciu do domu wkładał dzinsy i starą koszulę? Marcel na pewno wiedziała o tym. Tak samo, jak wiedziała, że dla niego weekendy spędzane w domku za miastem były równie ważne, jak spotkania w klubie ziemian. Żadna inna kobieta nie знаła jego przeszłości, nie wiedziała, z jak daleka przyszedł. Nie chciał się tego wstydzić, lecz dzielić tak, jak i wszystko inne, włączając w to także i tę głupią dumę, przez którą o mało nie rozstali się na dobre.

– Przepraszam. Pośrednik mówił, że chciał mi pan złożyć swoją ofertę.

Ray odwrócił się.

Marcel zatrzymała się w pół kroku, jej usta otwarły się.

– Marcel Courville, spotkamy się w sądzie.

Była zupełnie zaskoczona tym spotkaniem. Nie mogła wydobyć z siebie słowa. Marcel Courville, nie wybuchniesz teraz łzami. Nie będziesz też skakać z radości, rzucać mu się w ramiona, czy też wydrapywać mu oczy.

Splotła palce luźno przed sobą, chociaż chętnie zacisnęłaby je w pięści. Arystokratyczne maniere potrafiły zamaskować nawet wściekłość.

– Czy mogłabym spytać, o co w tym wszystkim chodzi? Wyjął rękę z kieszeni i wskazał kciukiem na lustro.

– Mam zamiar zburzyć tę ścianę.

Oczy Marcel nie rozszerzyłyby się bardziej, nawet gdyby ujrzała młotek w jego ręku.

– Co właściwie chciał mi pan oświadczyć? Oświadczyć, to było odpowiednie słowo. Ray miał jedynie nadzieję, że uda mu się dojść do tego, zanim go wyrzuci na zbity pysk. Podeszedł do niej. Niezależnie od tego, jak bardzo rozsądek podpowiadał mu, żeby się nie spieszył, jego ciało nie było posłuszne. Zbyt długo już był z dala od niej, szalejąc z pragnienia, by ją znów zobaczyć. Musiał dobrze odegrać tę scenę, a to oznaczało przejście od razu do sedna sprawy.

– Kupuję teraz część domu i oświadczam, że zburzę tę i wszystkie inne ściany, które staną między nami.

– Dotknął jej ramię, jej rękę. Wyglądała blado, nie podobały mu się cienie pod oczami. Bardzo delikatnie obrysował je kciukiem. Potem ujął w dłoń jej drobną twarz. – Oddzielne sypialnie to jedna sprawa, ale oddzielne rezydencje są poza dyskusją. – Już prawie miał ją pocałować. – Po pewnym namyśle stwierdzam, że oddzielne sypialnie też są wykluczone.

Bicie serca Marcel odzywało się echem nigdy przedtem nie słyszonym w tej sali. Chociaż usta miała suche jak papier, wydawało się jej, że nie będzie w stanie zmusić języka, by je zwilżył. Dopiero teraz udało jej się złapać oddech, gdy czuła tchnienie Raya przy ustach.

Jej wargi rozchyliły się lekko. Jego usta były ciepłe, delikatne, pytające. Zakończył pocałunek i czekał na jej reakcję.

Zdała sobie sprawę, że znowu robił to samo. Naciskał guziki, czekając, aż jej emocje zagrają właściwą melodię. Nie tym razem. Użyje tych emocji później, kiedy będzie już na nie gotowa, mimo że zachowanie zimnej krwi w tym momencie przypominało próbę okiełznania rozpędzonych koni.

– Rozumiem, że stać cię na to?

– Chcę wydawać swoje pieniądze na coś więcej poza cementem i cegłami.

Jej oczy zapłonęły.

– Jeśli ci się zdaje, że prezenty, klejnoty i inne podobne nonsensy mogą podbić moje serce...

Podniósł w górę ręce w geście poddania.

– To ja jestem poszukiwaczem złota, nie ty. Zdobyłem je własnymi rękami, mając nadzieję, że w ten sposób łatwiej będzie mi wyrzeć na tobie wrażenie.

– Zrobiłeś na mnie wrażenie – powiedziała szczerze. – Tym, co osiągnąłeś, a nie tym, co masz. Próbowalam ci to powiedzieć.

– Wiem. – Żar jego głosu wypełnił pokój. – Nigdy nie okłamałem ciebie, Marcel. Okłamywałem samego siebie. Wmawiałem w siebie, że sukces nie ma nic wspólnego z tobą. Ale przez tych pierwszych kilka lat, kiedy każda wypłata wiązała się z kryzysem, trzymałem się na uboczu. Po twoim rozwodzie powiedziałem sobie, że się z tobą nie skontaktuję. W tym czasie byliśmy na progu bankructwa z powodu nadmiernej ekspansywności. Nie dopuszczałem do swojej świadomości myśli o związku między tymi dwiema sprawami. Dopiero kiedy pozycja przedsiębiorstwa stała się pewniejsza, kiedy mogłem sobie pozwolić na założenie takiego biura, o jakim myślałem, dopiero wtedy wróciłem.

– Przysięga mówi – „na dobre i na złe”. Kto powiedział, że bogatszy jest bez szans? Tylko głupiec mógłby się wstydzić sukcesu. Taki jak ja.

– Więc dlaczego?

– Chciałem, żebyś kochała mnie za to, jakim jestem. Więc jestem.

Gwałtownie odwróciła się od niego, z zacisniętymi rękami rozglądając się po pokoju.

– Patrzysz, czym można by we mnie cisnąć?

– Nie! – Podeszła do drzwi tarasu. – Prawdę mówiąc zastanawiałam się ostatnio nad spuszczeniem hamulca w twoim mercedesie. Stoczyłby się ze wzgórza prosto do rzeki.

– Musiałbym wyrąbać kilka drzew, żeby się tam dostać.

– Jeszcze lepiej.

Zamrugał oczami i uśmiechnął się.

– Powiedz mi o wszystkim, Marcel. Wyrzuć to z siebie. Wzruszyła ramionami, ręce zatrzepotały w geście przesadnej nonszalancji.

– Myślisz, że się przejmuję?

– Bardziej niż to okazujesz – powiedział miękko. Odwróciła się do niego.

– A niech cię! – Jej załamujący się głos odbił się echem w przestronnym pokoju. – Okazałam ci więcej, niż jakimkolwiek innemu mężczyźnie, a ty rzuciłeś mi to z powrotem w twarz!

– Zrób to, uderz mnie. Poczula się urażona.

– Nigdy nie uciekam się do przemocy.

– A więc będziesz musiała mi po prostu przebaczyć. Patrzyła na niego, zadrżała pod wpływem zuchwałości Raya. Wiedziała, że ją przynagłał. Ale jak mogła się temu oprzeć, kiedy całą sobą pragnęła znaleźć się w jego ramionach? Oboje popełnili błędy. Nie trzeba było niczego przebaczać.

– Jak mogę to zrobić?

Przerwał jej, nie chcąc usłyszeć słowa „nie”. Podeszedł do zakurzonego radia, które zostawiła po sobie ekipa remontowa, i włączył je.

– Zatańcz ze mną.

Sentymentalna melodia z lat siedemdziesiątych. To musiało się udać. Wziął ją w ramiona.

Czuł się mocny, było mu dobrze. Jej piersi dotykały torsu Raya. Wargami musnął jej włosy.

– Przepraszam – szepnął. – Ray.

– Nie mów nic. Nie chcę się spierać. Gdy tutaj szedłem, wiedziałem, że możesz się nie

zgodzić.

– Więc czemu przyszedłeś?

– Musiałem.

Bała się spojrzeć mu w oczy. Broda dotykał czubka jej głowy, tak dobrze było przytulać do niego policzek.

Obserwowała ich taniec w lustrach. Sięgała mu zaledwie do ramion, ale ich ciała poruszały się w absolutnej harmonii.

– Co jeszcze mogę ci powiedzieć? Byłem młody, niepewny siebie, trzymałem się starych zasad. Myślałem, że to wszystko mam już od dawna za sobą, ale kiedy ujrzałem cię znowu i najpiękniejsza kobieta świata obdarzyła mnie swoimi względami... Brak pewności siebie nie mija tak łatwo.

– I dlatego proponujesz mi, żebym w ciebie czymś cisnęła.

– Lub przynajmniej solidnie kopnęła.

Zaśmiała się, ale nie wiadomo czemu jej oczy nagle napęłniły się łzami. Odwróciła się.

– Nie – przyciągnął jej twarz do siebie. – Tym razem bądźmy szczerzy, nie odwracaj się.

Wyciągnęła mu chusteczkę z kieszeni i wytarła nią nos.

– W twojej obecności mogę reagować odrobinę bardziej emocjonalnie. Bóg jeden wie, to pewnie ma jakiś związek z hormonami, ale są sprawy, których nie rozgłaszam. – Wydmuchała nos w chusteczkę. – Może się zdarzyć, że będę przy tobie mniej opanowana, czy nawet mniej elegancka...

– Za to bardziej seksowna, stymulująca, niewiarygodnie podniecająca...

– Tak, ale to tylko część prawdy. Nigdy nie będę tym wszystkim. Nigdy nie będę ciepła ani wylewna, albo taka jak Włoszka! – Uniosła w górę ręce w dramatycznym geście. Ledwie udało mu się powstrzymać od uśmiechu.

– Uff, nie sądzę, żebyśmy musieli się tym martwić. Ale robisz postępy.

– I jesteś jedynym mężczyzną, przy którym mi się to udaje.

– Żeby nie wspomnieć o wielu innych rzeczach.

– Nie żartuj, tracę przy tobie panowanie nad sobą i dobrze mi z tym, wiesz?

– To jeszcze jeden powód, żebym był w pobliżu, gdybyś przypadkiem miała się znów zapomnieć.

– Na przykład gdybym się miała zakochać? Spoważniał.

– Będę tutaj aż do końca, chyba że gruzy tego domu miałyby nas wcześniej przysypać.

Wybacz mi.

– Wybaczam.

Pocałunek był długi, niespieszny, pełen obietnic złożonych i dotrzymany, pełen zaciągniętych długów, które miały być spłacane przez te tysiące nocy, które były przed nimi.

Pośrednik nieruchomości zajrzał do środka i cofnął się. Marcel przełknęła ślinę, westchnęła głęboko i zastanowiła się chwilę, zanim przypomniała sobie, co chciała powiedzieć.

– Pan wspomniał o załatwieniu tej sprawy sędownie? Wydaje mi się, że doszliśmy do porozumienia?

– Yhm, podam panią do sądu, jak tylko będzie to prawnie możliwe.

– Pod zarzutem?

– Prowadzenie bez prawa jazdy.

– Mam prawo jazdy.

– Ale nie na doprowadzenie mnie do szaleństwa. Istnieje tylko jeden sposób na uzyskanie takiego prawa i tylko jeden człowiek może nam je dać. Mam na myśli sędziego Rosena.

– Tego, który prowadził sprawę?

– To on nas w to wciągnął. Nadaje się idealnie, żeby przypieczętować nasz związek na stałe.

Marcel miała własne zdanie na temat sędziego Rosena, ale nie była w nastroju do sprzeczek.

– Ślub tutaj, a wesele w ogrodzie?

– Cudownie.

Oparła głowę na ramieniu Raya, kołysząc się w rytm melodii. Muzyka nie miała znaczenia, liczyło się tylko to, że obejmował ją Ray.

– Zawsze o tym marzyłam.

Wyobraziła sobie kwiaty, składane krzesła, orkiestrę na niewielkim podium w rogu sali. Światło będzie wlewało się przez balkon. Drzwi tarasu będą otwarte tak jak lubił Ray.

– Marcel – powiedział. Jego głos był dziwnie chrypiący i spięty. – Mogę nie być ciębie wart, ale nigdy nie pozwolę, żebyś żałowała, że mnie pokochałaś. Obiecuję.

– Cii. – Wspinając się na palce ujęła jego głowę w dłonie. Potem pocałowała go mocno, władczo, dając mu zaledwie przedsmak tego, co było przed nimi. – Kocham mężczyznę o « imieniu Ray Crane i w mojej obecności nie wolno nikomu powiedzieć na niego ani jednego złego słowa, nawet tobie. Zrozumiałeś?

Własnymi rękami pomogła mu skinąć twierdząco głową.